

Mitch Cullin

Kraina traw

(Tideland)

Przełożyła Teresa Komłosz



Umarli i śpiący, jak bardzo jedni
przypominają drugich.

Epos o Gilgameszu

Część pierwsza

Rozdział 1

Pierwszego wieczoru po przyjeździe do Teksasu zbiegłam w podskokach ze schodów ganku - zostawiając w środku ojca, grające radio i moją nierozpakowaną walizeczkę, oklejoną odblaskowymi kwiatkami - i powędrowałam w stronę leżącego kołami do góry szkolnego autobusu, który wypatrzyłam z okna na piętrze. Szłam krętą ścieżką wydeptaną przez bydło pośród łąnu pastewnej trawy sięgającej mi ponad głowę, wsuwając dłonie w gęstwiny łądyg.

- Uginasz się, więc się nie łamiesz - zanuciłam szeptem, czując lekkie smagnięcia kłosów zebranych w wiechy. Słowa pochodziły z piosenki, którą ojciec napisał kiedyś o mnie: „Uginasz się, więc się nie łamiesz, wciąż dajesz i dajesz, ale nie potrafisz brać, Jelizo-Rose, dlatego nie wiem, co mógłbym dla ciebie zrobić”.

Szłam tak przez dłuższy czas, skręcając to w lewo, to w prawo, potem znowu w lewo, aż w końcu ścieżka skończyła się na pastwisku porośniętym włośnicą i ostatnimi późnowiosennymi łąbinami. Lekki wiatr poruszał wilgotne powietrze, słońce chyliło się już ku zachodowi. Stąpając ostrożnie, żeby nie zdeptać niskich łąbinów, weszłam na pastwisko.

Za moimi plecami falował łąn sorga.

Przede mną, podwoziem do góry, spoczywał wrak

autobusu - kupa nadpalonego złomu z obłazającą farbą; nieliczne ocalałe szyby były czarne od sadzy. Kępy łubinu wyrastały dosłownie wszędzie, nawet spod zgniecionej dachu - kulły się pod nim niczym zastraszone dzieci. Jego aromat był tak intensywny, że aż powąchałam koniuszki palców, ale poczułam jedynie stęchły smród, wydzielany przez moją brudną sukienkę.

Drzwi autobusu stały otworem, kusząco i złowieszczo zarazem. Zajrzawszy do środka, zobaczyłam nadtopioną kierownicę i fotel kierowcy; z podartej tapicerki wystawały strzępy gąbki i sprężyny. W nozdrza uderzył mnie zapach plastiku i rdzy. Choć miałam jedenaście lat, nigdy dotąd nie byłam w szkolnym autobusie. Nigdy nie byłam w szkole. Weszłam więc przez odwrócone drzwi, popatrując na wznoszące się nad moją głową schody i z przyjemnością wsłuchując się w chrzęst szkła pod podeszwami tenisówek.

Wyjrzałam przez otwór po szybie i pomachałam łodygom sorga, udając, że są moimi rodzicami, żegnającymi mnie z chodnika. Następnie usadowiłam się pod jednym z foteli z tyłu, wyobrażając sobie, że autobus wypełniony jest wesołymi dzieciakami, które rozmawiają, śmieją się i rzucają w siebie papierowymi samolocikami, a ja odjeżdżam razem z nimi.

Z miejsca, gdzie siedziałam, widać było piętro domu, wystające ponad wysoką trawę. W trzecim, szczytowym oknie paliła się lampa. O zmierzchu stary dom nie wydawał się już szary i zniszczony, tylko brązowy i

niemal złocisty - okapy zardzewiałej blaszanej przybudówki odbijały światło, a obok komina zwisał księżyc okrągły jak paznokieć kciuka.

Zaraz potem w różnych miejscach pastwiska pojawiły się drobne jasne rozbłyski, cytrynowe punkciki. Nadleciały robaczki świętojańskie, tak jak obiecywał ojciec. Obserwowałam je z otwartymi ustami, nerwowo wycierając dłonie w sukienkę. Miałam ochotę wybiec z autobusu, żeby się z nimi przywitać, tymczasem to one dołączyły do mnie. Gromady maleńkich światełek wlatywały przez wybite okna i ożywiały ponure wnętrze wraku.

- Jestem Jeliza-Rose - powiedziałam głośno, kołysząc się na skrzyżowanych nogach. - Cześć.

Zamigotały, co oznaczało, że mnie rozumieją. Im więcej do nich mówiłam, tym częściej mrugały... tak mi się przynajmniej zdawało.

- Jedziecie do szkoły. Ja też dziś jadę do szkoły.

Na próżno wyciągałam ręce, próbując schwytać te najbliższe - kiedy prostowałam palce, dłonie zawsze były puste. Po kilku nieudanych próbach zadowoliliam się nadaniem świetlikom imion.

- Ty jesteś Michael. Ty jesteś Ann. Ty też Michael? Nie, poczekaj, ty będziesz Barbie. I mamy jeszcze Chrisa. I Michaela.

Autobus nagle wypełnił się stworzonymi przeze mnie postaciami dzieci.

- Jedziemy dziś na wspaniałą wycieczkę -

powiedziałam im. - Cieszę się tak samo jak wy.

Słońce już prawie zaszło. Gdyby pociąg tak mnie nie wystraszył, mogłabym zostać w autobusie całą noc, pogrążona w rozmowie ze świetlikami. Nadjechał bez ostrzeżenia; ziemia zadrżała, a ja zaczęłam krzyczeć. Nie miałam pojęcia, że w gęstych trawach na skraju pastwiska, w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp, kryją się tory ani że co wieczór pięć po siódmej przejeżdża tamtędy pociąg osobowy.

Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że świat zaczął się kręcić szybciej. Zabłąkany podmuch wdarł się do wraku autobusu, mierzwiąc mi tłuste włosy. Zmrużonymi oczyma patrzyłam na srebrną smugę poprzecinaną plamami jasności, wyławiając sylwetki ludzi w przedziałach i wagonie restauracyjnym, za którym jechał wagon towarowy zakończony przedziałem służbowym z podobną do hełmu kopułą. Miałam wrażenie, że z kopuły pomachała do mnie jakaś samotna postać.

Pociąg zniknął... a wraz z nim świetliki, wymiecione podmuchem. Znów byłam sama, krzyczałam ze strachu. Odruchowo zagryzłam dolną wargę, skóra pękła i poczułam smak krwi spływającej na język. Wszystko ucichło, uspokoilo się, jedynie lekki wiatr szeleścił trawą, odezwało się kilka świerszczy.

Spojrzałam w stronę starego domu, wiedząc, że ojciec siedzi w salonie i czeka na mój powrót. Potem przyjrzałam się łąnowi sorga, pociemniałemu od

zmierzchu. Ocierając krew z wargi, pomyślałam, że to właśnie tam mieszka Człowiek z Bagien. Wiedziałam, że lepiej wynosić się z autobusu, zanim będzie za późno. Powinnam dotrzeć do ojca, zanim Człowiek z Bagien się obudzi.

Musiałam się rozpakować.

Rozdział 2

Kiedy weszłam do salonu, ojciec był dokładnie w takim samym stanie, w jakim go zostawiłam - pogrążony w narkotycznym transie, z wyprostowanymi sztywno ramionami, dłońmi zaciśniętymi na kolanach, stopami opartymi równo na podłodze. Siedział w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, twarzą do ściany, w dużych przeciwsłonecznych okularach, które zawsze przypominały mi maskę Samotnego Strażnika.

- To by znaczyło, że ty jesteś Tonto - mówił mi często w domu w Los Angeles. - Moja mała córeczka jest hollywoodzkim Indianinem.

- Nie jestem Tonto - odpowiadałam.

- Więc kim jesteś?

- Nie wiem, ale nie Tonto.

Bawiło go to. Uśmiechał się i czasem, uderzając otwartą dłonią w usta, wydawał okrzyk, taki jak Indianie w telewizji.

Nieraz przyłączałam się do zabawy, biegałam po całym mieszkaniu i pokrzykiwałam, dopóki sąsiadka-dziwaczka z dołu nie zaczynała walić szczotką w sufit.

Ale tego wieczoru ojciec miał zaciśnięte usta, jego przecięta dwiema wyraźnymi bruzdami twarz wydawała się niezdolna do uśmiechu. Nie wspominałam więc o Samotnym Strażniku ani o szkolnym autobusie, ani nawet

o tym, jak przestraszył mnie pociąg W ogóle nic nie powiedziałam, wolałam stać cicho obok fotela i nagryzać przednimi zębami pękniętą wargę, co sprawiało mi jakiś dziwnie przyjemny ból.

Mrok odmienił wygląd salonu, dodając mu cieni i obcości. Bez światła, które wpadając przez okna, znaczyło jasnymi plamami podłogę i wypełniało kąty, to miejsce nie wydawało się już przyjazne. Nawet po zapaleniu górnej lampy - zamglona żarówka bzyczała pod napięciem - podchodząc do fotela, wyczułam w pomieszczeniu jakąś zmianę, jakbym się przedzierała przez cienką, niewidzialną i prawie niewyczuwalną sieć.

Widok ojca wpatzonego w wymiętą mapę Danii, przypiętą pineskami do ściany, przypomniał mi zdjęcie Człowieka z Bagien, które ojciec kiedyś mi pokazał. Przyszedł do mnie po północy i potrząsając mną na łóżku, powiedział:

- Słuchaj, powinnaś się tego dowiedzieć, nim zapomnę. Bagienna woda ma niezwykłą moc. Te ciała leżą w bagnie tysiące lat i nie ulegają rozkładowi. To znaczy trochę brązowieją, kurczą się i tak dalej, ale poza tym nic się z nimi nie dzieje.

Podsunał mi otwartą książkę z biblioteki, wskazując na czarno-białą fotografię. Przedstawiała człowieka z epoki żelaza, wykopanego, jak wyjaśnił mi ojciec, spod warstwy torfu o grubości dziewięciu stóp. Miał na głowie spiczastą skórzaną czapkę, a na biodrach skórzany pas.

- W tej książce piszą, że został zamordowany dwa

tysiące lat temu - mówił ojciec, chuchając mi w twarz odorem whisky.

Oparłam się na łokciu i mrugając półprzytomnie, obejrzałam dobrze zachowane szczątki człowieka z epoki żelaza, który leżał wyciągnięty na mokrej ziemi, jakby spał, z podkulonymi rękami i nogami, z zadartym podbródkiem. Na twarzy miał wyraz błęgiego spokoju - oczy lekko przymknięte, wydęte usta.

- Zabili go? - spytałam.

- Powiesili i wrzucili do jakiegoś bagna w Danii. Patrzysz na absolutnie nieżywego trupa.

- Kto go zabił?

- Kto wie... - mruknął ojciec, zamykając z trzaskiem książkę. - Miejmy nadzieję, że będziemy w podobnym stanie za dwa tysiące lat. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Złożył na moim czole oślizły pocałunek i powiedział, żebym szybko zasnęła, bo inaczej matka i wszyscy ludzie z bagien na całym świecie mogą się zdenerwować. Kiedy wytaczał się z pokoju, poprosiłam, żeby zostawił zapalone światło.

- Jasne, dziecinko - odparł. - Załatwione.

Ale światło niewiele pomogło. Zdjęcie z książki tak mnie przeraziło, że przez wiele godzin nie mogłam zasnąć.

Kilka nocy później śniło mi się, że Człowiek z Bagien zmaterializował się w mojej sypialni i próbował udusić mnie poduszką. Szyję oplatał mu sznur związany na

tchawicy; luźny koniec wił się niczym wąż na jego piersi. Kiedy nachylił się nade mną z poduszką, jego zmarszczone brwi i ściągnięte usta nosiły wyraz cierpienia. Musiałam widocznie krzyczeć przez sen, bo kiedy się obudziłam, ojciec stał przy moim łóżku i odgarniał mi z twarzy kosmyki włosów; jeden z nich jakimś cudem wciągnęłam aż do gardła.

- Co się dzieje? - zapytał szeptem. - Miałaś koszmary?
Wziął mnie na ręce.

Objęłam go za szyję i wtuliłam się w jego podkoszulek, kiedy niósł mnie do łóżka matki. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że nie ma takiego człowieka z bagien, który dałby radę mojemu ojcu.

Jednak w domu na farmie nie tylko mapa przypominała mi o Człowieku z Bagien, ale także twarz ojca, pobrużdżona, nieruchoma, jak eksponat z dawnych czasów zachowany w słoju. Długi czarny kucyk związany gumką, przełożony przez prawe ramię, zwisał na szeroką pierś. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat - był prawie o czterdzieści lat starszy od matki - miał szczupłe ciało i muskularne ramiona. W ciszy i bezruchu salonu łatwo było zobaczyć w nim człowieka z epoki żelaza: zastygłego w skórzanym fotelu, wykopanego w nienaruszonym stanie, wpatrującego się z za wielkich przeciwsłonecznych okularów w mapę geologiczną Danii.

- Pozwól, że coś ci powiem - oznajmił któregoś ranka przy śniadaniu, mówiąc z tym swoim przeciągłym południowym akcentem.

Obie z matką towarzyszyłyśmy mu przy stole, co zdarzało się wyjątkowo, ponieważ rzadko kiedy wszyscy troje byliśmy na nogach o tej samej porze.

- Naszym celem jest spokojne życie w jakimś odludnym miejscu w Danii. Przemyślałem to i tak postanowiłem.

Po całonocnym graniu ze swoim zespołem Czarne Płaszczki - w dwóch klubach w zachodnim Hollywood - wrócił do domu z torbą pasztecików od McDonalda, z bekonem, jajkiem i serem.

Matka skrzywiła się i odkładając pasztecik, powiedziała:

- Co takiego jest w Danii? Byłeś tam kiedyś w ogóle? - Następnie, spoglądając na mnie, dodała zrzędlwym tonem: - Skąd mu się biorą takie dziwaczne pomysły?

Nie oczekiwała odpowiedzi na to pytanie, więc milczałam, nie przerywając jedzenia.

- Uważam po prostu, że powinniśmy się ruszyć i znaleźć jakieś miejsce bez telefonu - wyjaśnił ojciec, marszcząc czoło. - Nikt by nie wiedział, że tam jesteśmy, więc gdyby ktoś chciał za mną węszyć, nie znajdzie ani mnie, ani ciebie, ani Jelizy-Rose.

- Nie pojedę - oświadczyła matka, przetykając ostatni kęs - nawet nie próbuj. To głupie.

- Jak sobie życzysz - odpowiedział. Nie patrzył na nią ani na nietknięty pasztecik na swoim talerzu, tylko prosto na mnie. Mrugnął porozumiewawczo. - Chyba wybierzemy się we dwójkę z Jelizą-Rose. Co ty na to, hę?

Wzruszyłam ramionami, uśmiechając się z pełnymi ustami.

Matka odsunęła krzesło.

- Noah, ty i ta gówniara możecie sobie jechać, dokąd chcecie. Mam to gdzieś.

Kiedy wstała, szlafrok rozchylił jej się na piersi, a potem całkiem zsunął, opadając na podłogę. Odeszła od stołu; jej krągłe białe ciało drżało przy każdym kroku.

Ojciec nachylił się do mnie i powiedział szeptem:

- Twoja matka jest skandynawską królową Gunhildą, wdową po królu Eryku Krwawym Toporze. Król Harald obiecał się z nią ożenić, zwabiając ją do Danii, więc pojechała tam, ale po przybyciu na miejsce została utopiona w bagnie. Niezbyt miło.

- Niezbyt miło - przyznałam.

- Myślisz, że na to zasługiwała?

- Nie.

- Nie - powtórzył, przyglądając się swemu pasztecikowi. - Chyba nie.

Ramiona mu opadły, zarośnięty podbródek zakołysał się nad talerzem.

Tamtego dnia, kiedy uciekliśmy z ojcem z miasta, powiedział, że wyruszamy do Jutlandii. W plecaku miał mapę, którą wyrwał z książki wypożyczonej z biblioteki. Kiedy zaczęliśmy podróż na wschód autobusem Greyhound, oglądając przez przyciemnioną szybę mijane palmy i budynki mieszkalne, ojciec wyciągnął mapę i rozłożył ją sobie na kolanach. Drżącym palcem pokazał

cel naszej wędrówki - zachodnią Jutlandię, gdzie ludzie z bagien spali pod powierzchnią wielkich nietkniętych równin.

Potem starannie złożył mapę, schował z powrotem do plecaka i rzekł półgłosem:

- Widzę przed sobą te ciemne brzegi, udekorowane przez stwórcę najpiękniejszymi kwiatami, widzę Duńczyków, mężczyzn i kobiety, witających majowe słońce wyłaniające się na wschodzie. Słyszę, jak pozdrawiają je śpiewem, ludowymi piosenkami o wolności. A duńska plaża, duńskie fale odbijają echem ich radosne tony.

Wiedziałam, że zaraz odleci, jak zwykle po zażyciu fortralu, tabletek przeciwbólowych, które trzymały go na nogach... tak przynajmniej twierdził. Ale było mi wszystko jedno. Cieszyłam się, że wyjeżdżam. Byłam szczęśliwa, że królowa Gunhilda nie może jechać z nami, nawet jeśli naszym celem ostatecznym był Teksas, nie Dania.

Pierwszego wieczoru na farmie stanęłam pomiędzy ojcem a mapą wiszącą na ścianie i zapytałam:

- Tato, czy Jutlandia jest podobna do Teksasu?

Ale on był nieobecny, więc mówienie do niego nie miało sensu. Oddychał płytko. A mnie chciało się spać.

Wychodząc z salonu, wyobraziłam sobie, że jestem Alicją, coraz bardziej zmęczoną spadaniem w dół, w dół, w dół, w głąb króliczej nory. To była moja ulubiona część

„Alicji w Krainie Czarów”^{*}.

„Po takim upadku jak ten za nic będę sobie miała spadnięcie ze schodów! Za jaką dzielną uznają mnie wszyscy w domu!”.

Często prosiłam ojca, żeby mi czytał ten fragment, po kilka razy w kółko. Podnosił głos, aż brzmiał trochę jak dziewczynka, kiedy mówił:

- „Myślę, że wieczorem Dina będzie bardzo za mną tęskniła!”.

- „Dina była to kotka” - wtrącałam tonem wyjaśnienia.

- „Mam nadzieję, że będą pamiętali o talerzyku mleka dla niej na podwieczorek! Dino, moja droga! Jakbym chciała, żebyś była tu ze mną! Boję się, że w powietrzu nie ma żadnych myszy, ale mogłabyś ułować nietoperza, a to już coś bardzo podobnego do myszy, wiesz. Ciekawa jestem, czy nie miewają koty na nietoperze ochoty?”

I tu Alicja poczuła, że jest trochę senna i zaczęła powtarzać sennie: - Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? - a czasem: - Czy nietoperze ochoty nie miewają na koty?

Bo widzicie, ponieważ nie umiała odpowiedzieć ani na jedno, ani na drugie z tych pytań, więc kolejność nie odgrywała tu żadnej roli. Poczula, że zapada w drzemkę, i właśnie zaczęła śnić, że idzie tuż obok Diny i mówi do niej z powagą: - A teraz, Dino, powiedz mi prawdę: czy miałaś kiedyś ochotę na nietoperza?”.

^{*} Wszystkie poniższe fragmenty podano w przekładzie Macieja Słomczyńskiego (przyp. tłum.).

Tamtego wieczoru, wchodząc na piętro domu na farmie, myślałam o Alicji.

Alicja zastanawiała się, czy przeleci prościutko przez całą ziemię, i wyobrażała sobie, jakie to będzie zabawne wynurzyć się pośród ludzi chodzących głową w dół. Musiałaby ich zapytać o nazwę ich kraju - Nowa Zelandia? Czy Australia? Oczywiście, nie byłaby to Dania, bo Dania nie znajdowała się po drugiej stronie króliczej nory.

Rozdział 3

Na moim wąskim materacu nie było pościeli. Podobnie jak na podwójnym łóżku, gdzie ojciec rzucił plecak. Nasze pokoje na piętrze rozdzielala jedyna w domu łazienka, aczkolwiek nie było tam bieżącej wody. Z pustej muszli klozetowej przy podniesionej klapie wydobywał się ostry smród, jakby gdzieś w głębi rur leżały zgniłe jaja.

Ojciec stwierdził, że potrzebna nam nowa studnia. Powiedział, że przy domu jest mnóstwo roboty.

- Trzeba uporządkować podwórko - wspomniał podczas drugiego dnia naszej podróży Greyhoundem. - Matka, kiedy jeszcze żyła, miała chłopaka do koszenia i pielenia, ale przypuszczam, że to już dorosły człowiek. Na ganku wychodzą gwoździe, więc będziemy musieli je poprzybijać. Na strychu mieszkały wiewiórki, lecz się ich pozbyłem, bo przegryzały przewody, i w ogóle. Nad ranem strasznie rozrabiały, przeszkadzało mi to. Matka je jednak lubiła. Mówiła, że dzięki nim czuje się mniej samotna.

Rzeczywiście, nad farmą ciążyła aura opuszczenia, zapewne biorąca się z położenia na odludziu. Często zastanawiałam się, dlaczego ojciec pozwolił swojej matce mieszkać tu samej. Kupił dla niej tę ziemię w 1958, zaraz po tym, jak jego trzeci singel, „Jungle Runner”,

instrumentalny kawałek na gitarę, znalazł się w pierwszej dziesiątce na liście przebojów. Parę lat później wybudowano dom i babka mieszkała w nim do 1967, kiedy to spadła ze schodów ganku, złamała biodro i wkrótce potem zmarła w domu opieki.

- Myślałem wówczas o wystawieniu domu na sprzedaż - mówił mi ojciec podczas jazdy autobusem - ale moja druga żona mi to odradziła. I teraz jestem jej wdzięczny.

Dla niego dom na farmie stał się przystanią, miejscem, gdzie mógł się ukryć i tworzyć muzykę. Odłączył telefon, pozbył się telewizora babki. Nim skończyłam jedenaście lat, ojciec często wyjeżdżał na kilka miesięcy; zabierał swoją gitarę marki Rickenbacker i jechał na wschód swoim buickiem rivierą. Tylko raz zaprosił matkę i mnie, ale matka odpowiedziała mu wtedy:

- Pieprzyć to, Noah. Teksas jest najbardziej zapadłą dziurą we wszechświecie. Będziemy tu czekać, aż dojdiesz do wniosku, że What Rocks* może istnieć bez ciebie.

To babka nazwała farmę What Rocks, ale nie wiem dlaczego. Umarła przed moim urodzeniem, więc nie miałam okazji jej o to zapytać. Może dla żartu, zważywszy na uciążliwe sąsiedztwo kamieniołomu; mniej więcej co drugi dzień odpalano tam ładunki dynamitu, a wybuchy zakłócały spokój hukiem przypominającym łoskot piorunów i dzwonieniem szyb w oknach.

* What Roks - dosł.: Jakie skały (kamienie); w slangu: Co kręci, np. „What roks you?” - Co cię kręci?” (przyp. Tłum.).

- Kupując jej farmę - wyjaśniał ojciec - powiedziałem, że kiedyś może ją odsprzedać tym z kamieniołomu. Myślę, że mogła dobrze zarobić na sprzedaży wapienia zalegającego pod ziemią. Ale chyba nigdy nie brała tego pod uwagę. Dostała dom i ziemię w prezencie, więc według niej byłoby to niegrzeczne. Czasami bywała całkiem zasadniczą staruszką, nie chciała nawet jeździć błękitnym cadillakiem, którego jej kupiłem, bo uważała, że wygląda zbyt wyzywająco. Wiesz co, chyba będziemy mogli korzystać z tego auta.

Jazda Greyhoundem wprawiała ojca w stan niepokoju. Fotel wzmagał ból kręgosłupa, który uszkodził, spadając w Chicago ze sceny i lądując płasko na plecach. Jednakże podczas ucieczki nie mógł sobie pozwolić na żaden inny środek transportu. Jego cenny buick riviera z białymi bokami został wymieniony na torebkę różnych prochów - pamerganu, dextromoramidu, diconalu, DF-118, fortralu oraz metadonu, który matka lubiała najbardziej. Kiedy wreszcie dojechaliśmy do małej miejsciny o nazwie Florence, jakieś dziesięć mil od farmy, ojciec jęknął, zakładając plecak.

Potem, wręczywszy mi moją odblaskową walizeczkę, powiedział:

- Pewnie jesteś gotowa na piknik.
- Pizza - podsunęłam ochoczo.
- Nie można jeść pizzy na pikniku - obruszył się. - Powinnaś to wiedzieć.
- Nie musimy urządzać pikniku - powiedziałam, idąc za

nim wzdłuż przejścia między siedzeniami.

- Należy jeść sandwicze. Właśnie to się je. Tak to będzie wyglądać.

W sklepie spożywczym przy głównej ulicy resztki pieniędzy poszły na słone krakersy, chleb, masło orzechowe i dwa galony wody. Choć z nazwiskiem ojca wiązała się pewna sława, jego twarz nie była powszechnie znana. Było jak w czarno-białym westernie, kiedy rewolwerowiec wchodzi do saloonu: gdy tylko przekroczyliśmy próg - niechlujna dziewczynka i blady, długowłosa mężczyzna w ogromnych przeciwsłonecznych okularach - wszystkie głowy odwróciły się w naszą stronę, wszystkie rozmowy umilkły.

To nie znaczy, że w sklepie było tłoczno. Właściwie przypominam sobie tylko pulchnego, ostrzyżonego na jeża chłopaka, który pakował zakupy, i dwie kasjerki wyglądające na licealistki; jedna Latynoska, druga biała, obie miały podwinięte do góry, mocno wylakierowane grzywki.

- Która godzina? - spytał ojciec.

- P-p-przykro mi, ale nie noszę z-z-zegarka - odpowiedział chłopiec, jękając się przeraźliwie. Kiedy mówił, usta i szczeka wykręcały mu się spazmatycznie. - Ch-ch-chyba będzie około czwartej.

- Prawie czwarta trzydzieści - odezwała się Latynoska.

- Więc macie jeszcze otwarte.

- Do piątej. W soboty do szóstej.

- To dobrze - powiedział ojciec, biorąc mnie za rękę. -

Gdzie jest masło orzechowe?

- W środkowym rzędzie, obok pianek, po lewej stronie.

Kiedy wróciliśmy do kasy z zakupami, ojciec spytał pakowacza, czy nie zna kogoś, kto mógłby nas podwieźć.

Kasjerki wymieniły między sobą spojrzenia, wyraźnie rozbawione pytaniem.

- A d-d-dokąd zmierzacie?

- Na wschód od miasta, w stronę wieży przekaźnikowej przy Saturn Road.

- To chyba j-j-ja mógłbym was z-z-zabrać - powiedział chłopiec, rozwijając papierową torbę. - To po d-d-drodze do mojego d-d-domu, jeśli możecie poczekać, aż s-s-skończę.

- Nie ma sprawy - zgodził się ojciec. - Dzięki, przyjacielu.

Popołudniowe słońce kładło złotawe cienie na asfalcie. Wioząc nas swoim nissanem pikapem, chłopiec założył ciemne okulary - domyśliłam się, że nie tyle ze względu na słońce, ile niepokojąco ukryte spojrzenie mojego ojca. Na imię miał Patrick.

- Mieszkam z dzi-dzi-dziad-dkiem - wyjaśnił, dodając gazu. - Jedziemy dziś wieczorem na r-r-ryby, więc t-t-trochę się ś-ś-śpieszę.

Potem zapytał, czy udajemy się w odwiedzinach do krewnych, ciekaw był, skąd przybywamy.

- Chcę się zobaczyć z rodzicami - skłamał ojciec. - Mieszkamy z córką w Austin.

Siedziałam ściśnięta pomiędzy nimi w szoferce, z

drażkiem zmiany biegów między kolanami.

- No t-t-tak - powiedział Patrick. - Austin jest s-s-super! Nie miałem o-o-okazji poznać tu zbyt wielu l-l-ludzi. Dopiero co przeprowadziłem się z D-d-dallas. Nie jestem z Florence. Mój dziadek m-m-mieszka tu od z-z-zawsze.

- Od zawsze to długo - wtrącił ojciec.

- P-p-pewnie - zgodził się z nim Patrick. - Ch-ch-chybabym z-z-zwariował, gdybym t-t-tu mieszkał tak długo jak o-o-on.

Podczas gdy Patrick wysiłał się, podtrzymując rozmowę z moim ojcem, ja podciągnęłam stopy pod pośladki, żeby siedzieć wyżej, i ponad deską rozdzielczą patrzyłam na pagórkowaty krajobraz rozpościerający się przed nami. Wzdłuż drogi rosły cedry i jadaloszyny, a za nimi rozciągały się pastwiska, bujne po wiosennych burzach. To była rolnicza okolica. Wieża przekaźnikowa, o której wspomniał ojciec, majaczyła w oddali niczym jakiś futurystyczny pomnik z krzyżujących się czerwonych belek, ze światelkiem błyskającym od czasu do czasu na szczycie.

Ojciec kazał Patrickowi skręcić w Saturn Road; pikap podskakiwał na krętej gruntowej drodze.

- Jak d-d-daleko?

- Mile, może dwie. Wystarczy, jak podjedziesz do pierwszej bramy. To już prawie na miejscu.

Wieżę przekaźnikową mieliśmy teraz z tyłu.

Na lewo rosła gęsta kępa cedrów.

Po prawej, pod baldachimem niskich chmur, ciągnęła

się łąka.

Potem minęliśmy puste działki budowlane ogrodzone drutem kolczastym; na każdej znajdowała się tablica agenta nieruchomości z reklamą oferującą nowe możliwości rodzinnej zabudowy na dogodnych warunkach finansowania. Dzika trawa, choć wyskubana przez zwierzynę lub przycięta, była i tak dość gęsta, by dać schronienie węzom i pancernikom.

- Mnóstwo tu j-j-jeleni - oznajmił Patrick. - Dzięki o-o-opadom mają dosyć jedzenia.

Pikap przeleciał obok długorogich krów wygrzewających się na słońcu pod wiatrakami.

- Została godzina lub dwie do zachodu słońca - odezwał się ojciec, wyglądając przez okno.

Podjechawszy pod szeroką bramę, Patrick spytał:

- Tutaj?

- Mhm - potwierdził ojciec. - Bardzo miło z twojej strony.

- Nie ma s-s-sprawy.

Wysiedliśmy z pikapa, zbierając swoje rzeczy. Z plecakiem zwisającym z jednego ramienia, ojciec przyciskał do piersi torbę z zakupami. Ja, przechylona na bok pod ciężarem, w jednej ręce niosłam galonową butlę z wodą, w drugiej moją walizeczkę. Otoczyły nas tumany kredowego pyłu, wznieconego przez nissana.

Patrick powiedział, że raz w tygodniu bywa z dostawą niedaleko What Rocks i żeby dać mu znać, gdybyśmy czegoś potrzebowali, po czym wychylił się, by zamknąć

drzwi od strony pasażera, i rzucił na pożegnanie:

- M-m-miłego dnia.

Ojciec odpowiedział mu kiwnięciem głowy, a ja się uśmiechnęłam, ale chyba tego nie zauważył. Już zamykał drzwi. Potem zawrócił pikapem i odjechał, wzbijając w powietrze jeszcze więcej kurzu.

Wśród drzew cykały świerszcze. Z drogi nie było widać What Rocks, jedynie gęste łądygi sorga porastającego dziko całe obejście.

- Przechodź - powiedział ojciec, stawiając but na dolnym drucie w ogrodzeniu przy bramie. Przycisnął drut do ziemi, poszerzając otwór.

Przeszłam na drugą stronę, a ojciec za mną, stękając z wysiłku przy schylaniu się. Weszliśmy na zrujnowany podjazd, każde z nas trzymało się jednej koleiny.

- Chwasty wszystko zarastają - mruknął ojciec pod nosem. Po czym, spoglądając na mnie, dodał tonem wyjaśnienia: - Jak na ziemi nie ma bydła, chwasty się rozpleniają.

Po mniej więcej pół mili podjazd rozwidlił się między cedrami i ujrzeliśmy dom.

- O kurczę - zawołałam, podchodząc do ojca, który przystanął pod jednym z drzew. - To jest What Rocks?

- Zgadza się - potwierdził, ocierając czoło wierzchem dłoni. Plecak leżał u jego stóp, wymięta i rozdarta torba z zakupami tuż obok.

Postawiłam na ziemi walizeczkę i butlę z wodą, nie odrywając wzroku od starego domu.

Przy ganku otaczającym dom sterczał maszt bez flagi. Na podporze zamontowany był wiatrowskaz miedzianego koloru, zamiast koguta miał kształt konika polnego. Choć dom sprawiał wrażenie podobnego do większości piętrowych domów w Teksasie - ze spadzistym dachem i otwartym planem - zniszczone deski elewacji, spłowiałe i popękane, nadawały mu opuszczony wygląd. Jeszcze nim przekroczyłam próg, czułam grube warstwy pajęczyn, okruchów i mysich odchodów, które miałam znaleźć w środku.

- Nareszcie w domu - odezwał się ojciec z wyraźną ulgą w głosie. Podniósł plecak i z górnej kieszeni wyciągnął klucz zawieszony na sznurówce.

Po niespełna trzech minutach byłam na piętrze, gapiąc się z okna mojej sypialni na wywrócony szkolny autobus, a ojciec na dole przypinał do ściany mapę Danii.

Zapadł wieczór.

Wróciłam ze spaceru do autobusu. Znów byłam na górze, ojca zostawiłam w salonie. Na brzegu wąskiego materaca, który miał na środku spłowiałą brązową plamę, leżała otwarta walizeczka. Ostrożnie wyjęłam z niej nieliczne rzeczy, które zdołałam spakować - satynową nocną koszulę matki i części lalek Barbie (cztery głowy, dwie ręce, jeden tułów, sześć nóg, wszystko wygrzebane w pojemniku sklepu ze starzyzną). Poza zawartością walizeczki - sukienka, majtki, skarpetki i tenisówki, również kupione w sklepie z używaną odzieżą - stanowiły cały mój dobytek.

Nagryzając obolałą dolną wargę, zajęłam się porządkowaniem swoich rzeczy. Koszula nocna, niedbale zwinięta podczas pakowania, została umieszczona na zagłówku materaca, przeobrażając się w mojej wyobraźni w królewską szatę. Części lalek ułożyłam w rządki obok poduszki: najpierw głowy, potem ręce, następnie nogi i na końcu tułów.

Wreszcie zamknęłam walizkę, zauważając z niejakim smutkiem, że kolorowe naklejki w kształcie kwiatków zaczynają odłazić, i upchnęłam ją pod łóżkiem. Kiedy kuciałam, na podłogę skapnęła mała kropelka krwi. Naplułam na rękę i patrzyłam, jak czerwona strużka śliny zbiera się w zwiniętej dłoni.

- Umieram - powiedziałam z udawanym przerażeniem, naśladowując ton aktorki z telenoweli. - Nie wytrzymam, muszę wytrzymać.

Poszłam do łazienki przejrzeć się w lustrze. Wydymając dolną wargę, dostrzegłam rozcięcie, w którym zbierała się krew, ale byłam rozczarowana, że skaleczenie jest takie nieznaczne. Splunęłam do umywalki z nadzieją, że plwocina będzie obficie zabarwiona krwią. Niestety, zobaczyłam jedynie plamkę prawie przezroczystej śliny.

- Wyjdiesz z tego - powiedziało moje lustrzane odbicie, małpując lekarza z telewizji. - Można się spodziewać całkowitego wyzdrowienia.

- Dziękuję, dziękuję - odpowiedziałam. - A więc jest jakaś nadzieja.

Odkręciłam kurki, modląc się o odrobinę wody, żebym mogła umyć zęby. Na próżno. Zresztą to i tak nie miało znaczenia, bo zapomniałam szczoteczki do zębów i pasty. Kiedy potarłam palcem po zaciśniętych zębach, z moich ust wypłynęło jeszcze trochę spienionej krwi.

Lustrzane odbicie uśmiechnęło się, pokazując zabarwione na czerwono uzębienie.

- Cała jesteś czerwona - powiedziałam, patrząc na swoje rudawe włosy, piegi i hiacynty na sukience.

- Po prostu strasznie - wykrzyknęło z brytyjskim akcentem odbicie w lustrze. W tym samym momencie z sypialni ojca dobiegły słabe dźwięki muzyki. - Straszny hałas, Jelizo-Rose.

- Tak, musimy z tym skończyć - odparłam, odwracając się od lustra.

Podeszłam do drugich drzwi w łazience, wychodzących na przyległą sypialnię.

Kiedy nacisnęłam klamkę, zawiasy zaskrzypiały jak w jakimś horrorze, więc na chwilę przystanąłam w progu, ssąc krwawiącą wargę i obrzucając spojrzeniem plecak leżący na łóżku, zapaloną lampę na nocnym stoliku, zetlały dywanik na podłodze. Pokój ojca był prawie identyczny jak mój, tyle że miał podwójny materac z większą plamą. Na parapecie nad wezłowiem łóżka grało tranzystorowe radio - „dziewczyno, naprawdę zawróciłaś mi w głowie, zawróciłaś mi w głowie i nie wiem, co robię” - co przypomniało mi, jak ojciec przyciskał tranzystor do ucha, kiedy jechaliśmy Greyhoundem przez

pustynię. Słuchał z zamkniętymi oczami, czasami zasypiał na długie godziny, gdy z radia płynęła muzyka, wiadomości albo tylko szum.

- Naprawdę zawróciłaś mi w głowie, zawróciłaś mi w głowie - zaśpiewałam, podchodząc do materaca.

Zawartość plecaka leżała w niewielkiej stercie na łóżku: brudne ubrania, a na nich niemal opróżniona butelka sznapsa o smaku brzoskwiniowym. Papierowa torebka, wcześniej wypełniona pigułkami, teraz była pusta i sterczała z szyjki butelki w charakterze prowizorycznego korka. Wyobraziłam sobie ojca, jak przełyka, przełyka i przełyka, a potem wzdycha z ulgą, czekając, aż zaczną się halucynacje i zaburzenia myśli. „Zaburzenia myśli - tak je nazywał - uprzątające bałagan w mózgu”.

Przeszłam po materacu do parapetu. Rozsunąwszy zasłony, zobaczyłam światełko migające w oddali na wieży przekaźnikowej.

A potem już nic nie widziałam.

Świat na zewnątrz był ciemniejszy, niż mogłam sobie wyobrazić. Można by pomyśleć, że poza tamtym światełkiem i kilkoma ćmami, które obijały się o szybę, cała reszta zapadła się w wielką dziurę. Byłam tylko ja, mój ojciec, What Rocks i radio. Łany sorga zniknęły. Horyzont także.

Przedrzeźniając pakowacza Patricka, wydukałam:

- Ch-ch-chybabym zwariowała, gdybym t-t-tu mieszkała tak d-d-długo jak on.

Następnie wzięłam radio z parapetu i wyniosłam je z

pokoju ojca.

Rozdział 4

Stałam nago z rękami wyciągniętymi nad głową. Sukienka spoczywała na podłodze, zakrywając tenisówki i skarpetki, tranzystorowe radio na stoliku przy łóżku grało bluesa. Nocna koszula matki, błyszcząco różowa i delikatna, spłynęła po moim ciele. Poczulałam w nozdrzach ten szczególny zapach, który często wydzielala skóra matki. Koszula była tak obszerna, że na moment się pod nią zgubiłam - po omacku szukałam rękawów, ruszałam głową, usiłując trafić w wycięcie szyi.

Wyobraziłam sobie, że jestem bezgłową gospodynią domową, machającą rękami jak kurczak.

Kiedy wreszcie udało mi się przepchnąć głowę przez wycięcie przy kołnierzyku, włosy sterczały mi od naelektryzowania. Podwinęłam rękawy i próbowałam zrobić piruet, ale koszula była za długa i musiałam dać sobie z tym spokój.

- Jesteś stuknięta - powiedziałam do siebie, sięgając po radio. - Masz pomieszane w głowie.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że przepadły wszelkie nadzieje na deszcz - mówił gardłowym głosem didżej na tle cichnącej piosenki. - Cóż, zamiast burzowych grzmotów mamy Johna Lee Hookera, o którego prosił Jimmy z Salado, zaśpiewa on dla wszystkich z przystani Stillhouse Hollow Lake.

Z Johnem Lee Hookerem wibrującym w mojej dłoni zeszłam na parter. Koszula plątała mi się wokół stóp, więc musiałam ostrożnie stąpać po skrzypiących stopniach. Udało mi się jednak zejść bez problemów; wyobrażałam sobie, że jestem uroczym duchem nawiedzającym mroczny salon. Brzeg koszuli ciągnął się za mną po podłodze, wzniecając kurz. Nie zwracałam na to uwagi. I tak wszystko było zakurzone: długi stół w jadalni, dębowy kredens, powietrze, które wdychałam.

- A psik! - udałam kichnięcie z nadzieją, że zwrócę tym uwagę ojca.

Na prawo od schodów znajdowała się kuchnia, a za nią salon, oddzielony jedynie piecem na drewno. Ponieważ na parterze brakowało ścian działowych, łatwo było ogarnąć wzrokiem całą przestrzeń, zwłaszcza gdy stało się u stóp schodów.

- A psik! - Ponowiłam kichnięcie, ale ojciec pozostał w salonie, tak jak poprzednio, więc zawróciłam na pięcie i skierowałam się do kuchni.

Pozostawiwszy radio koło pieca, sięgnęłam do torby z zakupami i wyłożyłam produkty na blat. Nagle poczułam wilczy głód.

Słony krakers wylądował w słoiku z masłem orzechowym, przebijając gładką powierzchnię.

Za nim poszły kolejne krakersy.

John Lee Hooker dawno przestał śpiewać, teraz w kuchni rozbrzmiewał bluegrass. Dzikie tony skrzypiec i tupanie współgrały z rytmem mojego mlaskania.

Napiłam się z galonowej butli, rozlewając wodę na koszulę.

Następnie, posługując się palcem zamiast noża, nasmarowałam masło orzechowe na kromce chleba. Nie przestawałam jeść i pić, czekając, aż mój żołądek się nasyci.

Nim skończyłam się napychać, ogarnęła mnie senność. Masło orzechowe oblepiało mi podniebienie i dziąsła. Zadowolona, na wpół śpiąca i najedzona słuchałam „eklektycznej muzyki dla eklektycznych umysłów”.

Zmęczenie zważyło mnie z nóg.

Otulona koszulą niczym kocem, po raz pierwszy uzmysłowiłam sobie, jak ciepło jest w What Rocks - jakby cały dom wstrzymywał oddech. Podłoga wydawała się jednak chłodniejsza niż cokolwiek innego. W radiu leciała teraz jedna z wolniejszych piosenek mojego ojca, „Ziele bez korzeni”, więc nawet wypadało trochę odpocząć.

W tych szczególnych momentach tuż przed zaśnięciem wyobrażałam sobie ojca na scenie w jakiejś speluncie w Los Angeles, skapanego w niebieskawym świetle pobłyskującym na załamaniach jego czarnych spodni i kurtki. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, trzymał przed sobą gitarę jak broń i ściągając górną wargę, mówił: „To dla miłości mojego życia, mojej córeczki i mojej pięknej żony”.

Nazywał to chwilą Elvisa. Każdy występ takiej wymagał.

*Ziele bez korzeni, toczone przez wiatr,
Ciekaw jestem, dokąd zmierzasz, jak daleko w świat.
Ziele bez korzeni, myśli mącisz mi,
Ciekaw jestem, kogo znajdzie, czy jej dobrze będzie z
nim...*

Matka chwaliła się, że słowa tej piosenki mówiły o niej, i nigdy nie słyszałam, żeby ojciec temu zaprzeczał. Napisał je podczas tournée po Anglii we wczesnych latach siedemdziesiątych. Tam się poznali. Moja matka, uciekinierka z Brooklynu, była cienką jak wafel osiemnastolatką i miała azjatyckiego guru o imieniu Sanjuro. Miała też The Who, a ściśle mówiąc, perkusistę Keitha Moona. Mój ojciec był wówczas idolem-gitarzystą, znanym z serii instrumentalnych hitów z lat pięćdziesiątych oraz z ekspresywnego, ostrego stylu gry, który wywarł wpływ na młodego Pete'a Townshenda. Jednak kiedy Pete zobaczył występ mojego ojca w Londynie, był wyraźnie rozczarowany. To było akustyczne wykonanie standardów country, głównie Hanka Williamsa i Johnny'ego Casha. Po występie Pete udał się za kulisy, żeby uścisnąć ojcu rękę, i zaraz potem się wymknął.

- Jestem pewien, że napisał piosenkę o tamtym wieczorze - stwierdził kiedyś ojciec na marginesie opowieści o tym, jak przedstawiono mu moją matkę. - „Punk poznaje Ojca Chrzestnego”, jestem pewien, że to o mnie. Niezbyt przyjemny hołd.

Ale Moon Pomylenieć był zachwycony.

- Nie powiedziałbym, że nie lubię country - wykrzyknął
- bo lubię!

Zjawił się w garderobie ojca przebrany za ortodoksyjnego żyda, cuchnący brandy.

- Muzyczna innowacja, krok do przodu i do tyłu zarazem - wygłupiał się. - Zupełnie jak Mozart, tylko inaczej! Węzeł gordyjski na sznurówce!

A w charakterze upominku przyprowadził ze sobą moją matkę, „premię w postaci szalonej dziewczyny dla twojej przyjemności”, która w tanecznych obrotach wpłynęła do garderoby przebrana za Fizię Pończoszanę. Miała chłopięcą sylwetkę, wysoka i szczupła, z piegami na policzkach i błyszczącymi niebieskimi oczyma.

- Nie wiem, czy to była miłość od pierwszego wejrzenia - powiedział ojciec podczas jazdy Greyhoundem - ale chyba coś w tym rodzaju. Na początku było dobrze i długo pozostało dobrze, bo czułem się przy niej jak dzieciak... i miałem jeszcze wtedy trochę pieniędzy. Poza tym wiedziała, gdzie można tanio dostać morfinę, więc zaoszczędziłem nieco forsy, bo zanim ją poznałem, kupowałem drogą chińską heroinę. A ona załatwiała mi medyczną heroinę znacznie taniej, niż płaciłem za typ numer cztery. Twoja matka miała kontakty, Jelizo-Rose. Nawet po tym, jak się przenieśliśmy do Los Angeles, wiedziała, do kogo zadzwonić i gdzie pójść. Zanim się zrobiła leniwa i tłusta, potrafiła gotować jak złoto. Robiła burittos i pizzę i różne inne dobre rzeczy. Brakuje mi tego.

Szkoda, że jej wtedy nie znałaś. Naprawdę była z niej fajna laska.

Równie dobrze mógł mówić o kimś innym. Moja matka przesypiała cały dzień, jadła na obiad batoniki i gadała do siebie po nocy. I nie była fajna.

Nie umiem określić dokładnie, kiedy zaczęłam ją nienawidzić, ale chyba od czasu gdy skończyłam dziewięć lat. Do tego momentu moi rodzice stali się kompletnymi ćpunami. Ojciec nie był w stanie dawać koncertów. Wychudł i osłabł. Matka z kolei przybrała na wadze tak bardzo, że w tych rzadkich chwilach, kiedy udawało jej się zwlec z łóżka, sprężyny wydawały z siebie jęk ulgi, a materac pozostawał wgnieciony od ciężaru jej ciała.

W wieku dziewięciu lat zostałam obarczona dwoma obowiązkami - masowaniem matce nóg oraz odkażaniem i przygotowywaniem strzykawki. Kiedy nabrałam wprawę w jednym i drugim, zdecydowanie wolałam to drugie. Ponieważ mój ojciec uważał, że publiczna edukacja ogłupia dzieci, pobierałam nauki w domu, mając do dyspozycji jedynie książki ukradzione z biblioteki (klasyczne dzieła literackie wybrane przez ojca, znacznie przekraczające moje możliwości czytelnicze) oraz popołudniowe oglądanie telewizji.

Zaraz po przebudzeniu zaczynałam rankiem pierwszą lekcję w kuchni - wciągałam do strzykawki skoncentrowany detergent z filiżanki, po czym wypuszczałam go do zlewu. Po kilkakrotnym powtórzeniu tej czynności płukałam strzykawkę i igłę w zimnej

wodzie. Następnie nabierałam trochę heroiny ze schowka w puszcze na herbatę i rozpuszczałam brązowy proszek na łyżeczce z gorącą wodą i sproszkowaną witaminą C. Potem, wspinając się na krzesło, stawałam przy kuchence gazowej i trzymałam łyżeczkę nad palnikiem, aż zawartość zaczynała bulgotać.

Po wciągnięciu roztworu do strzykawki zanosłam zadanie domowe do salonu. Ojciec albo siedział z gitarą na podłodze, albo rozwalony na kanapie wpatrywał się tępo w telewizor.

Czasami, odbierając ode mnie strzykawkę, mówił: „Dzień dobry”. Ale zwykle nic nie mówił.

Celowął w grubą żyłę biegnącą przez całą wewnętrzną stronę ramienia, robił sobie zastrzyk, a następnie - w tej krótkiej chwili, nim nastąpił odlot - zanosił resztę matce do sypialni.

Po wypełnieniu porannego rytuału właściwie nie miałam co robić aż do wieczora. Moja przerwa lekcyjna ciągnęła się godzinami. Mogłam do woli oglądać telewizję i budować w salonie namiot z krzeseł nakrytych brudnymi ubraniami i prześcieradłami, które zbierałam walające się po całym mieszkaniu. Jadałam tam posiłki w towarzystwie moich główek lalek Barbie.

Na śniadanie były dwa lody Eskimos z zamrażalnika. Na lunch miałam do wyboru dwa rodzaje nadziewanych ciasteczek. Obiad składał się z coli, batonika Milky Way i cynamonowego tosta.

Kiedy zabrakło Milky Way'ów, sięgałam po jeden z

batoników matki, których nie wolno mi było tykać. Mimo iż tygodniami nie wychodziła z sypialni, jakimś sposobem wyczuwała, że dobrałam się do jej słodyczy, i zawsze odpłacała mi za wykroczenie gwałtownym kopniakiem w podbródek, kiedy wieczorem masowałam jej stopy.

- Co ci mówiłam? - powtarzała w kółko. - Ty nędzna kreaturo, nic do ciebie nie dociera! Nie mogę cię nauczyć, że masz zostawić w spokoju, co moje!

Czegoś się jednak nauczyłam: heroina sprawiała, że ojciec popadał w zubożenie, służyła jako antidotum dla umysłu zbyt trudnego do okiełznania. Mojej matce, której życie było niedługie i pozbawione większego znaczenia, heroina nic nie dawała. Narkotyki działał na nią jak na nastolatkę, a doświadczenie nie niosło niczego szczególnego. Jej ciepła, marzycielska paplanina straciła sens. Podchodząc do jej łóżka, wiedziałam, kto tak naprawdę jest godną pożałowania kreaturą. Wiedziałam też, że w końcu mnie kopnie albo rzuci mokrą ścierką, której używała do ocierania potu ze swej nalanej twarzy. Nigdy jednak nie uderzała na tyle mocno, by mnie doprowadzić do płaczu. Przeważnie na mnie krzyczała. Czasami z sensem, najczęściej bez sensu.

Kiedy masowałam blade, tłuste nogi matki, przesuając palcami po szorstkich, pokrytych gęsią skórą łydkach, jej usta zdawały się funkcjonować niezależnie od mózgu. Zaczynała od nazywania mnie „ćpuniatkiem”, co było sygnałem, że zaraz nastąpi zmasowany atak słowny. Scenariusz był ciągle ten sam,

różniły się nieznacznie kolejne wykonania.

- Po prostu się wycofałam, to był sposób, żeby się nie zanudzić tym uwiązaniem. Nerwowe, nadaktywne dziecko, ciągły przeraźliwy płacz, wiercenie, spazmy i drgawki. Tatuś wdmuchiwał ci dym do ust, żebyś się uspokoiła, wiesz? Chyba ci to zaszkodziło, ale mnie nie obwiniaj. Bo ja cały czas karmiłam cię piersią. Oni wszyscy się mylą, kochanie, ponieważ narkotyki nie szkodzą specjalnie na pokarm. To wina twojego taty, że jesteś taka, jaka jesteś. Nie moja. Ja cię kochałam.

Oddychając z wysiłkiem, przytknęła ścierkę do czoła, a potem uniosła się na łokciach, aż sprężyny jęknęły. Głos nagle jej się zmienił, złagodniał.

- Jelizo-Rose, wiesz, że cię Kocham? Skarbie, przykro mi. Jeśli przygotujesz mi dawkę i cokolwiek do jedzenia, wkrótce zrobię dla ciebie coś miłego. Obiecuję, dziecinko.

Ja również zawsze odgrywałam swoją rolę, przytakuując, w pełni świadoma kłamstwa - nigdy nie robiła dla mnie nic miłego. Jednak opuszczając miejsce przy jej łóżku, zmuszałam się do uśmiechu, mimo iż cierpiałam na myśl o konieczności powrotu do sypialni matki i dotykania jej opuchniętego ciała.

A tamtego popołudnia, kiedy zsiniała i zmarła na skutek niewydolności oddechowej, biegałam w podskokach po salonie, pogwizdując melodię z „Ulicy Sezamkowej”. tę najradośniejszą piosenkę na świecie.

- Zabił ją metadon - powiedział ojciec. Siedział na kanapie ogłupiały, patrząc błędnym wzrokiem. -

Powinienem jej dać to, co zwykle, obciąć dzienną dawkę i na tym ją trzymać.

Logika ópuna: w nadziei, że kiedyś wyjdzie z nałogu, wymienił buicka na pigułki, chociaż wiedział, że metadon bardziej uzależnia, jest bardziej niebezpieczny i częściej prowadzi do śmierci niż heroina.

Chowając twarz w dłoniach, powiedział:

- Teraz ona nie żyje, a ja nie mam samochodu.

Tydzień wcześniej on i matka postanowili zrezygnować z dawania sobie w żyłę. Trudna decyzja zapadła po tym, jak którejs nocy ogołocoło nasze mieszkanie. Pamiętam, że obudził mnie odgłos wyłamywania drzwi, a potem usłyszałam, jak ojciec krzyczy:

- Wypieprzajcie stąd! Powiedziałem, że w czwartek będę miał forszę! Pogadajcie z Leo, tak mu mówiłem!

Słysząc było też inne głosy, spokojne, ale zabarwione tonem pogróżki:

- Słuchaj, Noah, mamy tego dość. - A po chwili: - Żadnych więcej jaj, rozumiano?

Leżąc w łóżku, udawałam, że to tylko straszny sen.

Następnego ranka znalazłam ojca w kuchni. Wysypywał do zlewu zawartość puszki z cukrem. Ręce mu się trzęsły.

- Się masz, złotko - odezwał się, szcękając zębami.

Nie było mikrofalówki. Tostera także.

Z salonu znikły telewizor, magnetowid i wieża stereo.

- Człowiek z Bagien złożył nam wizytę - powiedział ojciec. - Ale już wszystko w porządku. Rozmawiałem z

twoją matką. Wszystko gra. Zobaczysz.

Zaczęłam płakać, nie z radości czy ulgi, tylko dlatego, że myśl o ludziach z bagien wdzierających się do mieszkania nappełniała mnie przerażeniem.

Ojciec odstawił puszkę.

- O, nie, wszystko jest w porządku. - Próbował mnie podnieść, ale nie mógł zebrać dość siły. Tylko więc mnie przytulił i poklepując po szyi, powiedział: - Kiedy tatuś ostatnio to robił? Już jest lepiej. - Czułam, jak drżą mu palce, dłonie się pocą. - Nie ma się czym martwić, córeczko.

I prawie mu uwierzyłam.

Ale tamtego dnia, kiedy ciało matki leżało w ich sypialni, przyszła moja kolej na pocieszenie. Od przedawkowania minęło około dwunastu godzin, nim nastąpiły skutki. Zaczęło się od nieregularnego oddechu, a skończyło na sinej skórze i źrenicach pomniejszonych do ledwie widocznych punkcików, lecz ojciec wciąż oczekiwał, że matka dojdzie do siebie. Na koniec, próbując przywrócić matkę do życia, polał jej twarz zimną wodą, i to jednak nie pomogło.

- Proszę, nie bądź smutny - powiedziałam do niego w salonie, kładąc głowę na jego ramieniu. - Jeśli chcesz, pojedziemy do Jutlandii.

Uśmiechnął się przelotnie.

- Byłoby wspaniale, co?

- Tak. I możemy też jeść jej batoniki.

Przygarnął mnie mocno do siebie.

- Nikt mi cię nie odbierze. Nie ma mowy. Wyjeżdżamy, okay?

- Okay.

Podczas gdy ja pośpiesznie się pakowałam, ojciec owinał ciało matki od stóp do głów w pościel. A potem zawołał mnie do ich sypialni.

- Gdyby była łodzią wikingów - oznajmił - musielibyśmy ją pochować z końmi, jedzeniem i złotymi naczyniami.

Miał na sobie plecak i wyraźnie był gotów ruszać w drogę. Stałam obok niego z moją walizeczką, gapiąc się na zawinięte zwłoki. Mimo że matka nie żyła, jej ciało wydzielało mocny zapach potu.

- Chciałabyś coś powiedzieć?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem. Wygląda jak mumia.

Ojciec westchnął.

- Ja właściwie powiedziałem wszystko, co chciałem, kiedy żyła, więc nie ma co marnować czasu.

Wyciągnął z kieszeni jednorazową zapalniczkę i pstrykając, usiłował podpalić materac. Materac nie chciał się jednak zająć i w końcu ojciec dał sobie spokój.

- To i tak był zły pomysł. Mógłby się spalić cały budynek i wszyscy inni.

Kiedy wychodziliśmy z sypialni, przystanąłam w progu, żeby po raz ostatni spojrzeć na matkę, wyobrażając sobie jej zduszony oddech w chwili śmierci. Jej arterie płucne zatkały się krwią, tłocząc płyn przez naczynia

włosowate do płuc. W gwałtownych drgawkach przedśmiertnych dziko kopała tłustymi nogami, nadwężając sprężyny do granic wytrzymałości.

- Chodź - ponaglił mnie ojciec. Czekał w głębi korytarza. - Nie patrz, to przynosi pecha.

- Mama nie żyje - powiedziałam, odwracając się do niego.

Ściskając w dłoni walizkę, pomyślałam: Biedna królowa Gunhilda, że tak utonęła w bagnie.

Rozdział 5

Była jeszcze noc, kiedy pojawił się tajemniczy pociąg. Gwizd przedarł się do mojego snu, przybierając formę dzwonka do drzwi.

Obudziwszy się na kuchennej podłodze, słuchałam, jak wagony towarowe przetaczają się wzdłuż posiadłości babki, i wyobrażałam sobie, jak szkolny autobus trzęsie się na pastwisku. Wkrótce gwizd przycichł i jedyny dźwięk dochodził z przenośnego radia - spikerka czytała wiadomości:

- Doniesienia z Białego Domu, sprzeczne z wcześniejszym oświadczeniem...

Przetarłam oczy, ziewając. Następnie usiadłam i rozejrzałam się po kuchni.

Butla stała na blacie, bez zakrętki. Podłogę zaśmiecały okruchy z krakersów. Koszula nocna miała gdzieś wilgotne plamy po wieczornym posiłku. Zaschło mi w gardle, ale kiedy polizałam pękniętą wargę, poczułam masło orzechowe zamiast krwi.

- Cud - szepnęłam, czując, jak gładka masa wypełnia mi żyły.

Gdybym nagle nie poczuła się taka samotna, wybuchnęłabym śmiechem, wyobrażając sobie, że jestem Dziewczynką z Masła Orzechowego, składającą się jedynie z kości, ciała i rozgniecionych jadalnych ziaren.

- Tato! - zawołałam, podnosząc się z podłogi. - Jestem w kuchni!

Brzeg koszuli plątał mi się pod stopami, udałam więc, że to podeszwy satynowych pantofelków, i suwając nogami, przeszłam do pieca. Zabrałam stamtąd radio i przez jadalnię udałam się do salonu.

- Tato?... Byłam w kuchni. Tato?...

Miałam nadzieję, że mój głos, niczym pianie koguta, obudzi ojca. Zniknie drętwa usztywniająca jego głowę, twarz, całą postać. Że szybko podniesie się z fotela. Ale stając przed nim z radiem, dostrzegłam jedynie nieznaczną zmianę w jego wyglądzie. W ponurym oświetleniu salonu jego wargi miały fioletowy odcień, a oddech prawie ustał. Unosząc przeciwsłoneczne okulary, napotkałam nieruchome, lodowate spojrzenie - obie źrenice zmały tak, że właściwie nie było ich widać - szybko więc opuściłam okulary z powrotem na oczy.

- Przyniosłam ci to - powiedziałam, kładąc mu radio na kolanach. Potem przykucnęłam u jego stóp, podwijając nogi pod koszulą, i patrzyłam nań od dołu.

- Trzy osoby zginęły w wypadku autobusu - mówił spiker. - Autobus wypełniony cheerleaderkami z Uniwersytetu Teksasńskiego w Austin dachował wczoraj niedaleko Georgetown. Trener i dwie cheerleaderki zginęły, siedem innych odniosło obrażenia, z czego cztery są w ciężkim stanie. Specjalna komisja bada okoliczności wypadku.

Przypomniałam sobie wtedy, jak podczas podróży

Greyhoundem ojciec trzymał radio przy uchu, słuchając podobnych wiadomości.

- Będą mnie szukać - wyjaśnił mi. - Muszę mieć stały dostęp do informacji. - Jednakże przez całą podróż ani razu nie wspomniano o nim czy o zwłokach mojej matki, co trochę go chyba rozczarowało. - Wygląda na to, że już się nie liczę, Jelizo-Rose - stwierdził później. - Nie jestem wart pieprzonych wiadomości.

Kucając przy jego butach, miałam ochotę wyznać, jak bardzo liczy się dla mnie i jak dobrze mi tylko z nim w What Rocks, choć to nie Dania. Łzy zebrały mi się pod ciężkimi ze zmęczenia powiekami.

- To nie twoja wina, że ona nie żyje - powiedziałam. - I tak nie była zbyt miła.

Wyobraziłam sobie, że odpowiada:

- Nie płacz, wszystko jest w porządku.

Ale nie było w porządku, więc mu to powiedziałam:

- Jest okropnie!

Skuliłam się na podłodze, oddychając głęboko.

- Już dobrze - odpowiedziałam za niego. - Jesteś bezpieczna.

Wyobraziłam sobie, jak głodzi mnie uspokajająco po szyi.

Znów wyczerpana zaczęłam zapadać w drzemkę. Przed zaśnięciem pomyślałam o Człowieku z Bagien spoczywającym w torfie. Klekocząc kośćmi, próbował się wydobyć na powierzchnię. Ale po pierwszej nocy spędzonej na odludziu myśl o nim już mnie tak nie

przerażała.

- Przetrwał tysiące lat - powiedział kiedyś ojciec. - Po prostu leżał i czekał na powrót do życia.

- Proszę, wróć do życia - szepnęłam. Radio na kolanach ojca cichło, baterie traciły moc. - Proszę...

Wiatr hulał wokół What Rocks, świszcząc na ganku, uderzając liną o metalowy maszt. Cały dom drżał. Na pastwisku szkolny autobus kołysał się lekko, łan sorga falował. W oddali rozległ się grzmot. A ja spałam w środku, wiatr zawodził w moim śnie niczym róg, a gdzieś daleko tajemniczy pociąg gwizdał dla nikogo, tocząc się przez pustkowia, oddalając się od nas coraz bardziej i bardziej.

Rozdział 6

Ziewnęłam, przekonana, że dopiero świta, ale promienie słońca wpadające przez okno i rzucające jasne smugi na podłogę mówiły co innego. W salonie było ciepło i jasno. Słońce oświetlało dolną część nocnej koszuli, spod której wystawały moje stopy.

- Dzień dobry - mruknęłam do siebie, unosząc głowę z czubków butów, służących mi za niewygodną poduszkę.

Wstałam szybko i na gołych piętach odwróciłam się do ojca.

- Dzień dobry.

Jego skóra, już wcześniej blada, zrobiła się zupełnie bezbarwna. Małżowiny uszne, podbródek, ramiona i końce palców miał przebarwione na sino. Wyglądało na to, że przez noc ustąpiła nienaturalna sztywność ciała. Napięcie wokół ust i nosa znikło, twarz mu się zapadła, przybierając niemal dobroduszny wyraz. W dziennym świetle widać było, że jest całkiem bezwładny, jego mięśnie nie panowały już nad niczym. Przez chwilę trzymałam go za rękę, wpatrując się w ciemne okulary. Nie był zimny. Miał temperaturę zbliżoną do tej, jaka panowała w pokoju. A na jego policzkach zaczął się pojawiać zarost.

Nie martwiłam się zbytnio. Zdarzało mu się to już wcześniej; w poprzednim mieszkaniu czasami siedział

przed telewizorem przez kilka dni, jak posąg, albo zwinięty na kanapie spał i spał, i spał. A potem nagle się budził. Wstawał z kanapy, robił sobie kawę i coś do jedzenia, cały w uśmiechach.

- Byłeś martwy? - spytałam go kiedyś.

- Złotko, mnie nic nie zabije - odpowiedział. - Tatuś był jedynie na wakacjach. Tak to ze mną jest, z mamusią też. Po prostu bawimy się w umarłych.

Bawili się w umarłych całymi dniami, kiedy ja czekałam w towarzystwie swoich zabawek, oglądałam telewizję i zastanawiałam się, kiedy wrócą do żywych. Zawsze wracali. Tyle że teraz mama naprawdę nie żyła - wiedziałam to na pewno. Ale z ojcem było inaczej, znów bawił się w umarłego, był na wakacjach w Danii albo gdzie indziej. Zresztą nie zdarzało się, żeby ludzie tak po prostu siadali i umierali. Tarzali się po ziemi spoceni, krzyczeli i wtedy umierali. Tak jak w telewizji, tracili oddech, krwawiąc obficie, albo padali na ziemię w bólach. Trzymali się za różne części ciała i mieli otwarte oczy, dopóki wreszcie nie skonali. Mnóstwo razy widziałam w telewizji, jak ludzie umierają, i nigdy nie było tak, żeby usiedli i od razu umarli. Nie bawili się w umarłych i nie wyjeżdżali na wakacje. Umierali jak mama.

- Jesteś na wakacjach?

Zamiast czekać na odpowiedź, wzięłam z jego kolan radio i przyłożyłam sobie do ucha. Kręciłam gałką i przesuwałam wskazówkę na skali od jednego końca do drugiego. Nie działało, więc z westchnieniem odłożyłam

je z powrotem na kolana ojca.

- Bo jeśli nie - powiedziałam - to wcale nie jest zabawne.

Ze złości miałam ochotę biegać po pokoju i walić nogami w podłogę. Ale tak bardzo chciało mi się siusiu, że aż bolał mnie brzuch.

- Nie będę z tobą rozmawiać - zagroziłam. - To wcale nie jest przyjemne. Tobie też by się nie podobało.

Odeszłam urażona, przystając tylko na chwilę, żeby się wyswobodzić z nocnej koszuli, i naga pędem wybiegłam przed dom.

Czyste niebo rozpościerało się nad łanami sorga. Omijając zardzewiałe gwoździe wystające z belek, mrużyłam oczy przed ostrym słońcem grzejącym mnie w nogi i tułów. Zeszłam na podwórze, przykucnęłam obok dolnego stopnia schodów i zaczęłam sikać na chwasty. Obfity strumień moczu opryskiwał mi kostki. W końcu utworzyła się pode mną niewielka kałuża i musiałam przesunąć stopy, żeby ich nie zamoczyć.

Skończywszy sikać, z ulgą podniosłam wzrok... i ku swemu zdumieniu ujrzałam łanię, nie dalej niż dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie kuciałam. Wynurzyła się z wysokiej trawy i pochylając długą szyję, skubała pokrzywy. W pierwszej chwili byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co robić. W końcu wzięłam głęboki wdech, wyprostowałam się i zagadnęłam:

- Cześć, jesteś głodna?

Poderwała głowę i zastrzygła uszami, kierując na mnie

spojrzenie wielkich oczu. Nie odrywając od niej wzroku, schyliłam się i zerwałam garść chwastów, wilgotnych od mojego moczu. Potem podeszłam do niej, ostrożnie stawiając nogę za nogą, trzymając zielsko w wyciągniętej ręce. Widząc, że się zbliżam, łania zerwała się do ucieczki. Wtedy zauważyłam, że jej lewa tylna noga zwisa bezwładnie ze stawu, jakby miała uszkodzoną kość udową.

- Nie odchódź! - zawołałam, patrząc, jak susami umyka w gęstwinę traw, wlokąc za sobą nogę, a potem znika na bydlęcym trakcie. - Wróć! - Zmiałam chwasty w dłoni i rzuciłam je na ziemię. - Głupia, miałam dla ciebie jedzenie!

Wahałam się, czy za nią nie pobiec. Gdyby wiedziała, jak szybko potrafię biegać, pewnie by się ze mną zaprzyjaźniła. Mogłabym ją wówczas karmić i głaskać, wziąć do domu, żeby tam spała. Wyobrażałam sobie, jak leży w kuchni z nogą obwiązaną koszulą niczym jedwabnym bandażem, a ja się do niej przytulam. Porzuciłam jednak myśl o pościgu, kiedy z tyłu dobiegi mnie jakiś harmider.

Odwróciłam się gwałtownie, ale hałas nagle ucichł. Osłaniając dłońmi oczy, rozejrzałam się po ganku. Nie dostrzegłam niczego niezwykłego. Uniosłam głowę i na okapie nad gankiem zobaczyłam szarą wiewiórkę; zastygłe w bezruchu zwierzątko, z puszystym ogonkiem zadartym niemal nad głowę, przyglądało się z ciekawością nagiemu dziecku.

- Widzę cię - powiedziałam z uśmiechem. - Wiem, że tam jesteś. Nie schowasz się przede mną.

Machając gwałtownie kitą, wiewiórka zagadała do mnie niezrozumiale i z wyraźną irytacją. Wykonała kilka nerwowych ruchów na krawędzi okapu, to w prawo, to w lewo, rzucając mi pytające spojrzenia, po czym zwinnie pomknęła po dachu na wschodni kraniec What Rocks. Ruszyłam za nią podwórzem; wysokie badyle wyrastające spod ganku drapały mnie po nogach.

- Co mówiłaś? - spytałam.

Niczym Spiderman wiewiórka przebiegła po ścianie, co chwilę nieruchomiejąc i jakby z wahaniem znów podrywając się do biegu po zewnętrznym szalunku. Zatrzymała się na dłużej przy oknie pokoju ojca na piętrze, gdzie widniała dziura po sęku. Choć otwór wydawał się zbyt wąski, zniknęła w nim do połowy, przez chwilę trajkotała ze sterczącym na zewnątrz zadkiem i ogonkiem, po czym bez wysiłku przecisnęła się do środka.

- Zaczekaj - poprosiłam z nadzieją, że może mnie słyszała i wróci. - Nie rozumiałam, co mówisz.

Ponieważ dziura znajdowała się przy oknie, wyobrażałam sobie, że wiewiórka kręci się po sypialni ojca, szpera w plecaku, obwąchuje pustą butelkę po sznapsie. Przypomniałam sobie film dokumentalny, który oglądałam kiedyś z ojcem w telewizji; pokazywali w nim, jak mądre potrafią być wiewiórki - zwisając głową w dół z gałęzi, kradną ziarno z karmników i skaczą z drzewa na drzewo, by uniknąć wymyślnych pułapek, zastawianych

na trawnikach przez wściekłych właścicieli posesji.

- Gołębie bez skrzydeł. - Tak nazwał je wtedy ojciec.

Czasami chodziliśmy we dwójkę na długie spacery wzdłuż rzeki Los Angeles. W Parku Webstera ojciec lubił przeganiać gołębie ze ścieżki, wymierzając im kopniaki. Jeśli można powiedzieć, że nie znosił gołębi, to wiewiórek nie cierpiał jeszcze bardziej.

- Są jak szczury - wyjaśnił. - Wszystko gryzą, nawet metal. Paskudztwo. Po szczurach przynajmniej wiesz, czego się spodziewać.

- Chyba nie lubię szczurów - przyznałam.

- A ja nie lubię wiewiórek - odpowiedział na to.

Jako chłopiec został ugryziony przez wiewiórkę, którą złapał do skrzynki po mleku.

- Przecięła mi skórę na kciuku tak fatalnie, że mogłem się wykrwawić na śmierć. Razem z kuzynem zatłukliśmy ją kijem bejsbolowym, ale wcześniej ogłupiała i rozwścieczona próbowała mi wejść do nogawki spodni. Jestem pewien, że ta zaraza chciała mi zrobić coś złego. Potem miesiącami miałem straszne sny, że w mojej sypialni, w moim łóżku jest pełno zwariowanych wiewiórek, wplątują mi się we włosy, wbijają długie żółte zęby w moją czaszkę, wszystko rozszarpują. To było okropne.

Na tych popołudniowych spacerach ojciec często podnosił z ziemi odpowiedni kamień, schodziliśmy ze ścieżki, kryliśmy się za krzakiem i czekaliśmy przykucnięci. Gdy tylko pojawiła się wiewiórka, ojciec

wyskakiwał i rzucał kamieniem jak piłką bejsbolową. Zazwyczaj chybiał, ale przynajmniej trzy razy udało mu się dobrze wycelować i trafiona wiewiórka koziółkowała po trawie.

- Mam cię - cieszył się, kiedy oszołomiony gryzoń niezdarnie próbował stanąć na nogi. - Patrz na to głupie zwierzę!

Stojąc pod oknem, wiedziałam, że ojcu nie spodoba się to, iż po farmie płacze się jakaś wiewiórka.

- Będiesz mieć kłopoty - zawołałam w stronę dziury po sęku. - Nie powinnaś tam wchodzić! - Najwyraźniej mnie nie słuchała, więc wbiegłam na ganek, tym razem także uważając na wystające gwoździe.

Przechodząc przez salon, powiedziałam do ojca:

- Nie zdradzę ci sekretu, boby ci się nie spodobał.

Wchodząc po schodach, myślałam o tym, że jeśli wiewiórka zamieszkuje w What Rocks, będę potrzebowała pomocy. Zastanawiałam się, która z główek Barbie zechce się do mnie przyłączyć. Po obejrzeniu wszystkich rozłożonych na materacu, decyzja nie była trudna. Główka Barbie Magiczne Loki, z gęstą blond fryzurą, była za miękka. Główka Barbie Modne Dżinsy była uszkodzona, podobnie jak główka Barbie Krój i Szyk - ktoś wydlubał dziurę w prawym oku Modnych Dżinsów, a czoło i oczy Kroju i Szyku były zamalowane na czarno długopisem. Mój wybór padł na główkę Barbie Klasyczny Bal Dobroczynny, moją ulubioną i jedyłą, która miała dobrze umocowane rzęsy.

Nakładając główkę Klasycznej na środkowy palec, spytałam:

- Jesteś gotowa?

- Oczywiście - odpowiedziała. - Jestem gotowa od urodzenia.

- To dobrze, bo może być całkiem niebezpiecznie.

- Cudownie.

Weszliśmy do łazienki, skradając się przy drzwiach do sypialni ojca.

- Boję się - szepnęłam. - A jeśli będzie chciała mnie ugryźć?

- Bzdura. Jesteś dużą dziewczynką. Wiewiórka to tylko wiewiórka.

- Wiem. - Przekreśliłam gałkę. - Ale ty idź pierwsza.

Zawiasy skrzypnęły, kiedy uchylałam drzwi. Przed wejściem upewniłam się, czy wiewiórka nie zwisa z futryny, gotowa spaść mi na głowę. Następnie wyciągnęłam rękę, wysuwając Klasyczną na prowadzenie.

- Widzisz - odezwała się - jest całkiem bezpiecznie.

Wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej - brudne ubrania, butelka po sznapsie, plecak, lampka na nocnym stoliku, dywanik na podłodze.

- Jestem pewna, że ona tu jest - powiedziałam, robiąc krok w głąb pokoju.

Spodziewałam się, że zastanę wiewiórkę na materacu, stojącą słupka, z odsłoniętymi zębami, wyciągającą przednie łapki w moją stronę.

- Nie bądź taka pewna, kochanie.

Zajrzałyśmy pod łóżko, ale były tam tylko kłęby kurzu, zwinięta gazeta i wyschnięte szkielety chrabąszczy. Potem wdrapałyśmy się na materac, żebyśmy mogła sprawdzić parapet, szukając wylotu dziury po sęku.

- Skąd ona wychodzi?

- Nie mam pojęcia - odparła Klasyczna. - Może jest zaczarowana. Może tak naprawdę nie jest wiewiórką, tylko elfem.

Przytknęłam nos do drewnianej okładziny, węsząc jak pies za jakimkolwiek śladem wiewiórki. Silny zapach masła orzechowego uderzył mnie w nozdrza, niemal wywołując kichnięcie. Odwróciłam głowę i dotykając desek uchem, zaczęłam nasłuchiwać.

- Nawet nie dorównuje gołębiowi - powiedziałam.

- Chyba że jest zaczarowana. Myślę, że właśnie to chce ci powiedzieć.

- Możliwe - zgodziłam się. W tym samym momencie zza ściany dobiegł odgłos szurania. - Słyszysz?

- Chyba tak.

- Jest w ścianie. - Poklepałam miejsce na lewo od parapetu - Klasyczna, ona tam jest. - Kiedy postukałam mocniej, hałas ucichł.

Usłyszałam skrzeczenie.

A potem zapadła cisza.

- Co teraz zrobimy?

- Jeśli chcesz znać moje zdanie - zaczęła Klasyczna - to uważam, że powinnaś się ubrać. W ubraniu nie wystraszysz zwierzaka.

- Masz rację - powiedziałam zawstydzona.

- Wiem, że mam - odparła.

Wróciwszy do swojej sypialni, położyłam Klasyczną obok innych główek Barbie i podniosłam z podłogi sukienkę.

- Nie wierzę w elfy. Poza tym jedynie świetliki są podobne do elfów, wiewiórki nie. Wiewiórkom siedzenia nie świecą, tylko świetlikom i elfom.

Już w sukience usiadłam na brzegu materaca, ze skarpetkami i tenisówkami na kolanach. Skarpetki śmierdziały, podobnie jak moje stopy.

Obejrzałam brązowy od brudu spód prawej stopy. Przed założeniem skarpetki powąchałam piętę, wciągając głęboko ostry zapach.

- Ohyda - parsknęłam śmiechem. - Ser do spaghetti.

Nagle zaburczało mi w brzuchu. Dziewczynka z Masła Orzechowego potrzebuje śniadania, pomyślałam. Przypomniałam sobie o skaleczonej wardze, przesunęłam po niej językiem, ale nie wyczułam śladu pęknięcia, więc wlokąc za sobą sznurówki, skierowałam się do łazienki.

Stojąc przed lustrem, wywinęłam wargę do dołu.

- Przestań robić miny - powiedziałam do swego odbicia, naśladowując ton matki.

Ranka całkiem się zagoiła; zrobiłam tylko zezą, krzywiąc się do lustra.

- Jesteś beznadziejna, Jelizo-Rose. Do czego ty się nadajesz? Nie potrafisz nawet krwawić.

Uklękłam, żeby zawiązać tenisówki. Robiąc węzeł na

sznurówce, zauważyłam pod umywalką niewielkie drzwiczki, wykonane z tego samego drewna co obicia ścian. Były zamknięte na pordzewiałą zasuwkę.

Wyobraziłam sobie, że to drzwiczki, które Alicja otworzyła w króliczej norze, i znajduje się za nimi przejście do ogrodu pełnego ukwieconych klombów i chłodnych wodotrysków. A ponieważ otwór był większy niż ten, który odkryła Alicja, niepotrzebna była butelka z etykietką WYPIJ MNIE.

- Klasyczna - zawołałam, napierając obiema rękami na zasuwkę - tu jest wejście! - Miałam na myśli wylot dziury po sęku. Wiewiórko, nie ukryjesz się przede mną.

Kiedy zasuwka wreszcie puściła i drzwiczki stanęły otworem, poczułam wilgotny przeciąg, który wniósł do łazienki zapach trocin. Z miejsca, gdzie kucałam, nie sposób było dostrzec, co znajduje się za drzwiczkami, widać było jedynie mroczną wnękę, słabo oświetloną naturalnym światłem. Żadnego przejścia, ogrodu ani wiewiórek pijących wodę z fontann.

Wróciłam do Klasycznej, która powiedziała:

- Weźmy ze sobą Magiczne Loki. Może nam pomóc.

- Wchodzimy tam? - spytałam, nakładając główkę Barbie Magiczne Loki na mały palec.

- No pewnie. Dlaczego by nie?

- Nie chcę tam iść - wzbraniała się Magiczne Loki. - To nie jest dobry pomysł.

- Cicho bądź, mazgaju - skarciła ją Klasyczna. - Ty nie idziesz z nami, będziesz stać na straży.

- Dlaczego nie mogą tego robić Modne Dżinsy albo Krój i Szyk?

- Możesz mi wierzyć, wolałabym którąś z nich - powiedziała Klasyczna. - Ale ty masz dobre oczy, więc to twoje zadanie, zrozumiano? A jeśli będziesz ciągle narzekać, to razem z Jelizą-Rose obetniemy ci włosy aż do skóry.

- Proszę, nie róbcie tego - pisnęła Magiczne Loki. - Będę grzeczna.

- Lepiej się postaraj - ostrzegłam. - Po prostu pilnuj.

Zostawiłam Magiczne Loki przed drzwiczkami w łazience.

- Bądźcie ostrożne - poprosiła.

- Będziemy - obiecałam.

- Jeśli nie wrócimy za godzinę - powiedziała Klasyczna do Magicznych Loków - ruszaj za nami, bo to będzie znaczyło, że zostałyśmy sproszkowane.

Następnie obie z Klasyczną weszłyśmy do otworu i znalazłyśmy się na warstwie izolacji z włókna szklanego na strychu.

- To mała jaskinia - powiedziałam, mrugając, żeby przyzwycząić wzrok.

Dzienne światło wpadające przez boczny kanał wentylacyjny sprawiało, że strych był mniej mroczny, niż mi się z początku wydawało.

Ze ściany za nami wystawały rury kanalizacyjne.

Nad naszymi głowami biegły przewody elektryczne, czerwone, czarne i żółte.

Przed nami stały trzy kartonowe pudła i wielka skrzynia.

- Zajrzyjmy do tych pudeł - powiedziała Klasyczna.

- No, nie wiem.

- Znowu się boisz?

- Nie wiem.

- Nie bój się. Co strasznego może być w pudle?

- To ta skrzynia ze skarbami jest straszna.

- Założę się, że są w niej jedynie pantofelki i może złoto.

- Albo coś zabitego - dodałam i wysuwając Klasyczną do przodu, pochyliłam głowę, żeby ominąć pajęczyny i strzępy izolacji zwisające ze skośnego sufitu.

- To rzeczy babki - powiedziała Klasyczna.

- Aha - potwierdziłam, ścierając grubą warstwę kurzu z pudeł.

Wszystkie trzy pudła podpisane były grubym flamastrem, każde innym słowem (Płyty, Książki z obrazkami, Gwiazdka). W pierwszym znajdowały się stare płyty długogrające, zapakowane na chybił trafił, w zwykłych papierowych okładkach, równie kruchych jak same płyty. Drugie pudło zawierało sześć albumów ze zdjęciami, ale nie udało nam się rozpoznać żadnych twarzy na czarno-białych fotkach przedstawiających dzieci jeżdżące na skuterze, trójkołowym rowerku i koniu, mężczyzn i kobiety podczas pikniku na polu, wyprawę na

ryby, ślub oraz prostokątny ceglany dom otoczony przez inne prostokątne ceglane domy.

- Sami obcy - stwierdziła Klasyczna. - Nieznajomi.

W trzecim pudle schowano zniszczone ozdoby choinkowe; zielone, srebrne i czerwone skorupy z nienaruszonymi haczykami do zawieszania.

- Bezużyteczne śmieci.

- Zupełnie bezwartościowe. Potrzebujemy złota... i pantofelków. Złote pantofelki też mogłyby być.

Skrzynia cuchnęła naftaliną. W środku były trzy blond peruki, splecione w jeden kołtun, którego się przestraszyłam.

- To głowa - powiedziałam, cofając się.

- Nie - uspokoiła mnie Klasyczna. - Popatrz, są też ubrania.

Zajrzałam ponownie do skrzyni i odkryłam, że peruki należą do kompletu, pasują do dwóch długich puszystych boa rozciągniętych na szerokiej koszuli. Były też nakrycia głowy: czepek, toczek i podarty kapelusz w kształcie hełmu. Głębiej, wciśnięty między pledy i haftowane kołdry, spoczywał wielki słoik z czarną kosmetyczką w środku, jakby przedmioty z kosmetyczki miały przetrwać na wieki, zabezpieczone przed gorącem i kurzem panującymi na strychu.

- Chciała być piękna - powiedziałam do Klasycznej, wyobrażając sobie babkę przed głównym wejściem do What Rocks; owinięta jednym z boa, machała do kogoś dłonią w rękawiczce. Karminowe usta miała ściągnięte,

spod hełmiastego kapelusza wystawała ufryzowana blond peruka.

- Nie była piękna - zaprotestowała Klasyczna. - Była stara.

- Była moją babką.

- Była brzydka i chowała w pudłach same śmieci.

- Kłamiesz. Jeśli się nie zamkniesz, to wychodzimy stąd.

Zostałyśmy jednak na strychu, dopóki sobie nie przypomniałam o Magicznych Lokach. Odwróciłam się, spoglądając na drzwiczki. Klasyczna na moim palcu pokiwała głową, ale się nie ruszyłyśmy. Z miejsca, gdzie stałyśmy, drzwiczki wydawały się prawie tak małe, jak dziura po sęku.

- Jesteśmy wiewiórkami - odezwałam się w końcu.

Klasyczna nie mogła powiedzieć nic, czego bym jej nie włożyła w usta.

- Jeliza-Rose i Klasyczna szukają nas na zewnątrz - powiedziałam. - Ale nie mogą znaleźć naszej kryjówki.

Kiedy wracałyśmy do łazienki, ściągnęłam główkę z palca i zacisnęłam w dłoni, udając, że moje stopy zostawiają ślady zwierzęcych łapek na brudnej podłodze.

Rozdział 7

Planowałam wybrać się na pastwisko o zmierzchu i czekać w autobusie na świetliki. I nie miałam zamiaru pozwolić, żeby pociąg mnie zaskoczył. Właśnie po to wyciągnęłam ze skrzyni na strychu płócienny czepek babki - w chwili nadjechania pociągu czepek założony na głowę i zawiązany pod brodą chroniłby mi uszy.

Jednakże po zabraniu czepka zaczęły mnie swędzieć łydki - przeciskając się przez drzwiczki, ocierałam skórą o szklane włókno izolacji.

- Coś okropnego - poskarżyłam się Klasycznej w sypialni.

- Rozdrapiesz do krwi - powiedziała, obserwując z mojego palca, jak szoruję paznokciami po łydkach. - Podrap mocniej, to się skaleczysz.

Drapałam się jak szalona, dopóki ból nie stał się silniejszy od swędzenia. Westchnęłam z ulgą, opadając na łóżko.

- Teraz dobrze. - Skóra na nogach dosłownie mnie paliła. - Znacznie lepiej.

- Nudzę się. To nudne. Chodźmy na ganek.

Klasyczna krążyła mi przed nosem niczym mucha, toteż zakreśliłam palcem, wprowadzając ją w wirowanie.

- Przestań! - zawołała. - Kręci mi się w głowie i mam ochotę rzygać.

- Nie będziesz rzygać. Nie możesz. Twoje usta nie funkcjonują. - Na wszelki wypadek przestałam poruszać palcem.

Matka ostrzegała mnie przed kręceniem się w kółko, mówiła, żebym nie robiła tego w mieszkaniu, zwłaszcza po jedzeniu. Twierdziła, że takie obracanie się powoduje wymioty. Ale ja nigdy nie miałam mdłości. Kręciłam piruety z wyciągniętymi ramionami podczas przerw na reklamę. Uwielbiałam to robić w salonie - chrzęst dywanu pod stopami, migająca plama telewizora - kiedy matka była nieprzytomna, a ojciec spał na kanapie. Obrazy ze ścian zmieniały się w zamazaną smugę kolorów, nitki wytartego dywanu zaczepiały o palce nóg, odgłos telewizora docierał do uszu w postaci szumu. Nad moją głową nierówny sufit tworzył mleczny wir, w miarę przyśpieszania wygładzały się wybrzuszenia na tynku, wszystko ulegało spłaszczeniu, krawędzie się rozmywały. Kolejny obrót w przeciwnym kierunku, nitki dywanu ciągną, wrzynają się w palce, a salon łagodnie zmienia bieg.

Kiedy matka akurat nie spała, słyszała ze swojej sypialni odgłosy mojego wirowania. I krzyczała. Wolno mi było jedynie robić szpagat w salonie i stawać na rękach na moim łóżku. Materac znajdował się blisko podłogi, był mocny i szeroki, więc upadając, nie skręciłabym sobie karku. Niemniej stanie na rękach było męczące, przeto zwykle po paru razach rezygnowałam. Szpagaty były w porządku. Czasami matka kazała mi je robić w swojej

sypialni i uśmiechała się, kiedy dotykałam nosem podłogi. Ale tak naprawdę uwielbiałam kręcenie się w kółko w salonie i wirowanie w głowie, które po nim następowało.

Mimo swędzących nieznośnie nóg zaczęłam obracać się na ganku, aż zaskrzypiała drewniana podłoga. To był pierwszy raz od czasu opuszczenia naszego mieszkania w Los Angeles, chociaż miałam ochotę pokręcić się w przejściu między siedzeniami Greyhounda. Z Klasyczną, Magicznymi Lokami i Modnymi Dżinsami na palcach wirowaliśmy wszystkie cztery jak szalone. Krój i Szyk została na górze. Była na to zbyt ślepa.

- Oczy, które nie widzą, nie lubią wirowania - oświadczyła Klasyczna, kiedy zbierałam główki. Zresztą i tak nigdy nie bawiłyśmy się z Barbie Krój i Szyk, chyba że urządzałyśmy proszoną herbatkę - wtedy zostawała honorowym gościem.

Nasz kątek ganku był zacieniony, panował w nim przyjemny chłód. Słońce padało nieco dalej, na schody prowadzące na podwórze. Ale ten zakątek stanowił miejsce obleżenia; mrówki żołnierze przemieszczały się trzema długimi liniami, tam i z powrotem wzdłuż desek, w górę i w dół po słupkach balustrady. Wychodziły z wąskiej szczeliny pod drzwiami; jedne niosły w szczypcach okruchy, inne grudki kurzu lub coś, co wyglądało jak kawałki trawy. Miałam wrażenie, że gdyby jedna z główek Barbie spadła pośród nie, zostałaby szybko zgarnięta, usunięta z ganku i znikłaby na zawsze w wyrosniętych chwastach na dole. Dlatego broniąc się,

zakręciłam pirueta na mrówkach, rozdeptałam wszystkie trzy linie, miażdżąc napastniczki, i rozproszyłam ich szeregi, podśpiewując:

- Ratować Krój i Szyk przed potworami! Ratować Krój i Szyk przed potworami!

Krój i Szyk leżała bezbronna na mojej poduszce, wraz z obcym torsem, rękami i nogami. Kiedyś w sklepie obejrzałam nową Barbie z serii Krój i Szyk, zapakowaną w pudełku. Wyglądała oszałamiająco w kolczykach w kształcie obręczy, z dłońmi złożonymi jakby do oklasków, z rudymi włosami do pasa. Miała dziecięco błękitne oczy, sukienkę w stylu kostiumu astronauty i wysokie buty z tego samego materiału. Dawno temu moja główka Barbie Krój i Szyk była nawet ładniejsza od Klasycznej i dlatego Klasyczna jej nienawidziła. Chcąc usunąć atrament z jej czoła i oczu, polałam jej twarz zmywaczem do paznokci; wylałam tylko kilka kropli, ale wystarczyło, by czerwona farba na jej ustach się rozpuściła, brudząc policzki, a plamy z atramentu pozostały nienaruszone.

- Teraz wygląda całkiem koszmarne - powiedziała Klasyczna. - Pozbądź się jej.

- Nie mogę - odpowiedziałam. - A gdyby to tobie się przydarzyło?

- To powinnaś mnie zabić.

Mrówcze linie uformowały się od nowa. Na deskach znów się zaroilo.

Przy każdej rozgniecionej mrówce pojawiały się przynajmniej dwie inne i zaczynały zbierać szczątki - te,

które nie zostały roztarte na proch. Za bardzo kręciło mi się w głowie, żeby dalej wirować, więc oparta o balustradę lekko zmaconym wzrokiem przyglądałam się wędrującej armii. Owady wydawały mi się olbrzymie i starożytne, jak karłowate żuki, tyle że nie miały skrzydeł.

Obejrzałam podeszwy tenisówek, szukając przylepionych martwych mrówek, ale znalazłam tylko mokre plamy, ciemne i świeże, trochę podobne do soku z przeżutego tytoniu, którym ojciec czasami pluł do butelki po coli. Była tam też główka mrówki i wciąż poruszające się szczypce; reszta tułowia musiała leżeć na ganku albo znajdowała się w szczypcach innego owada.

- Pomóż mi - próbowała powiedzieć. - Nie chcę umierać. Proszę...

Opuściłam nogę, trąc podeszwą o deski, żeby się upewnić, że z mrówczej główki nic nie zostanie.

- Żadnej litości.

Wybierałam największe owady i rozgniatałam tylną ich część, pozwalając, by środek i przód uciekały. Albo urywałam główki, tak że poruszały się tylko korpus i odwłok.

I obserwowałam.

Oddzielone tylne człony błąkały się, często wpadając między deski. Części z główkami natomiast zmierzały przed siebie, nie okazując bólu. Usuwałam je z linii i wyrzucałam poza krawędź ganku. Tylne człony zostawiałam w spokoju, żeby służyły jako ostrzeżenie dla innych. Czasami jakaś głupia mrówka badała któryś z

okaleczonych korpusów, ale nie mogła zrozumieć, co się stało, więc bez oznak niepokoju ruszała dalej. Nie miało to znaczenia, byłam zmęczona zabijaniem. Mrówkom brakowało inteligencji, nie obchodziło ich, że są rozdeptywane... nie były nawet zainteresowane zemstą. Wiewiórki to co innego. Wiewiórka chętnie by się dobrała do człowieka, gdyby jej dać okazję.

- Co robimy? - spytała Klasyczna.

Ściągając z palców Magiczne Loki i Modne Dżinsy, powiedziałam:

- Zaczekaj, mam pomysł.

Teraz miałam misję. Klasyczna też. Modne Dżinsy i Magiczne Loki były zakładniczkami więzionymi przez partyzantów, ich głowy sterczały zatknięte na gwoździach, a dookoła roiła się mrówcza armia. Sytuacja była rozpaczliwa. Mogłyśmy uratować tylko jedną, bo inaczej by nas zauważono. Wybór, oczywiście, padł na Modne Dżinsy. Nie była mazgajem, więc to ją postanowiłyśmy uratować.

Zaczełam skakać po ganku, rozganiając linie wroga. Klasyczna pochyliła się, omal nie zjeżdżając mi z palca, i uratowała Modne Dżinsy, zanim jakaś mrówka dosięgła jej szyi. Ale misja nie była jeszcze zakończona. Musiałyśmy wrócić. Przebiegłam po mrówkach, machając rękami... i Klasyczna spadła mi z palca. Kiedy ją podniosłam, powiedziała z urazą:

- Głupia zabawa. Róbmy coś innego.

Porzuciłyśmy zatem Modne Dżinsy i poszłyśmy szukać

wiewiórek. Tymczasem zmierzając w podskokach do schodów, potknęłam się... i nastąpiła katastrofa. Próbowałam chwycić poręcz, bezskutecznie. Uderzyłam kością ogonową o górny stopień, poderwałam się i na dobre zaczęłam spadać. Tak szybko, że nie mogłam się zatrzymać, nie panowałam nad nogami, rękami, łokciami. Wylądowałam w poprzek dolnego stopnia, przyciskając do siebie Klasyczną. Przez moment leżałam skulona, jakby rozdeptała mnie jakaś monstrualna stopa. Kiedy wstałam, całe łydki miałam czerwone i pokłute drzazgami, pod skórą widać było wbite cieniutkie odłamki drewna. Powyrywałam je i zaczęłam się drapać. Znow zaczęło swędzieć.

- Mogłam cię zgnieść - powiedziałam do Klasycznej. - Mogłam spaść na ciebie i już byś nie żyła.

Jak tamta kobieta w Polsce: chciała popełnić samobójstwo po tym, gdy mąż jej powiedział, że odchodzi, by zamieszkać z inną. Opuścił ich mieszkanie, które znajdowało się na dziewiątym piętrze. Kiedy wychodził z klatki schodowej, kobieta skoczyła z balkonu. Szybowała w dół z nadzieją, że spadnie na chodnik, a wylądowała na głowie swego wiarołomnego męża. Zabijając go na miejscu. A sama przeżyła. Usłyszałam o tym w pewnym programie telewizyjnym. „Dziwniejsze niż fikcja. Zdumiewające historie życia i śmierci”. Matka twierdziła, że kłamię.

- Jeden człowiek wpadł do urządzenia szatkującego kapustę i został posiekany na śmierć.

- Nieprawda.

- A drugi wpadł do roztopionej czekolady i umarł, to samo przydarzyło się jeszcze innemu, tyle że zamiast czekolady był sos. Obaj zginęli w kadziach.

- Jelizo-Rose, twoje opowieści wcale nie są ciekawe.

- Wiesz, czym ta kobieta z Nowej Zelandii została zakłuta na śmierć?

- Nie obchodzi mnie. Wystarczy.

- Zamrożoną parówką. Dasz wiarę? A ten mężczyzna w trumnie...

- Dosyć. Ani słowa więcej!

Ale ojciec mi wierzył. I kiedy opowiadałam mu, jak robotnicy z Houston próbowali uwolnić wiewiórkę z rury nawadniającej, uważnie mnie słuchał.

- Podnieśli rurę, wtedy ona uderzyła w kabel elektryczny i zostali śmiertelnie porażeni. A wiewiórce nic się nie stało.

- Straszne - skomentował. - Naprawdę okropne.

Tego drugiego dnia w What Rocks zauważyłam przy torach kolejowych kobietę-ducha i zastanawiałam się, czy umarła straszną śmiercią, czy na przykład poraziła ją maszyna do mrożenia jogurtu albo przez przypadek wylała się na nią kadź rozpuszczonej szminki. Albo może została zwabiona na ślub i zamordowana.

Nie zobaczyłabym ducha, gdyby Klasyczna nie prosiła o odwiedzenie autobusu. Przedzierałyśmy się przez chwasty wokół domu w poszukiwaniu drugiej wiewiórki, kiedy powiedziała:

- Jelizo-Rose, pokaż mi to miejsce przewrócone do góry nogami.

- Dobrze - zgodziłam się - ale tylko my dwie możemy tam pójść i nie wolno ci nikomu mówić, bo to tajemnica.

Wymknęłyśmy się w stronę łąnu sorga, ostrożnie, żeby nie zwrócić uwagi Magicznych Loków i Modnych Dżinsów; zatknięte pustymi szyjami na gwoździe w deskach ganku znów odgrywały rolę zakładniczek.

Idąc ścieżką wydeptaną przez bydło, nuciłyśmy z Klasyczną cicho.

- Jestem małym czajniczkiem, niskim i pękatym...

Dochodząc do pastwiska, opowiedziałam o tym, jak znikąd pojawiły się robaczki świętojańskie.

- Teraz nie możemy śpiewać ani rozmawiać - powiedziała, ścisząc głos - bo wystraszymy świetliki i dziś nie przylecą.

- Musimy je dziś zobaczyć - upierała się Klasyczna, więc ją uciszyłam, przykładając sobie do ust.

- Wystraszysz je - ostrzegłam. - Zresztą pewnie i tak ich dziś nie będzie.

Nie chciałam, żeby tam ze mną wracała wieczorem. Świetliki były moimi szczególnymi przyjaciółmi i miały pozostać tajemnicą. Klasyczna nie mogła zrozumieć ich migotania.

Uważając na łubiny ukryte pośród wysokich włośnic, przeszłyśmy wzdłuż całej długości wraku. Pochyliłam się przy jednym z wybitych okien; czubki traw załaskotały mnie w podbródek. W środku dnia autobus wydawał się

mniejszy i mniej złowrogi, niż go zapamiętałam. Spoglądając przez mroczne wnętrze, zobaczyłam, jak rozchylają się wybudujące łodygi sorga na sąsiednim polu - duch wchodził na pastwisko, częściowo zasłonięty kolejowym nasypem.

- To kobieta - powiedziałam, zauważywszy czarną suknię.

Głowę miała okrytą kapturem z siatkową woalką, takim, jakich używają pszczelarze. Przystanęła, nie widziała nas. W ogóle nie przyszło mi do głowy, żeby uciekać. Serce nie zabiło mi ani trochę szybciej, ręce nie drżały.

Dla lepszego widoku przeszliśmy z Klasyczną na tył autobusu; włośnica szeleściła pod moimi stopami. Wyglądając zza osłony wraku, patrzyliśmy, jak duch zrywa pokrzywy, bez wysiłku, jakby wyciągał kolejno chusteczki higieniczne z pudełka.

Duch, pomyślałam. Duży, tłusty duch.

W kapturze, w sukni wydymającej się przy schylaniu, duch wydawał się większy niż jakakolwiek znana mi kobieta, nie wyłączając mojej matki. Obserwując go przy pracy, wymienialiśmy szeptem uwagi z Klasyczną.

- Wszedł z jakiejś jaskini na tamtym polu - powiedziałam.

- Zginął w tym autobusie - podchwyciła Klasyczna. - Został ciężko poparzony i dlatego zasłania twarz.

- Gotuje zupę chwastową z tego, co nazbiera. Na pewno.

- Duchy od tego właśnie tyją. Tu jest tyle chwastów, że łatwo utyć.

Żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło nam do głowy.

Podczas Halloween spytałam ojca, czy duchy nawiedzają Los Angeles. Odpowiedział, że tylko kilka, głównie zmarłe gwiazdy filmowe, takie jak Marilyn Monroe czy Fatty Arbuckle.

- Ale w Teksasie jest ich mnóstwo - dodał. - Bluesmani tacy jak Lightnin' Hopkins i Leadbelly włóczą się nocą po ulicach Dallas. Woody Guthrie też. A co dopiero w Alamo... tam aż się od nich roi. A moja matka za życia widywała duchy paradujące za oknem, i to w środku dnia.

- Bzdury - wtrąciła się moja matka. - Noah, będziesz przy niej siedział w nocy, jak się będzie bała zasnąć.

- Nie będę - odpowiedział ojciec - ponieważ właśnie tłumaczę, że większość duchów jest nieszkodliwa. Chcą, żeby je widzieć, ale nie chcą, żeby je niepokoić. - Potem, mrugając do mnie porozumiewawczo, dodał: - Póki matka żyła, duchy jej nie przeszkadzały. Prawdę mówiąc, podobało się jej, że tam są. Miały dom na oku, przez co czuła się bezpieczna.

Miałam zamiar opowiedzieć Klasycznej o tym, co mówił ojciec, ale znów zaczęły mnie swędzieć kostki, odnosiłam wrażenie, jakby ktoś kłuł mnie igłami po nogach, nie wbijając ich w skórę.

- Zginął w ogniu - szepnęła Klasyczna.

Duch przerwał wyrywanie pokrzyw, żeby strząsnąć

brud z białego fartucha. Mimo że było ciepło, nosił szare rękawiczki.

- Nie, nie spalił się w autobusie - powiedziałam. - Został uduszony.

- I utonął.

- Jest królową Gunhildą i nie chciał zostać w bagnie, więc postanowił już nie być martwy.

Ludzie z bagien wstawali ze swoich torfowych grobów, Gunhildą też tak zrobiła. Ostatecznie była kobietą z bagien. I może mój ojciec stał się duchem. Mógł być w kuchni i jeść krakersy albo na górze szukać wiewiórki. Mógł też czekać na ganku.

- Musimy iść.

- Natychmiast.

- Musimy się śpieszyć.

Nie mogłam biec z powodu obolałych łydek, zatem szłyśmy powoli.

Duch pracował wytrwale w swoich rękawiczkach, gwizdząc przy tym dźwięczną melodię. Nasyp i wysokie rośliny nie pozwalały zobaczyć, co właściwie robią rękawiczki.

- Nie będzie go na ganku - rzekła Klasyczna. - I nie będzie go na górze. Nie jest jeszcze duchem.

- Ale będzie.

- Wiem - powiedziała. - Wiem wszystko.

Popatrzyłam na jej twarz, na długie rzęsy. Zastanawiałam się, kto jej urwał głowę. Zastanawiałam się, kto robi takie rzeczy lalkom.

Rozdział 8

Klasyczna poradziła:

- Przestań się drapać, to przestanie cię swędzieć.

Dokładnie to samo mówiła matka, kiedy skubałam jakiegoś strupa albo drapałam miejsce po ukąszeniu przez owada.

- Zostaw to w spokoju, a szybciej się zagoi. Tylko pogarszasz sprawę.

Dlatego na górze w łazience powstrzymałam się przed rozoraniem sobie łydek paznokciami. Zamiast tego włożyłam na głowę jedną z peruk babki. Stojąc przed lustrem, wymalowałam sobie usta, starając się równo rozprowadzić szminkę. Gdyby szminka się skończyła, wygięła lub rozmazała, stałaby się trująca. Język by mi spuchł i bym się udusiła.

W kosmetyczce babki było sześć różnych szminek w różnych odcieniach czerwieni; najbardziej podobała mi się szkarłatna, bo przypominała kolor jabłek. Przypominała też krew. Była woskowata w dotyku, jak łupina jabłka, ale nie zasychała jak krew. Zastanawiałam się, czy każda szminka ma swój własny smak i zapach. I czy szkarłatna jest smaczna. Miałam się dowiedzieć, kiedy skończę - zamierzałam ją polizać. Potem mogłam ją wsunąć między wargi - wsuwać i wysuwać na przemian, obserwując przy tym swoje odbicie - i przekonać się, jak smakuje. Mogłam

też nagryźć szminkę, gdybym zechciała, i mogłam ją żuć jak gumę. Ale to było zbyt ryzykowne. Nie chciałam, żeby język mi spuchł - w szmince ukryte były mikroskopijne strzykawki.

Ostrożnie rozprowadzałam kolor na wargach. Gdybym się pośpieszyła, ręka mogłaby mi zadrzeć i miałabym szminkę na całej twarzy, mogłaby nawet zaczerwienić mi nos. Trucizna by się wydostała. Stopniowe nakładanie było najbezpieczniejsze - trzymanie się granic, bez pośpiechu, jak kolorowanie obrazków w książeczce o Barbie. Łatwo się kolorowało sukienki czy włosy. Ale z głowami, rękami i nogami było już trudniej: były takie wąskie, że zawsze kiedy się śpieszyłam, kredka wyjeżdżała mi poza linię. Jeśli się nie starałam, obrazek był do niczego i trzeba było wyrwać kartkę. Przeklinałam się za to.

Ostrożnie. Prawie gotowe. Śmiertelne usta pyszne jak jabłko. Lalka Jeliza-Rose Wymarzona Randka. Kiedy szminka sięgnęła kącików ust, musiałam przerwać; trudno było precyzyjnie nałożyć czerwień w tych miejscach.

Twarz w lustrze patrzyła na mnie spode łba. Przestraszyłam się, bo nagle zaczęła przypominać moją matkę.

- Nie guzdraj się tak, ty mała suko. Jestem głodna. - Patrzyła mi prosto w oczy, przeszywając mnie wzrokiem na wskroś.

Popatrzyłam niżej. Szminka się poruszała. Czując jej lepki dotyk, znów uniosłam wzrok. Czerwień z górnej

wargi rozlała się aż do nosa. Byłam skazana na zgubę. Moje odbicie w zwariowanej peruce, z rozmazanymi ustami, uśmiechało się do mnie z lustra. Morderczyni. Zostałam otruta.

Trzymając się za gardło, pobiegłam do sypialni.

- Klasyczna, umieram. Język wypełnia mi głowę. Nie mogę już mówić, bo naprawdę umieram.

- Moja droga, ty już umarłaś - odpowiedziała Klasyczna. - Jesteś duchem!

- Już?

- Upiorem.

Dotknęłam jasnych kosmyków opadających mi na czoło.

- I do tego pięknym. Jestem zjawiskiem.

- Bardzo pięknym - przyznała. - Piękniejszym niż... sama nie wiem.

- Piękniejszym niż...

Gdzieś z tyłu dobiegi szmer lekkich, szybkich kroków.

Odwróciłam się. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Wiewiórka stała w drzwiach łazienki i podwijając puszysty ogonek, obwąchiwała podłogę. Patrzyłam, jak marszczy nosek. Prawie się nie ruszała przycupnięta na progu. Zastanawiałam się, co robić, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Byłam w stanie jedynie patrzeć. Zachowywała się, jakby mnie nie widziała, a ja wcale się jej nie bałam. Po prostu nie wiedziałam, co robić.

Nagle przechyliła łepkę i zaczęła mi się przyglądać. Łapki poskrobały o podłogę. Czekałam, żeby sprawdzić, czy się przestraszy, a potem pomyślałam z lękiem, że zaraz nadciągną inne wiewiórki, cały oddział bojowy. Odetchnęłam głęboko i w tym momencie zwierzątko odwróciło się do mnie i węszyło, stojąc na tylnych nogach. Nie bało się mnie.

- Czego chcesz? Jak się tu dostałaś?

Wiedziałam, że wiewiórka jest szybka. I złośliwa. Może skakać w powietrzu. I może mnie ugryźć. Może ukraść Klasyczną, zjeść jej włosy, rozszarpać ją do cna tymi swoimi okropnymi zębami. Była paskudnym zwierzątkiem, który wiecznie gryzie drewno, kable lub plastikowe przedmioty. Robiła to, ponieważ była świnią i nie mogła upolować pożywienia jak lwica. I do tego była głupia. Ale miała wielkie zęby, istne kły, gorsze od pazurów. Atakując, mogła je wbić w czaszkę równie łatwo, jak człowiek wbija zęby w jabłko.

- Lepiej sobie idź - ostrzegłam, nie zrobiło to jednak na niej wrażenia. - Wynocha!

Ogon zafalował. Nie przestała węszyć. Zastrzygła uszami.

Cisnęłam w nią peruką, ale nie trafiłam, bo już w podskokach pędziła przez pokój.

Wskoczyłam na łóżko, krzycząc:

- Wynoś się!

Ogłupiała wiewiórka zaskrzeczała jak ptak; jej dziura po sęku była gdzie indziej. Miotła się od jednego końca

pokoju do drugiego, rozpaczliwie szukając dobrego miejsca do wspinaczki - jakiejś ściany bez sufitu w górze, otwartej na niebo. Tam i z powrotem po dywaniku. Cały czas wściekle skrzeczała. To było najgorsze. Wiewiórka szalejąca przy moim łóżku, przy mnie i przy lalkach. Znikała pod łóżkiem, wyskakiwała spod łóżka, biegła od ściany do ściany. Wahala się, węszyła, stawiała słupka, opadała, biegła, skrzeczała. Pod łóżko, spod łóżka. Przez dywanik. Od ściany do ściany.

Rzucalam się na materacu, wrzeszcząc wniebogłosy, główki lalek podskakiwały. Niektóre z nich zgniatałam nogami, jak wcześniej mrówki. Stopy na Klasycznej, stopy na Modnych Dzinsach. Skoki i krzyki.

Nagle wiewiórka znieruchomiała; nie było odpowiedniej ściany do wspinaczki, nie było dziury po sęku.

Nie mogłam już krzyczeć, bo brakowało mi tchu. Łydki mnie swędziały. Peruka zbiła się w kołtun. Pokój okropnie cuchnął tchórzem.

- Idź sobie...

Pognała do łazienki, ślizgając się na posadzce. Miotła się tam przez chwilę, okrutnie hałasując, i nagle zniknęła.

- Nie waż się wracać! - zawołałam, stawiając stopy na podłodze.

Wiedziałam, że nie wróci, dlatego odważyłam się zejść z łóżka. Zamierzałam zbadać, w jaki sposób dostała się do What Rocks, gdyż nie mogłam tego zrozumieć. Stojąc w progu łazienki, obejrzałam się przez ramię, jak

spadochroniarz przed skokiem. Byłam sama. Klasyczna i reszta lalek leżały nieprzytomne po dzikich podskokach. Pewnie i tak by do mnie nie dołączyły, przynajmniej nie przy tym zadaniu. Weszłam więc do łazienki, na palcach, rozglądając się czujnie.

Od razu zwróciłam uwagę na drzwiczki pod umywalką; były lekko uchylone, wystarczająco dla wiewiórki. Przynosząc ze strychu perukę i kosmetyczkę, zapomniałam opuścić zasuwkę. Zajrzałam przez szparę i dostrzegłam wiewiórkę przy skrzyni. Obgryzała drewniany wiór, trzymając go w łapkach. Nie krzyknęłam ani nie wezwałam Klasycznej. Nie chciałam, by wiewiórka się zorientowała, że ją znalazłam. Tak powinno być - ja miałam ją szpiegować, a ona miała się zajmować swoimi wiewiórczymi sprawami, czyli podjadać i czyścić sobie pyszczek zwilżonymi łapkami. Nie byłam zła, że dostała się na strych; wolałam to, niż śledzenie jej na zewnątrz.

Podobało mi się też, że mogę zrobić coś bez Klasycznej; często bywała zazdrosna, kiedy ją ignorowałam. Dlatego zamierzałam się postarać, żeby nie dowiedziała się o wiewiórcy, nie widziała, jak wyciera sobie pyszczek szybkimi ruchami przednich łapek, jak tylną łapką drapie się w bok. Byłam zachwycona. Miałam ochotę klasnąć w dłonie, ale bałam się poruszyć, żeby wszystkiego nie zepsuć.

Usłyszałam, jak Klasyczna się podnosi i wola mnie szeptem. Nie odpowiedziałam. Zamierzałam pozostać

przy drzwiczkach, dopóki wiewiórka nie odejdzie, a potem wrócić do sypialni, nim Klasyczna wpadnie w panikę. Ale ona ciągle powtarzała moje imię; mogła tak szeptać przez cały dzień, myśląc, że wiewiórka wgryzła mi się do mózgu i zaciągnęła na strych, żeby mnie pożreć.

Miałam ochotę podrapać się po łydkach. W łazience panowała wilgoć, ze strychu buchał istny żar. Było mi gorąco. Węsząc, wiewiórka spojrzała w moją stronę...

Zostałam przyłapana.

Klapnęła zębami w powietrzu. Próbowwała mnie zastraszyć, zmusić do odwrócenia wzroku.

Wpatrywałyśmy się w siebie nawzajem, czekając, aż ta druga się podda i ucieknie. Wiedziałam, że to się szybko skończy - Klasyczna odkryje, że jestem w łazience, i zacznie krzyczeć. To były moje ostatnie sekundy sam na sam z wiewiórką. Zaraz potem pognęła do otworu wentylacyjnego, przecisnęła się przez szparę i znów zniknęła.

- Peruka potrzebuje pomocy! Ma kłopoty! Gdzie jesteś.
To było Klasyczna.

- Nie poganiaj mnie - powiedziałam, opuszczając zasuwkę w drzwiczkach. - Mam tu swoje sprawy do załatwienia.

Wychodząc z łazienki, trafiłam stopą na perukę i omal się nie pośliznęłam.

- Popatrz - powitała mnie Klasyczna. - Ta peruka sprawia kłopoty.

- Mówiłaś co innego - zwróciłam jej uwagę.

- Mówiłam właśnie to.

Nałożyłam perukę na głowę, a następnie Klasyczną na palec.

- Jestem głodna. Ty też?

- Głupia jesteś - obruszyła się Klasyczna. - Przecież nie mam żołądka. Wszystko wchodzi mi do ust i wypada na podłogę jak kupa.

- Ohyda - zaśmiałam się. - Jesteś obrzydliwa. Już nie czuję głodu.

Kłamałam, nic nie mogło mnie powstrzymać przed jedzeniem. Nawet armia mrówek. Były w kuchni, w krakersach. Łaziły po krawędzi słoika z masłem orzechowym, zaglądały do butli z wodą. Kradły chleb. Zmartwiło mnie to. Powinnam była posprzątać po sobie poprzedniego wieczoru. Wówczas mrówki mogłyby się dostać jedynie do okruchów i resztek masła orzechowego na blacie - byłam niechlujna - i do skórki chleba, którą oderwałam niczym strupa i wyrzuciłam. Skórkę mogły sobie zabrać, proszę bardzo, bo skórki z chleba nie cierpiały bardziej niż mrówek.

Zaczęłam jeść, nie naruszając mrówek. Po prostu strząsnęłam je ze słoika i z pudełka z krakersami.

- Zgnieć je - podjudzała Klasyczna. - Pozabijaj.

Była zła. Wydymała usta. Kiedy nabierałam palcem masło ze słoika, trochę przykleiło się do jej włosów. Zawsze brudziłam jej włosy - klejem albo pastą do zębów. Zastanawiała się, czy w końcu jej powypadają. Poza dobrze umocowanymi rzęsami miała tylko włosy, całe

mnóstwo, ale i tak panicznie bała się, że wyłysieje. Ja też się tego obawiałam, więc w domu kąpałam ją i myłam jej głowę. Nigdy nie używałam zbyt wiele szamponu, a po myciu zawsze ją czesałam. Za każdym razem. Miała gęste rude włosy; gdybym ich nie rozczesala, Klasyczna wyglądałaby jak czupiradło.

- Te mrówki są złe - powiedziała. - Wszystko zatrują. To wcale nie jest zabawne.

- Ale to moja wina. - Skończywszy jeść krakersy z masłem orzechowym, oblizywała palec, którego użyłam w zastępstwie noża. - Poszłyby sobie gdzie indziej, gdybym nie zostawiła bałaganu.

Głupio zrobiłam, nie sprzątając na noc jedzenia; kromki chleba zeschły, nie pomogło skrapianie ich wodą. Teraz mogłam jedynie pozwolić, żeby mrówki je dokończyły. Dziesiątki szczypiec skubiących i rwących. Piranie. Zrobią się takie grube, że popekają.

Chlebowe bomby. Wyobraziłam sobie mrówki eksplodujące na ganku.

Dobrze im tak, pomyślała mściwie Klasyczna.

Nagle mogliśmy odczytywać swoje myśli. Byłyśmy jasnowidzkami, jak tamci ludzie w telewizji.

W szesnastym wieku Nostradamus przewidział dojście Hitlera do władzy i zamach na Johna F. Kennedy'ego. Był lekarzem i astrologiem. I do tego Francuzem. Potwór z Loch Ness w sposób pozazmysłowy kontaktował się co piątek z pewną starą Szkotką. Nie zgodziła się ujawnić, co jej powiedział. Biblia przepowiedziała katastrofę w

Czarnobylu. Dion Warwick polegała na swoich jasnowidzących znajomych, wybierając utwory na swe przebojowe single. Duchy lubiły dostawać prezenty, ciasteczka lub zabawki; można było w ten sposób dać im znać, że się wie o ich obecności, albo się z nimi zaprzyjaźnić. Sześć na dziesięć par bliźniąt potrafiło czytać sobie nawzajem w myślach. To wszystko było prawdą. Pokazywali w telewizji.

Duch przesyła nam wiadomość.

Jaką?

Nie wiem dokładnie.

Jeśli wejdziemy na górę, to chyba uda nam się go zobaczyć.

Możemy wyrzeć przez okno i go zobaczyć.

Tak. Chodźmy...

Wbiegłyśmy po schodach, omijając co drugi stopień. Zdyszane rzuciłyśmy się do okna w mojej sypialni z nadzieją ujżenia ducha... ale nawet jeśli akurat snuł się po polu, wysoka trawa i autobus zasłaniały nam widok.

Westchnęłam. Na dachu wokół zewnętrznego parapetu leżały martwe ćmy. Już nie czułam się jak jasnowidz; bolała mnie głowa.

- Nie widzę go.

- Chciał, żebyśmy mu coś dały. Duchy lubią prezenty.

Przytaknęłam, wysysając masło orzechowe z włosów Klasycznej.

- Co możemy mu dać?

- To nie może być byle co - odparła Klasyczna. - To

musi być coś użytecznego. Jakiś porządny prezent.

- Na przykład ciasteczka.

- Tyle że nie mamy żadnych ciasteczek.

Dałabym się zabić za trochę ciastek, na przykład markiz. Uwielbiałam je prawie tak samo jak nadziewane batoniki.

- To nie musi być jedzenie - powiedziała Klasyczna.

- Mogłabym narysować obrazek, przedstawiający ciebie i mnie.

- Albo dać mu Krój i Szyk.

- Albo Magiczne Loki.

Wyobraziłam sobie Magiczne Loki, jak kurczy się ze strachu na dłoni ducha i kwili niczym niemowlę; gdyby mogła, toby się posikała.

- Coś innego.

Klasyczna miała szminkę na włosach. Zamknęłam oczy. W telewizji pewien mały chłopczyk z Niemiec zamknął oczy i zobaczył przyszłość. Przewidział, że nad jego wioską zbiorą się czarne chmury i będzie prało żabami. Następnego dnia po gwałtownej burzy z piorunami na ulicach wioski poniewierały się tysiące martwych żab.

- Czego może używać jedynie zmarła osoba? - zapytałam. - Pomyśl.

- Nie umiem myśleć. Krakersów?

- Może radia. Ono też jest martwe.

Otworzyłam oczy.

- Tak. Może w nim słuchać głosów duchów.

- I muzyki duchów.
- Ale tata je lubi.
- On jeszcze nie jest duchem. Nie potrzebuje go.
- Racja, zapomniałam.

W salonie sięgnęłam po radio, nie patrząc na twarz ojca. Zabrałam mu je z kolan. Wiedziałam, że pod ciemnymi okularami ma otwarte oczy. Wybiegłyśmy z Klasyczną z domu. Pokręciłam gałką, nasłuchując: ani muzyki, ani szumu. Szukałam stacji KVRP, eklektycznej muzyki dla eklektycznych umysłów, ale nie dała się złapać. Nic nie słyszałam, nie wiadomo było, gdzie kończy się zasięg jednej stacji, a zaczyna drugiej.

- Doskonały prezent - uznałam. - Naprawdę idealny.
- Ja też tak uważam.

Ducha nie było nigdzie widać, więc przedarłyśmy się przez trawy do nasypu, a potem upewniwszy się, że nie nadjeżdża pociąg, przeszłyśmy przez tory. Ziemia na części pola była brązowa i spulchniona po oczyszczeniu z chwastów. Wyrwane pokrzywy leżały usypane w stos.

- On nie gotuje z nich zupy.
- Nawet nie robi wywaru.

Deptał włośnicę, wrywał i wyrzucał pokrzywy. Zbierał i odkładał na bok kamienie, żeby ochronić łubin. Do tego były mu potrzebne rękawiczki. Pole usiane było wiosennymi kwiatkami, a duch je pielęgnował.

- Nie spodoba mu się, że tu jesteśmy - powiedziała Klasyczna. - Pośpiesz się.

Położyłam radio na ziemi i zaczęłam je obkładać

największymi z wyzbieryanych kamieni, ostrożnie, żeby nie zniszczyć żadnego kwiatka. Powtarzałam sobie w myślach, że duch doceni moją uprzejmość, choć wcale nie byłam tego pewna. W końcu przeniosłam kamienie z powrotem na pole, układając nierówny krąg pośród kwiatów.

- Tak jest dobrze.

- Chodźmy.

Kiedy wspinałyśmy się na nasyp, Klasyczna przesłała mi myśl - duch będzie wiedział, co zrobić z radiem.

Widziałam to w telewizji. Pewien mężczyzna z Nowego Meksyku potrafił tak ustawić radio, że słyszał niewyraźne głosy swoich ukochanych zmarłych. Czasami w telewizji widział nieżyjącego syna, grającego w piłkę nożną na zamglonej łące. Miał na to dowód w postaci nagranej przez siebie kasety wideo.

Oczywiście, pomyślałam. Zrozumie. Jest duchem.

Przechodząc przez tory, usłyszałyśmy huk z kamieniołomu, odgłos podobny do grzmotu burzy w oddali.

- To magia - powiedziałam, spoglądając na czyste niebo. - Oni wywołują pioruny.

Rozdział 9

Hipnotyzowałam się, machając sobie przed nosem ręką Barbie.

- Nogi nie będą cię już swędziały - mówiłam. - I nie będziesz ich drapać przez cztery lata.

Potem zahipnotyzowałam Klasyczną i pozostałe główki.

- Jesteście senne - wmawiałam im. - Jesteście takie senne, że już śpicie. Śnią wam się pociągi, lody i staruszkowie tańczący z niedźwiedziami. Krój i Szyk, mój głos cię obezwładnia. Ciebie także, Modne Dżinsy. I Magiczne Loki. Klasyczna, ty też śpisz. Nie obudzicie się, dopóki wam nie każę. Nigdy się nie dowiecie, dokąd idę. - Ręka działała jak czary.

Wszystkie chrapały, wtulone w blond perukę.

Wyszłam z pokoju tyłem, nie spuszczać z nich wzroku; śpijcie, śpijcie, moje skarby, myślałam. Następnie odwróciłam się i zeszłam na dół.

Zaczynało zmierzchać. Ubrana w czepek, zasiadłam w autobusie, na suficie. Wszystko czuć było dymem, nawet moją sukienkę. Wiał lekki, zmienny wiatr; powietrze zrobiło się suchsze i chłodniejsze. Rozglądałam się za świetlikami, ale było na nie jeszcze trochę za wcześnie, słońce nadal wisiało nad łańcem sorga. Światło wędrowało po wnętrzu autobusu, ostre krawędzie powybijanych

okien skrzyły się, sprężyny, gąbka i popalona tapicerka siedzeń nad moją głową lśniły pomarańczowo i białło.

Ktoś wyrył na metalowej ścianie napis, którego wcześniej nie zauważyłam. Słowa były do góry nogami i wyżej, niż mogłam sięgnąć, ale dały się łatwo odczytać: LOIS, PIEPRZ SIĘ!

- Pieprzyć się - powiedziałam na głos. - Pieprz się. - Co za idiotyzm. Nie chciało mi się nawet o tym myśleć. - Straszna głupota.

Chodząc z ojcem nad rzekę Los Angeles, często przystawaliśmy, żeby czytać graffiti. Całe ściany budynków ozdobione były slangiem, namalowanymi sprayem symbolami i rysunkami, w kolorach czerwonym, niebieskim, srebrnym i czarnym, jak obrazki w komiksie.

- To piękne - mówił ojciec. - Ludzie tego nienawidzą.

- A co to jest?

- Głównie imiona. Jakieś gangsterskie sprawy. Nie wiem dokładnie.

Pewne drzwi otaczało niczym rama wielkie walentynkowe serce - ładnie, starannie narysowane - przebite sztyletem.

- Wiesz, co to jest.

- Miłość - odparłam.

- Aha.

Wróciliśmy przed ten sam budynek tydzień później, ale graffiti już nie było; smugi białej farby zakryły imiona, kolory i wielkie serce. Wyglądało to ohydnie.

- Powinni zostawić je w spokoju - powiedziałam.

- Nie martw się, ściana nie zostanie długo biała, nie w tej okolicy.

Pośrodku Parku Webstera znajdował się tunel biegnący pod alejką; sypiali w nim włóczędzy, a nastolatki piły piwo i paliły. Zamiast przejść górą, wchodziliśmy zwykle z ojcem do tunelu, omijając rozbite butelki i od czasu do czasu jakiegoś bezdomnego opatulonego w śpiwór. Raz znaleźliśmy puszkę farby w sprayu. „Srebrna Błyszcząca”. Ojciec potrząsnął puszką, a potem namalował na betonowym murze uśmiechniętą buzię.

- To ty - powiedział. - Tak dziś wyglądasz.

- Nie, nieprawda. To nie jestem ja dzisiaj.

- No cóż, w takim razie to musisz być ty jutro. - Wręczył mi puszkę. - Spróbuj.

Zamierzałam także namalować uśmiechniętą buzię, ale źle wycelowałam i opryskałam sobie prawą rękę.

- O nie - jęknęłam, upuszczając puszkę.

Miałam dłoń w kolorze „srebrnym błyszczącym”; próbowałam zetrzeć farbę o różową koszulkę. Chciało mi się płakać, a ojciec się śmiał. Śmiał się tak bardzo, że aż zaczął kaszleć. Myślałam, że zwymiotuje.

Matka czekała na nasz powrót w domu. Najpierw zobaczyła moją koszulkę; w miejscu, gdzie powinien być różowy kucyk i balon, widniały dwa srebrne odciski dłoni.

- Co się, u diabła, stało? - Chwyciła mnie za nadgarstki, żeby obejrzeć ręce.

- Jestem robotem - powiedziałam.

Wtedy mnie uderzyła.

- Zniszczyłaś koszulkę! Twoje ręce!

Ale najgorszy był ojciec. Nic nie zrobił. Stał przy drzwiach i się nie odzywał. Chciałam na niego nakrzyczeć za to, że śmiał się w tunelu. Chciałam, aby wytłumaczył, że to wszystko jego wina, że zabawa z puszką była jego pomysłem.

MAMO, PIEPRZ SIĘ! To powinnam napisać sprayem na murze. To powinnam jej powiedzieć, kiedy mnie uderzyła.

Oglądałam bok autobusu, szukając innych napisów, ale słońce zaszło już za wierzchołki traw i trudno było cokolwiek wypatrzeć. Przeniosłam więc wzrok na pastwisko, gdzie migotało już parę świetlików.

- Jestem tutaj - zawołałam. - Tutaj! To ja!

Uciszyłam się, zakrywając sobie usta. Zachowywałam się zbyt głośno. Duch mógł mnie usłyszeć. Mógł pomyśleć, że to jego wołam.

Patrząc przez okna, widziałam łąkę, ale z powodu torów i wysokich chwastów nie mogłam dojrzeć łubinów i kamieni otaczających radio. Ani ducha, jeśli tam był. Za łąką, w kępie jadłoszynów paliło się żółte światło, tysiąc razy mocniejsze od błysku świetlika. Pomyślałam, że to królowa matka wszystkich świetlików czai się w oddali, przynajmniej milę ode mnie i autobusu.

Po drugiej stronie torów wszystko wydawało się większe - kwiaty, kamienie, łany sorga. I duch.

- On może zniszczyć Tokio jak Godzilla - powiedziałam do Klasycznej. - Rozwaliłby łóżko mamy.

- To królowa Gunhilda. Królowe zawsze są grubsze od innych. Dlatego zostają królowymi. Każdy daje jej złoto i jedzenie, a ona tyje i siada na wadze w swoim pałacu, a wtedy każdy musi jej dać jeszcze więcej jedzenia i złota - musi być tego tyle, ile ona waży.

- Królowe są potworami. Należy je dusić i topić w bagnie.

Wyobraziłam sobie moją matkę na łące, jak wyrywa pokrzywy i rzuca kamieniami. Wiedziała, że jestem w autobusie. I była głodna. Zaraz miała się wspiąć na nasyp i wejść na tory. A potem mnie zaatakować.

- Ty nędzna kreaturo!

Przez okna wlatywały świetliki. Rozbłyskały wszędzie jasnymi punkcikami, nie zwracałam jednak na nie uwagi. Rozglądałam się czujnie w obawie, że ktoś może się skradać na zewnątrz. Próbowalam porozumieć się myślami z Klasyczną - obudź się, obudź się, mam kłopoty - ale ona śniła o lodach Eskimos. Byłam zdana na siebie. Mój ojciec odpoczywał w Danii. Nie pomógłby, nawet gdyby matka mnie dusiła, nawet gdyby urywała mi głowę.

Czekałam.

Byłam gotowa uciekać, kiedy nadjedzie pociąg. Znajdowałam się tuż przy drzwiach autobusu, przy wyjściu awaryjnym. Ojciec mówił, że można łatwo wyprzedzić ducha, Człowieka z Bagien lub każdego innego potwora.

- Dopadają cię tylko wtedy, kiedy się ich nie spodziewasz. Jeśli się spodziewasz, zawsze możesz uciec.

- Ale one są szybkie.

- Nie, wcale nie są szybkie. Martwe rzeczy są powolne. Trzeba być żywym, żeby uciekać. Serce musi pompować krew.

- Dlaczego?

- Bo jak nie pompuje, to jesteś martwa. A jeśli jesteś martwa, to nie możesz biec.

- Jak się poruszasz, kiedy jesteś martwy?

- Nie poruszasz się. Po prostu fruwasz. Jak liść na wietrze. Energia albo coś w tym rodzaju przenosi cię z miejsca na miejsce. To jest coś takiego jak magia. Kiedy jesteś martwy, potrzebujesz mnóstwa magii, znacznie więcej niż żyjąca osoba.

Nie potrafiłam tego zrozumieć, ale i tak mu wierzyłam.

- Więc jak widzisz potwora, to uciekasz?

- Albo zanim go zobaczysz. Kiedy go wyczujesz. Kiedy wiesz, że zaraz wyskoczy i cię złapie. Inaczej niż w filmach. Tam ludzie zawsze są idiotami. Czekają, aż zostaną złapani. Przewracają się, oglądają za siebie i wrzeszczą. Trzeba po prostu uciekać. Wtedy jest się bezpiecznym.

Dość czekania. Pociąg się spóźniał. W łańcach sorga kryli się ludzie z bagien, słyszałam, jak szeleszczą. A królowa Gunhilda chciała jedzenia. Byłam żywa, więc pobiegłam.

Zgniatałam tenisówkami trawę i łąbiny. Przepraszam, powtarzałam w myślach, przepraszam. Nie oglądałam się za siebie i nie wrzeszczałam.

Wysyłałam tylko wiadomości: Klasyczna, usłysz mnie. Już nie śpisz, obudziłaś się. Już nie śpisz, obudziłaś się. Już nie śpisz...

Świetliki migotały nad ścieżką, przeto usta trzymałam zamknięte. Nie chciałam żadnego z nich połknąć. Gdybym połknęła, mój żołądek mógłby zacząć świecić. A wtedy - gdybym musiała się schować w wysokiej trawie - łatwo by mnie było dostrzec. Byłabym jak Królik Bugs, przechadzający się przed Elmerem Fuddem z tarczą strzelniczą na pośladkach, mówiący: „Powiedz, skąd ci przyszło do głowy, że w tych lasach jest jakiś królik?”. „Och, nie wiem. Mam takie przeczucie”.

Gnając w stronę podwórka, usłyszałam pociąg. Ziemia zadrżała, kiedy przejeżdżał. Dysząc z wysiłku, zatrzymałam się pod masztem; dotykając go ramieniem, czułam wibrowanie stali. Sorgo zafalowało poruszone wiatrem. Miałam gęsią skórkę na rękach. Nikt mnie nie gonił, przynajmniej na razie nie było nikogo widać. Próbowałam dojrzeć coś poprzez łąny sorga, ale było to niemożliwe. Wiedziałam jednak, co się dzieje - na pastwisku podmuch wyrzucił świetliki z autobusu. Kawałki szkła grzechotały na wypalonym przejściu pośrodku wraku, inne spadały z okien niczym grad. A królowa Gunhilda nie mogła przejść przez tory, przynajmniej przez chwilę.

Klasyczna skomunikowała się ze mną, choć przekaz był słaby: Wszystko w porządku. Już nie śpię. Przyjdź po mnie...

A potem nie było już hałasu, pociągu, wiatru. Dłonie miałam mokre od potu, ale byłam bezpieczna. Wspięłam się po schodach na ganek i weszłam do domu.

Ojciec siedział w fotelu. Widziałam tył jego głowy. Mapa Danii zwisała krzywo, przechylona na jedną stronę; górny róg oderwał się od ściany. Przez moment wahałam się, czy nie poprawić mapy, ale to oznaczało zbliżenie się do ojca. Prawdopodobnie znów zmienił kolor; przeraziła mnie myśl o jego skórze, zwłaszcza teraz, kiedy w domu zrobiło się ciemno. Był jak Pierścień Nastrojów ze szkatułki mojej matki; czasami robił się niebieski, czasami czarny. Nigdy nie taki, jak trzeba.

Koszula nocna leżała w progu drzwi wejściowych, więc ją podniosłam. Satynowa tkanina była taka miękka. Dotknęłam nią policzka.

- Gładka jak pupcia niemowlaka - powiedziałam, uspokojona własnym głosem.

Mam pomysł, myślała Klasyczna.

Jaki?

Przyjdź po mnie, to ci powiem.

Trzymałam koszulę jak becik z niemowlęciem. Na schodach nie było światła, panowała ciemność, nie było widać stopni. Udawałam, że trzymam na zgiętym ramieniu dziecko, i sprawiało mi to wielką przyjemność.

- Tak bardzo cię kocham - zwróciłam się do koszuli. - Jesteś moim drogim maleństwem.

Kiedy pokazałam swoje dziecko Klasycznej, powiedziała:

- Nie żyje. Nie ma kości.

Ze wszystkich główek śpiących na peruce tylko ona się obudziła - Nie obchodzi mnie to. Jest delikatne.

- Nie ma pompującego serca.

- Ty też nie masz.

- Skąd wiesz? - spytała. - Mogłabym mieć.

- Przykro mi.

Nie chciałam się kłócić. Potrafiła być uparta. Gdybym się z nią posprzeczała, nie zdradziłaby mi swego pomysłu... choć już wiedziałam, na czym on polega. Dlatego ostrożnie położyłam koszulę na poduszce, a następnie wsunęłam Klasyczną na palec.

- Weź perukę - poleciła.

Chwyciłam perukę, zrzucając na materac Modne Dżinsy, Magiczne Loki oraz Krój i Szyk. Przeszłam do łazienki i wzięłam kosmetyczkę. Wychodząc, zauważyłam, że drzwiczki pod umywalką są otwarte; za nimi ziała mroczna przestrzeń, pustka, w której mógł się zahibernować Człowiek z Bagien. Strych wyglądał inaczej niż w dziennym świetle, w ciemności stanowił inny świat, czarną dziurę w What Rocks. Próbowałam zamknąć drzwiczki, jednak bolec zasuwki nie chciał się trzymać w miejscu. Przyciskałam mocno, ale gdy tylko cofnęłam rękę, odskakiwał. Wyciągnęłam z kosmetyczki małą szczoteczkę do zębów - włosie miała ubrudzone tuszem do rzęs - i trzonkiem zablokowałam drzwiczki.

- Nie ruszaj się - rozkazałam szczoteczce - bo umrzesz.

Czasami szczoteczki umierały. Włosie się wycierało i

koniec. Tenisówki też umierały. I budynki. Również mamy i tatusiowie. Planeta pełna była umierających, umarłych, tych, którzy odeszli. Ale jeśli ktoś był piękny, jak Klasyczna, mógł istnieć wiecznie. Śmierć była brzydka.

W salonie szepnęłam:

- Jesteś wizją.

Peruka świetnie pasowała na ojca, blond kosmyki prawie zakrywały kucyka.

- Jesteś sensacją.

Wciąż był bardzo blady, niewiele się zmienił w ciągu dnia. Przyjęłam to z ulgą. W kosmetyczce znalazłam róż; nałożyłam trochę koloru na policzki, podbródek i uszy, rozjaśniając purpurowe plamy. Następnie zdjęłam z głowy czepek i nałożyłam go ojcu na perukę.

Teraz wyglądał ślicznie. Pocałowałam go w usta. Jego skóra była w dotyku jak sztuczna, gumowa. Pocałowałam go jeszcze parę razy, aż wargi mu nieco poczerwieniały. Potem usiadłam z Klasyczną u jego stóp, żeby go podziwiać.

- Jesteśmy z ciebie bardzo dumne - zwróciłam się do ojca. - Jesteś Miss Ameryki.

Tej nocy spałam w jego pokoju, zamknięta na klucz. Tylko ja i Klasyczna. Przez chwilę obserwowałam z okna migające światełka na wieży. Nie za długo jednak, bo nie chciałam, żeby mnie zahipnotyzowały. W końcu położyłam się na materacu ojca, bardzo spokojnie, zamknęłam oczy i zaczęłam przekazywać wiadomości na

dół.

Tato?... To ja. Słyszeć mnie głośno i wyraźnie? Tato?...
Odezwij się, jeśli mnie słyszysz. To ja, radio Jeliza-Rose,
nadaję z twojej sypialni. Jesteś tam?

Rozdział 10

Siedząc na stopniach ganku, nabierałam do ust wody z galonowej butli i spryskiwałam włosy Klasycznej. W What Rocks nie było szamponu, więc musiałam udawać. Masowałam jej głowę, jakby była cała w pianie. Od wody rude włosy zrobiły się brązowe.

Nazywałam ją Miss.

- Jak ci się podoba dzisiejszy dzień, Miss? - Albo: - Miss, czy mogłabym cię zainteresować niektórymi z naszych produktów do pielęgnacji włosów?

Ale ona poleciła mi zająć się myciem głowy i nie gadać.

- Dobrze, Miss.

Klient zawsze miał rację, nawet jeśli się mylił. Przeczesałam więc włosy Klasycznej palcami, masowałam jej plastikową czaszkę i byłam cicho. Gdyby była moją matką, stukałabym ją po głowie pięścią, tak jak się stuka do drzwi, tylko delikatniej. Potem otworzyłabym dłoń, wolno rozsuwając palce. Matka dostawała od tego dreszczy.

- Rozbijanie jajka.

- Teraz ty mnie.

Robiłyśmy to sobie na przemian, matka i ja. Rozbijałyśmy sobie jajka na głowie. Często dwiema rękami; dwie zaciśnięte pięści i palce zsuwające się po

czasce, jak spływający olej, do szyi, wokół uszu, po czole. Gęsia skórka. Uwielbiałam tę zabawę.

„Pająk - szczypawka - wiatr” to była jeszcze jedna zabawa wzbudzająca dreszcze.

- Pająk idzie po kregosłupie...

Koniuszki palców maszerują w górę po plecach.

- Czasem szczypie, czasem tupie...

Uszczypnięcie w skórę na łopatkach.

- A do tego wietrzyk jeszcze...

Dmuchanie na szyję z równoczesnym przesunięciem paznokciami w dół po plecach.

- I mamy dreszcze.

Zawsze się sprawdzało. Pojawiała się gęsia skórka, wielka jak pryszcz. Musiałam rozcierać ramiona i szyję, żeby zniknęła.

- Jeszcze raz - prosiłam matkę, kiedy efekt mijał. - Tylko raz.

- Przed chwilą mówiłaś to samo.

- Obiecuję, tylko jeden raz.

A czasami myłyśmy sobie nawzajem włosy. Ale bez użycia wody i szamponu. Robiłyśmy to w jej sypialni. To wszystko było tylko na niby.

Matka zawsze mówiła:

- Czy mogłabym panią zainteresować niektórymi z naszych wyjątkowych produktów do pielęgnacji włosów, panienko?

- Nie, dziękuję - odpowiadałam. - Nie dzisiaj.

Chciałam, żeby mnie głaskała po głowie i nic nie

mówiła. Zamykałam oczy, wiedząc, że masaż nie potrwa długo. A pragnęłam, żeby się nigdy nie skończył. Mogłaby mnie położyć spać; bardzo by mi się to podobało.

Jednak Klasyczna nie była senna. Kiedy splukiwałam jej włosy, miała szeroko otwarte oczy, spoglądała ponad podwórkiem na szare chmury zasnuwające niebo. Słońce gdzieś się schowało, nie wiadomo gdzie.

Tego ranka ziemię okrywała mgła tak gęsta, że nie było nic widać. Rozsunęłam zasłony nad łóżkiem w sypialni ojca.

- Lecimy - powiedziałam do Klasycznej, wyobrażając sobie, że What Rocks dryfuje na chmurze.

Nim się ubrałam i wyszłam na zewnątrz z butlą, mgła wyparowała. Dom opuścił się z posepnego nieba na ziemię, lądując bezpiecznie na posiadłości babki.

Wycisnęłam z wody włosy Klasycznej i otrzepałam ręce.

- Błyska się - powiedziałam. - Będzie powódź i What Rocks odpłynie razem z nami.

Następnie przeczesalam jej włosy palcami, żeby się nie splątały.

- Błyszczysz się. Jesteś czystsza od mydła.

Klasyczna mnie ignorowała. Była zła, że nie użyłam szamponu. Myślała, że plułam jej na włosy. A plucie śmierdziało. Wytłumaczyłam, że używałam wody z butli, a spryskiwałam ustami tylko dlatego, żeby jej za bardzo nie zmoczyć.

- Co mogę zrobić? - spytałam. - Postaram się, żebyś była zadowolona.

- Chcesz sprawdzić, co z radiem? Wciąż tam jest...

- A ty?

- Chcę.

Byłyśmy jednomyślne.

Puściłam się pędem w stronę torów, trzymając Klasyczną w górze, żeby włosy szybciej jej wyschły. Wspiąwszy się na nasyp, przykucnęłam w chwastach, ale ducha nigdzie nie było. Zeszłam więc na jego łąkę, pachnącą wilgotną ziemią, jak po deszczu. Nad łańcem sorga kłębiły się burzowe chmury, a zza nich prześwitywało zamglone, okrągłe jak księżyc słońce.

Poszłyśmy z Klasyczną w miejsce, gdzie zostawiłyśmy prezent.

- Był tu - powiedziałam, kucając przy kamieniach.

Radio zniknęło.

- Znalazł je.

- I zobacz, co zrobił...

Kamienie były poprzekładane i ułożone równo w cyfrę osiem; w każdej z pętelek rósł świeżo posadzony łąbin. Odebrałam to jako znak, podziękowanie. Konieczna była odpowiedź, posadziłam zatem Klasyczną pod jednym z łąbinów i zaczęłam przesuwac kamienie. Jednakże nic nie przychodziło mi do głowy. Ponowne układanie kręgu nie miało sensu. Kwadrat czy strzała wydawały się głupie.

Zdecydowałam się na uśmiechniętą buzię.

- Uniwersalny symbol przyjaźni. - Tak mój ojciec

nazywał rysunek uśmiechniętej buzi. - W Japonii, Holandii czy w Meksyku zawsze oznacza to samo. - Nigdy nie rozdawał autografów, tylko rysunki uśmiechniętych buzi z jego inicjałami na dole.

Siedzieliśmy z ojcem godzinami przy stole w jadalni, rysując kredkami w moim szkicowniku. Ja rysowałam słoneczniki, Barbie albo postacie skaczące na spadochronach, a on niezmiennie czarne linie uśmiechniętych ust, kropki oczu i nosa, różniące się kształtem i wielkością, ale zawsze łatwe do rozpoznania. Zappełniał nimi stronę po stronie. Kiedyś narysował amerykańską flagę składającą się wyłącznie z czerwonych, białych i niebieskich uśmiechniętych twarzy.

I była jeszcze ta piosenka, którą czasem śpiewał, układając mnie do snu.

Czy kocham cię? Odpowiedź znasz.

Choć czasem bywam jak dziki zwierz,

Wystarczy spojrzeć na mą twarz:

Uśmiecham się... i już wiesz,

Wszystko, co tylko wiedzieć chcesz.

Nuciłam tę piosenkę, przekładając kamienie. Duch znajdzie mój uniwersalny symbol przyjaźni i zapewne się roześmieje albo przynajmniej uśmiechnie. Prawdopodobnie będzie nucił swoją śliczną melodię, w pełni świadomy, że komuś na nim zależy. A następnego dnia - bo zamierzałam wrócić - zobaczę, co ułożył z

kamieni.

Ale stało się inaczej.

Mina Klasycznej powinna była dać mi do myślenia - patrzyła gdzieś poza mnie, zbyt przerażona, żeby się odezwać, z wytrzeszczonymi niebieskimi oczyma. Ja jednak nie zwracałam na nią uwagi. Byłam zajęta pracą, obiema rękami wciskałam kamienie w ziemię.

Chmury się rozstały, słońce nagle zaświeciło. Wielki cień nasunął się na moje plecy i na niedokończony kamienny uśmiech - rozłożyła sylwetka ducha w przekrzywionym na bok pszczelarskim kapturze. Zamarłam, serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, ręce zaczęły mi się trząść.

- Dziecko - odezwał się duch niskim głosem - co ty robisz? - Mówił jak mężczyzna, chrapliwie, jak mój ojciec rano, ale był bez wątpienia kobietą.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa - nie mogłam biec. Ręce nie przestawały mi się trząść.

Cień się poruszył. Usłyszałam ciężkie kroki zmierzające w moją stronę. Kątem oka dostrzegłam zwisający rąbek fartucha i obłocone wysokie brązowe buty.

Kobieta-duch stanęła przede mną i szturchając czubkiem buta jeden z kamieni, powiedziała:

- Tak nie można. Zniszczyłaś moje kocie oczy.

Kocie oczy? A więc nie cyfrę osiem. Kocie oczy z niebieskimi łubinami zamiast tęczęwek.

Powoli uniosłam głowę, przesuwając wzrokiem od dołu po wysokiej postaci: biały fartuch, szare rękawiczki, kaptur z woalką. Miała skrzyżowane ramiona. Przez cienką siatkę woalki widziałam twarz - duży nos, szeroką szczękę, okulary w złotej oprawce.

Duchu, myślałam, proszę, odejź. Przerażasz mnie.

- Jesteś niemową, wandalu? - spytała. - Nie umiesz mówić?

Potrząsnęłam głową.

- Co to miało znaczyć? Tak czy nie?

- Boję się - wydukałam.

- Wandal się boi - powiedziała kobieta-duch. - I chyba słusznie.

Musiała mnie pomylić z kimś innym.

- Nie jestem Wandal - zaprotestowałam.

- Co?

- Nie jestem Wandal. Jestem Jeliza-Rose.

- Jaka Rose?

- Jeliza...

- Aha. - Pokiwała głową. Powtórzyła moje imię, obracając je w ustach niczym landrynkę. - Jesteś wandal, jakkolwiek się nazywasz, rozumiesz?

- Nie.

Rozprostowała ręce.

- Wszystko jedno.

Westchnęła i zajęła się kamieniami.

Znieruchomiała w słonecznym świetle, dotykając palcami ziemi; czułam, jak strach powoli mnie opuszcza.

Nie musiałam tak od razu uciekać, mogłam z tym jeszcze chwilę poczekać.

- Są tu jakieś pszczoły?

Udało mi się wzruszyć ramionami.

- Jedno użądlenie i jestem sparaliżowana - oznajmiła. - Jedno żądło i mogę umrzeć.

- Już umarłaś - powiedziałam.

Kobieta-duch głośno wciągnęła powietrze, jakbym ją zaskoczyła.

- Jak można tak mówić? Co z ciebie za dziecko?

Znów odpowiedziałam wzruszeniem ramion.

- No dobrze, jeśli zobaczysz albo usłyszysz pszczołę, to mi powiedz, zgoda?

Przytaknęłam skinieniem.

- Jeśli zostanę użądlnona i umrę, to będzie twoja wina.

Rękawiczki sięgnęły w górę, siatkowa woalka została uniesiona i zarzucona na wierzch kaptura. Włosy opadające duchowi na czoło wydawały się nienaturalnie żółte, przypominały rogi postrzępionej gazety, którą ojciec trzymał w szafie: Król rock'n'rolla nie żyje.

Twarz ducha?

Nie, pomyślała Klasyczna.

Ale ta twarz była biała. Miała lekko różowe policzki, obfity podbródek i zamyślony wyraz, była pomarszczona, chociaż była też w niej zawziętość i wdzięk zarazem. W okularach brakowało lewego szkła, a prawe było przyciemnione i nieprzezroczyste - Będą się trzymać z daleka - powiedziała do siebie, kreśląc w powietrzu koło.

- Będą się dawać we znaki gdzie indziej.

Nie byłam pewna, czy ma na myśli mnie i Klasyczną, czy pszczoły.

Klasnęła w dłonie, odwróciła głowę i splunęła.

- To je odgoni na jakiś czas - wyjaśniła. - Zwykle działa. Zdziwiłabyś się, jak skutecznie.

Potem uklękła, przyglądając się zniszczeniom. Fałdy sukienki wydeły się wokół niej jak opadający na ziemię spadochron. Sięgnęła po kamienie, które poprzekładałam, i kręcąc głową, zaczęła naprawiać kocie oczy.

- Wszystko ma swoje miejsce, rozumiesz? Nawet najmniejsza rzecz. Jeśli przy czymś majstrujesz, zabierasz to coś z właściwego miejsca, nie ma porządku. A wówczas nie ma światła. Wszystko pogrąża się w chaosie.

Przerwała, spoglądając na Klasyczną siedzącą pod łubinem.

- To dla mnie?

- To Klasyczna. Jest moją przyjaciółką.

Podniosła Klasyczną z ziemi, chwytając ją dwoma palcami, i wyciągnęła przed siebie jak śmierdzącą skarpetkę.

- Chyba powinnaś się zastanowić nad swoimi kontaktami towarzyskimi. Weź to.

Pochyliłam się i nieufnie odebrałam od niej Klasyczną. Obserwowałam, jak rękawiczki przyklepują ziemię, poprawiają łubinowe tęczówki, przekładają kamienie.

- Mogę pomóc?

- Z pewnością nie. Idź już. Nie mam nic więcej do

powiedzenia. Zniszczyłaś kocie oko.

- Ale mogę pomóc.

- Akurat, idź i mi pomóż. To znaczy idź. To mi pomoże. Twoje miejsce jest gdzie indziej.

Popatrzyła na mnie z ukosa - jedno oko było widać, drugie chowało się za ciemnym szkłem; przypominała pirata. Potem opuściła woalkę, naciągając ją na twarz, jakby zatrząskiwała przyłbicę.

To nie było w porządku, mogłam jej pomóc. A ona mnie ignorowała.

- Nie jesteś prawdziwym duchem - powiedziałam, wstając.

- Tak mi się zdaje... przynajmniej na razie.

Pomyślałam, że jest wredną staruszką.

Pożałowałam, że dałam jej radio. Nie podziękowała mi i była niemiła dla Klasycznej. Dlatego ją opuściłam; odwróciłam się i zaczęłam biec. Kiedy wdrapywałam się na nasyp, zawołała za mną:

- Jelizo-Rose, co jeszcze umiesz robić?

Udawałam głuchą. Stojąc na torach, obejrzałam się z niechęcią na łąkę. Kobieta otrzepywała rękawiczki o fartuch, patrząc w moją stronę.

- Dziecko, co jeszcze lubisz robić? - Wskazała na kocie oczy. - Poza robieniem szkód.

Nie mogłam zebrać myśli, więc wymieniłam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy:

- Walczę z wiewiórkami... i jeszcze jem.

Milczała przez chwilę. Podrapała się po brodzie przez

woalkę.

- Świetnie - odezwała się w końcu. - Jeśli przyjdiesz tu jutro około południa, będziemy jeść. Co ty na to? A teraz już idź, wracaj tam, skąd przyszedłeś, gdzie twoje miejsce. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Przyjdź jutro... ale bez swojej przyjaciółki, bo sprawia kłopoty.

- Dobrze - zgodziłam się, rozpogodzona.

Zmierzając w stronę farmy, śmiałam się, a właściwie rechotałam. Podrzucałam Klasyczną w powietrze i łapałam. Jeśli duch nie był tak naprawdę duchem, to przynajmniej był przyjazny, prawie. Następnego dnia miałyśmy razem jeść, a może nawet rozbijać sobie nawzajem jajka na głowach.

Klasyczna była smutna; nie odzywała się przez całą drogę do domu.

- Ona cię nie nienawidzi - zapewniałam ją. - Naprawdę.

Ale Klasycznej nie obchodziło, co mam jej do powiedzenia. Mnie zresztą też nie. W końcu sprawiała kłopoty.

Część druga

Rozdział 11

Klasyczna, opowiem ci o pikniku z duchem i o tym, co widziałam i co robiłam potem. Przykro mi, że nie mogłaś pójść, bo jedzenie było pyszne, lepsze od krakersów z masłem orzechowym. Przyniosła smaczny poczęstunek: ciemne tłuste mięso, takie jak na udku kurczaka (nie jestem pewna, czy to było udko), i podała na serwetce z koronkowym wzorem. I sok jabłkowy. I placek, pół porcji. Nie zjadłam wszystkiego, wystarczająco jednak dużo, żeby zachciało mi się spać.

Najpierw opowiem ci, jak czekałam na ducha.

Oczywiście, ona wcale nie jest duchem. Już to wiedziałaś. Ma na imię Dell i mieszka w tamtej widocznej z daleka kępie jadłoszynów, w małym domku z szarego i rdzawego kamienia. Poszłam za nią po pikniku, ale ona o tym nie wiedziała. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Wcześniej jednak na łące siedziałam po turecku obok kocich oczu co najmniej godzinę. Niebo było czyste, wiał lekki wiaterek. Sorgo szumiało od czasu do czasu, jakby ktoś się przedzierał przez gąszcz łodyg, ale to tylko wiatr mnie nabierał. Jak wiesz, umalowałam się szminką i różem. Ręce miałam czyste (umyłam się na ganku, nalewając wodę z butli na złożone dłonie, a potem wydlubałam zębami brud spod paznokci).

Kiedy już myślałam, że Dell o mnie zapomniała,

wyłoniła się z łąnu sorga, wypowiadając połówkę mojego imienia.

- Rose, Rose, Rose...

W jednej ręce niosła wiklinowy koszyk, w drugiej kołdrę.

- Długo tu jesteś? - zapytała spod kaptura. - Pewnie nie. Nie ruszyłaś moich kocich oczu. Niczego nie zniszczyłaś. To mi każe przypuszczać, że jesteś tu zaledwie od paru minut.

Ten gardłowy męski głos, to zrzęczenie.

- Pośpiesz się, dziecko. Słońce pali, a ja nie mam całego dnia na zmarnowanie.

Zawróciwszy, ruszyła tam, skąd przyszła, znikając pośród wysokich traw, więc zerwałam się na nogi i w podskokach udałam się jej śladem.

Wkrótce znalazłam się na nowym terenie, oddalając się od What Rocks i torów.

- Urodziłaś się z rodziców kojotów? Jesteś kojocim dzieckiem? - pytała Dell. - Wyskoczyłaś z ziemi? Skąd się wzięłaś?

Nie wiedziałam, o co jej właściwie chodzi.

- Mieszkam w What Rocks - wyjaśniłam. - I w Los Angeles też, ale nie teraz. Teraz mieszkam w What Rocks.

- Co za pokręcona nazwa... I pokręcone dziecko. Jesteś pokręconym dzieckiem.

Nie wiedziałam, czy żartuje, czy mówi poważnie.

- Mój tatuś tam jest - dodałam - i Klasyczna, i Modne Dżinsy, i Krój i Szyk, i Magiczne Loki.

- Gadasz od rzeczy - oświadczyła Dell. - Jesteś nieokrzesana i wulgarna. Żal mi ciebie.

Szłyśmy po ściernisku; sztywne białe źdźbła chrzęściły pod stopami.

- Uważaj na to, co tu robisz - ostrzegła. - Jesteś na mojej ziemi. Cała, co do cała, należy do mnie.

Rozłożyła na ściernisku kołdrę, kraciastą, zszywaną z kwadratowych kawałków. Nie wolno mi było na niej usiąść. Tak powiedziała. Musiałam usiąść na słomie i zaczęły mnie od tego swędzieć łydki.

Pamiętasz proszone herbatki. Klasyczna? Układałam ciebie i pozostałe główki wokół rozwiniętego papierowego ręcznika w namiocie koło telewizora. A potem udawałam, że nalewam herbatę do waszych maleńkich plastikowych filiżanek.

- Jesteście moimi gośćmi - mówiłam. - Będę wam usługiwać.

Wiatr szarpał kołdrą, miejscami ją wydymając. Kiedy się pochyliłam, żeby rozprostować zawinięty koniec, Dell powiedziała:

- Nie fatyguj się.

To było jej przyjęcie. Sama wygładziła kołdrę. Miała płócienne serwetki i elegancką filiżankę. Byłam jej honorowym gościem.

- Smakowicie pachnie - powiedziałam. - Umyłam ręce. Powinna mnie pochwalić, że ładnie wyglądam.

- Bądź już cicho - poleciała. - Dość tych bzdur, dobrze?

Wyjęła z piknikowego koszyka trzy talerze obciążone

folią i termos, ustawiając je kolejno na rogach kołdry. Sama usiadła na środku, jak gruby dżin na magicznym dywanie (woalkę miała już zsuniętą z twarzy: wcześniej wyrysowała kręgi w powietrzu, przeklęła pszczoły, klasnęła w dłonie i splunęła).

W końcu zaczęła mnie częstować; odwinąwszy folię, starannie wybierała jedzenie, nie zdejmując rękawiczek.

- Trochę tego.

Plaster mięsa.

- Trochę tego.

Kawałek placka.

- Nie rozlej, bo nic innego nie dostaniesz.

Sok jabłkowy.

Nie było tego wiele. Ale, jak ci już wspomniałam, było dobre. Skromna uczta. Po zjedzeniu swojej porcji czułam, jak pęcznieję, obserwując Dell. Z serwetką na kolanach jadła wprost z talerzy - całe mięso, trzy kawałki placka, i piła prosto z termosu.

Nie przeszkadzało mi to, Klasyczna. Byłam zadowolona.

Słyszałam, jak oddycha, głośno i chrapliwie, z wypchanymi ustami. Nie patrzyła na mnie. Jakbym nie istniała. Jakbym była duchem. Gwałtownie poruszała szczęką, raz po raz sięgając po nową porcję jedzenia. Miałam wrażenie, że mówi coś do siebie, z pełnymi ustami, pochrzäkując.

To mamrotanie w połączeniu z przyciemnionym szkłem okularów upodabniało ją do pirata. Sorgo falujące w

oddali stało się oceanem. Siedziałyśmy na bezludnej wyspie, a posiłek stanowił nasz skarb. Wyobraziłam sobie, jak Dell mówi:

- Ha! Niezły łup!

Beknęłam, z przyjemnością wspominając apetyczny, lekko wędzony smak mięsa. Potem wyciągnęłam się na ściernisku i zamknęłam oczy.

Zasnęłam? Pewnie tak. Obudził mnie huk z kamieniołomu. Natychmiast zauważyłam, że kołdra zniknęła, koszyk również. W miejscach, gdzie stały talerze, roiło się od czerwonych mrówek polujących na resztki.

A Dell... w powiewającej na wietrze podomce, kapturze przekrzywionym na bok, dźwigając zebrane rzeczy, zmierzała w stronę gęstej kępy jadłoszynów na dalekim końcu ścierniska. Podążyłam jej śladem, trzymając się w pewnej odległości. Byłam szpiegiem, tajnym agentem Jelizą-Rose, tropiącym Piratkę-Żywicielkę. To, jak się nazywa, okazało się dopiero później.

Jestem niewidzialna, myślałam. Nie można mnie zobaczyć. To ja jestem duchem.

Bujne korony drzew ocieniały krętą ścieżkę. Straciłam Dell z oczu, ale wciąż słyszałam radosną melodię, którą pogwizdywała, idąc, wiedziałam zatem, że jest przede mną, całkiem niedaleko.

„Podnieście mnie do Jezusa słodkiego i przybijcie mnie do krzyża obok niego”. Mój ojciec czasami śpiewał tę pieśń. „Och, cóż za dzień błogosławiony, zawisnąć przy

Jezusie i zostać zbawionym”

Powinnam była ci to wówczas powiedzieć, Klasyczna. Ale chcę ci to powiedzieć teraz...

Dell nie mieszkała w jaskini. Nie została uduszona i utopiona w bagnie, a królowa matka wszystkich świetlików nigdy nie istniała (wspominałam o tym?). Światło widoczne pośród drzew należało do domu Dell; nawet w dzień paliła się żółta lampa nad drzwiami - chyba bardziej jako ostrzeżenie niż zaproszenie.

Jej dom stał między drzewami niczym jakaś rozlatująca się chata czarownicy z bajki. Podwórko jednak było zadbane, nie rósł na nim żaden chwast. Ziemię starannie wygrabiono, a po obu stronach ścieżki, na grządkach obłożonych kamieniami o dziwnych kształtach, rosły pomidory i kabaczki.

Widziałam też wewnątrz domu. Przeszłam ostrożnie, na palcach, przez ganek i zajrzałam przez otwarte okno, choć to wcale nie było łatwe, ponieważ zasłony były zaciągnięte, jakby słoneczne światło traktowano niczym wroga. Mimo to udało mi się. Jedna z zasłon przekrzywiła się i pofałdowała u dołu; przechylając odpowiednio głowę, mogłam zajrzeć do środka.

Może, pomyślałam o Dell, może jesteś czarownicą. Albo wampirem. Może dlatego potrzebujesz kaptura, żeby się nie rozpuścić. Może dlatego zapomniałaś o mnie na ściernisku, bo zaczęłaś się rozpuszczać.

Ale Dell się nie rozpuściła. Była w salonie albo w jadalni, nie pamiętam. I nie miała już na sobie kaptura.

Trzymała ręce we włosach, zwijając je z tyłu głowy. Wyjmując z ust spinki i upinając kok, powiedziała:

- Sam zabij królika, bo ja jestem dziś bardzo zajęta. Myślisz, że tylko ty masz coś do roboty? Chyba w to nie wierzysz. Naprawdę nie sędzę, żebyś tak uważał.

Z początku nie wiedziałam, do kogo się zwraca. Prawdę mówiąc, poza samą Dell niewiele widziałam. Pokój był słabo oświetlony, ale ona stała przy nocnej lampce niedaleko okna. Pamiętam, pomyślałam, że wygląda, jakby tam była noc, i że jej zegar musi źle chodzić. Wyobrażałam sobie, że nocą cienie rosną, a dom promieniuje światłem od wewnątrz. Wszystko było inaczej.

- Nie mogę zabijać królików, Dell, nie mogę i już. Wiesz, że nie mogę.

Miała na imię Dell. Dell, powtórzyłam sobie.

A osoba, która wymówiła jej imię, była mężczyzną czy kobietą? Nie byłam pewna. Głos brzmiał słabo i piskliwie, niemal dziewczęco.

- Słyszysz? Źle się czuję, kiedy to robię królikom. Nie zrobię tego.

Mężczyzna. Mówił dziwnym tonem. Jak mój ojciec, kiedy udawał niedorozwiniętego - ciągnął wtedy nogę za sobą po dywanie, goniąc mnie po całym mieszkaniu. Wykrzywiając usta, pytał:

- Jelizo-Rose, ty też być wyjątkowa? Ja wyjątkowa osoba, Jelizo-Rose. Kochać mnie? Być moją przyjaciółką? Ja myśleć, że ty śliczna. Ja twój wyjątkowy przyjaciel.

Nienawidziłam, kiedy tak się zachowywał. Nie mogłam znieść jego miny, powykrzywianej i głupiej. Ani tego, jak mówił, bełkocząc i dukając. Przerazało mnie to i budziło obrzydzenie.

- Ja już nappełniłam swój brzusek - mówiła Dell. - Jestem służącą? Albo żoną? Mam cię rozpieszczać? Sam się nakarm. Wiesz, jak to zrobić. Nie jesteś już dzieckiem, Dickens.

Wtedy się pokazał, trzymając pod brodą czerwoną świecę. Dell stała odwrócona tyłem; jego pociągła twarz w niebieskich okularach pływackich wyłoniła się zza jej ramienia. Nazywała go Dickens. Na łysej czaszce miał szeroką bliznę, jakby zamiast z włosów zrobiono mu fryzurę ze skóry.

- Mój brzusek jest pusty - powiedział. - Nie zostawiłaś mi nawet okruszka. Słyszysz? Nie zostawiłaś mi nawet okruszka.

Zrobiło mi się go żal. Głos mu drżał. Sprawiał wrażenie smutnego, jakby zaraz miał się rozpłakać.

- Twój brzusek dostanie kolację - odparła Dell. - Wtedy zjesz królika. Ale nie dostaniesz lunchu. Żadnego lunchu. Nakarmię cię na kolację, dobrze? Mama potrzebuje, żeby jej poczytać, zanim pójde dla ciebie zabić.

Odwróciła się i wyszła z pokoju, on za nią, a pomiędzy nimi migocząca świeca. Jeszcze przez chwilę stałam pod oknem, nasłuchując, ale więcej się nie pojawili. I już ich nie usłyszałam. Nic się nie działo, więc poszłam do domu.

Tamtego wieczoru w What Rocks okłamałam cię, Klasyczna. Powiedziałam ci, że Dell z Dickensem zaprosili mnie do środka. Powiedziałam, że tańczyliśmy, graliśmy w karty, śpiewaliśmy piosenki i że podawano markizy na srebrnej tacy. Wszystko kłamstwo. Dell nie naprawiła radia, a mój ojciec nie przesłał wiadomości, kiedy trzymaliśmy się we trójkę za ręce (nie chciałam ci powiedzieć, jaką wiadomość, twierdziłam, że to tajemnica). Dell nie szepnęła, że jestem jej najlepszą przyjaciółką. Nie odprowadziła mnie też do domu. Wróciłam sama.

Ale o króliczej norze nie kłamałam. Pewnie to wiesz. W każdym razie myślę, że to była królicza nora, pod jadłoszynem, niedaleko domu Dell. Szłam ścieżką, kiedy ją zobaczyłam. Otwór był tak duży, że zmieściłaby się w nim moja głowa, nie odważyłam się jednak nachylić i zajrzeć do środka. Przeciwnie, trzymałam się z daleka, żeby nie dać się wessać.

- Ona cię zabije - powiedziałam do nory z nadzieją, że jeśli królik tam jest, to mnie usłyszy. - Lepiej się schowaj, bo ma zamiar upolować cię na kolację. Zjedzą cię.

Mówiłam ci, że tak właśnie powiedziałam, Klasyczna? Tamtego wieczoru, kiedy odpoczywałyśmy przy butach mojego ojca, wspomniałam ci o tym, że ostrzegłam królika? Prawdopodobnie nie. A więc mówię ci teraz. Przepraszam, że w ogóle pokazałam ci tę dziurę. Naprawdę mi przykro.

Rozdział 12

Ojciec ciągle pierdział, cicho, lecz smrodliwie, zatruwając cały parter What Rocks. Smród był potężny, siarkowy, tak silny, że musiałam zostawić otwarte drzwi na zewnątrz. Nie obawiałam się jednak wtargnięcia wiewiórki, wiedziałam, że się rozmyśli, gdy tylko poczuje ten zapach. Prawdopodobnie spakuje swoje manatki i wyniesie się w diabły. Wcale bym się jej nie dziwiła.

- Przestań ciąć babeczki! Puszczaj baki na podwórku, bo tam należy to robić!

Smarowałam w kuchni krakersy masłem orzechowym, przygotowując lunch dla ojca i napawając się zwycięstwem: armia mrówek w końcu została pokonana, ich korpusy walały się po blacie. Już wcześniej ich ubyłó - znajdowały coraz mniej do zabrania - tak że decydujące starcie poszło łatwo. Zresztą gdybym ja ich nie pozabijała, padłyby od cuchnących wystrzałów ojca. To była masakra z litości.

Cięcie babeczek.

Tak ojciec nazywał pierdzenie.

Albo nadmuchiwanie herbatników.

- W Chinach - wyjaśniał mi - zupełnie inaczej rozumieją pewne rzeczy. Im głośniejsze beknięcie, tym lepszy posiłek. Za dobrze nadmuchanego herbatnika, podanego z wdziękiem, dostajesz za darmo deser. Tam

jest to prawie formą sztuki.

- Obrzydliwość.

Nie chciałam mieszkać w Chinach.

Czasami, kiedy razem jedliśmy, pierdział i mówił.

- Jelizo-Rose, nie chce mi się wierzyć. Tniesz babeczki przy stole. Kurczę, to bardzo nieładnie.

Ale to nigdy nie byłam ja. Zawsze on. A kiedy protestowałam, uśmiechał się i puszczał kolejnego bąka.

- Przestań!

- Jezu Chryste - mówił, udając, że jest zły - wsadź sobie zatyczkę. Chcę spokojnie zjeść.

Im bardziej się wściekałam, tym bardziej go to bawiło.

- Przestań! - krzyczałam bliska płaczu. - To ty! Ty to robisz!

- Faj, coś tu zdechło, czy co?

Machał ręką przed nosem, cały czas się śmiejąc.

Matka nienawidziła jego nadmuchiwanych herbatników. Wybiegała z kuchni i zatrząskiwała za sobą drzwi sypialni. Albo rzucała czymś w niego, na przykład łyżką albo pilotem do telewizora. Pewnego razu, kiedy jadła przy stole w jadalni, a ojciec puścił głośnego bąka w salonie, zaczęła walić pięściami w stół. Waliła i waliła, aż widelec, danie z mrożonki i słoiczki z przyprawami podskakiwały na blacie. Potem spokojnie wyszła z pokoju, nie mówiąc ani słowa, tylko rzucając wściekle spojrzenie.

Zlizując z palca masło orzechowe, byłam zadowolona, że tego dnia matki nie ma w What Rocks. Na pewno by

się wściekła, zerwała mu z głowy perukę i czepek i wymierzyła policzek. A potem udusiłaby go jego własnym kucykiem albo rozwalila mu czaszkę, tłukąc w nią aż do skutku. Dlatego dobrze, że jej tam nie było, bo wówczas musiałabym przygotować lunch także dla niej, a wolałam przez resztę życia wachać babeczki niż to robić.

- Jesteś prawdziwym śmierdzielem - powiedziałam do ojca - i nie mów, że to ja, bo to ty. Dobrze o tym wiesz.

Jego posiłek czekał na podłodze - sześć krakersów z masłem orzechowym, trzy przy lewym bucie, trzy przy prawym. Ale nie wyglądał na głodnego. Przeciwnie, wyglądał, jakby był napchany; koniuszek języka wystawał mu spomiędzy umalowanych warg, twarz miał obrzmiała, róż na jego wydętych policzkach trochę zbladł.

- Co jadłeś? Jesteś strasznie duży. To dlatego pierdzisz. I jesteś gruby, brzuch ci sterczy.

Wyobraziłam sobie, jak wstaje z fotela w środku nocy - skrzyp podłogi pod butami - i wychodzi do jakiejś kryjówki po batonik i swoje ulubione ciasteczka.

- Tato, dziś wieczorem możesz zjeść krakersy - powiedziałam, oglądając swoje odbicie w jego okularach.

- Nie musisz ich jeść od razu, jeśli nie chcesz. Ale przygotowałam je dla ciebie, więc...

Przerażona zatkałam sobie dłonią usta.

Człowiek z Bagien był na ganku, jego szybkie kroki dudniły po deskach. Wyglądając zza fotela, dostrzegłam wysoką postać przemykającą za otwartymi drzwiami.

Doszedł mnie głuchy odgłos z dalszej części ganku, potem kroki gwałtownie ucichły przy oknie salonu. Zaglądał do środka, patrzył na mnie, prawie go widziałam kątem oka, ale nie byłam w stanie mu się przyjrzeć.

Ściskając wilgotną rękę ojca, krzyknęłam:

- Odejdź! Idź sobie! Zostaw mnie w spokoju!

Szyby stłumiły jego piskliwy głos.

- Och, nie, przepraszam, nie!

Dickens. Tak miał na imię. To był on.

- Już jej tu nie ma, wiem - powiedział przestraszony. - Pójdę sobie. Nie złość się, proszę. Znowu się pomyliłem. Już jej tu nie ma.

Zerknąwszy w jego stronę, zauważyłam, że jest bez koszuli, bardzo chudy. I wyraźnie przestraszony. Obejmował się ramionami.

- Czego chcesz?

W pływackich okularach zsuniętych na czoło, kiwał do mnie i do ojca głową, jednocześnie cofając się od okna. W końcu odwrócił się i uciekł. Przebiegając obok drzwi, rzucił:

- Przepraszam, przepraszam! Myślałem, że ona tu jest!

Głuchy łomot desek, uderzenia stóp o schody, stłumiony tupot przez podwórko.

Bez namysłu pobiegłam za nim.

Zeskakując z ostatniego stopnia, zawołałam:

- Dickens, nie bój się! Dell jest moją przyjaciółką! Jadłyśmy razem na pikniku!

Ale on już gnał w stronę ścieżki, raz po raz oglądając

się przez ramię z przestraszoną miną. Poruszał się jak lekkoatleci z telewizji, chodźiarze z igrzysk olimpijskich, z których się naśmiewaliśmy z ojcem - stopa przed stopą, machanie łokciami, głowa wyprostowana. Nie mógł biec szybko, bo miał na nogach japonki.

- Dickens!

W japonkach, zielonych kąpielówkach, blady jak maca, wcale nie budził strachu.

- Jestem najlepszą przyjaciółką Dell!

Kiedy dotarłam do pastwiska, nigdzie nie było go już widać. Dopiero co był tuż przede mną i nagle zniknął. Stałam w miejscu, gdzie ścieżka się kończyła, wypatrując go na pastwisku, w autobusie, pośród chwastów.

Scotty cię teleportował, pomyślałam.

Nagle usłyszałam jego oddech, zduszony, jakby miał nozdrza zatkałe smarkami. Był tuż obok, przycupnięty w sorgu. Okulary prześwitywały spomiędzy traw. Widziałam jego oczy, szeroko otwarte, niespokojne, wbite we mnie.

- Wyjdź - poprosiłam, rozchylając łądygi. - Widzę cię.

Dickens zadrżał. Siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę, zakłopotany opuścił wzrok na swoje japonki. Mlasnął wargami, ale się nie odezwał.

- Wiem, kim jesteś.

Nieznacznie uniósł głowę.

- Jak za szybko biegnę - odezwał się cicho, bez tchu - mdleję jak dziewczyna.

Miał cienki głos i twarz małego chłopca, a ciało

staruszka.

- Ja jestem dziewczyną - powiedziałam - ale nie mdleję jak dziewczyna.

- Ty chyba jesteś inna - odparł.

- Chyba tak - zgodziłam się z nim. - Jestem Jeliza-Rose. Mój tata napisał o mnie piosenkę, bo jestem wyjątkowa.

Wysokie trawy zamknęły się wokół nas, kiedy przykucnęłam przed nim, również podciągając kolana pod brodę. Byłam na safari w dżungli. Dickens był afrykańskim zwiadowcą, albinosem. Głębiej w gęstwinie sorga czaiły się tygrysy i lwy.

Zamknął jedno oko, dotknął okularów na czole.

- Skąd znasz moje imię?

- Dell mi powiedziała. Jest moją najlepszą przyjaciółką.

- To moja siostra - wyjaśnił. - A ty jesteś wandalą. Pokreconym dzieckiem z What Rocks, tak cię nazwała.

- Mogłam się spodziewać. A ja myślałam, że jest duchem, a ty Człowiekiem z Bagien. Myślałam, że nim jesteś, dopóki cię nie zobaczyłam.

- Nie, nie jestem. Nawet nie wiem, kto to taki.

- Mieszka w ziemi. Czeka w Jutlandii.

- Aha. To była twoja mama?

- Mój tata - sprostowałam. - Śpi, chyba. Cały czas tylko śpi.

- Aha. Jest ładny.

- No. Upiększyłyśmy go z Klasyczną.

Dickensowi zatrzęsła się głowa. Oddychał głęboko z na wpół przymkniętymi oczyma.

Potem popatrzył na mnie i rysując niedbale palcem jakiś wzór na ziemi, powiedział:

- Tam, w What Rocks, mieszkała starsza pani. Kiedy byłem mały. Wiesz, drzwi były otwarte. Mogła tam być, choć wiedziałem, że jej tam nie ma, ale mogła być. Zawsze popadam w kłopoty, kiedy się pomylę.

Miał żółte palce u nóg, a na głowie różową bliznę, jak ślad po oparzeniu.

- Co ci się stało w głowę?

- Nic... tylko jak byłem mały, to cięli mi coś w środku. To znaczy nie taki mały. Zrobili to, jak byłem młodszy, bo jestem epileptykiem. Nie mogłem nawet skosić trawnika. Dlatego rozcięli mi mózg. Teraz mam dwa mózgi i nie jestem już epileptykiem. Tylko czasami.

- Co to oznacza?

- Coś takiego...

Wywrócił oczami, tak że nie było widać tęczówek, cały się wykręcił, uniósł ręce i zaczął nimi trząść. Nagle przestał, potarł bliznę.

- Od tamtego czasu to się zdarza tylko czasami.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc zapytałam:

- Masz basen?

- Nie. Nie mogę pływać. Utopiłbym się. Nie mogę się kąpać w basenie ani prowadzić samochodu. I nie mogę grać w kręgle.

- Ja też nie pływam. Tylko w wannie. Nie prowadzę samochodu ani nie gram w kręgle.

- To tak jak ja. Dostanę ataku i tonę w basenie jak

moneta. Dostanę ataku i kula do kręgli miażdży mi stopę. Dawniej prowadziłem, ale to nie było dobre, i gdybym teraz siadł za kierownicą, to Dell mówi, że aresztowaliby mnie albo jeszcze gorzej. Więc nie mogę prowadzić, choćby mi to miało uratować życie, nawet gdybym krwawił albo miał odciętą rękę.

- Gdybyś prowadził, to...

Wywróciłam oczami, wykręcając ciało.

- Tak. Właśnie to by się stało.

Oboje się uśmiechnęliśmy. Zapadła cisza; przez chwilę dłubaliśmy w ziemi, nic nie mówiąc.

Kłosa sorga z cichym szelestem kołysały się wokół nas i nad naszymi głowami.

- Wiesz, chciałem powiedzieć - zaczął wreszcie Dickens - że mam łódź podwodną. Jest na tyle duża, że się w niej mieszczę. Więc już nie muszę pływać.

- Mogę się w niej pobawić?

Najpierw się zgodził, a potem dodał:

- Nie wiem, może jutro będziesz mogła. Nie wiem.

- Chciałabym ją zobaczyć, bo lubię łodzie podwodne. Może pobawiłbyś się w niej ze mną.

- Może. Chodzi o to, że musisz mnie trzymać za rękę, dobrze? Wtedy możesz ze mną pójść.

- Dobrze.

- Wtedy się nie zgubimy.

- Dobrze.

Wyciągnął do mnie szczupłą rękę. Chwyciłam ją; jego dłoń była cieplejsza od mojej. Poprowadził mnie przez

sorgo, deptąc łądygi; koniki polne wyskakiwały nam spod nóg niczym odłamki maleńkich min ziemnych. Kiedy tak szliśmy równolegle do pastwiska, mijając wrak szkolnego autobusu, powiedziałam:

- Wieczorem świetliki odwiedzają mnie w autobusie.

Dickens ścisnął moją rękę.

- To niedobre miejsce - powiedział z wyraźnym przestraczeniem w głosie. - Nie trzeba tam chodzić.

Nie spytałam dlaczego.

Jesteś mięczakiem, pomyślałam. Dlatego tak mówisz. Dlatego cały czas się boisz.

Konik polny uczepił się mojej łydki; pozwoliłam mu tam siedzieć, dopóki nie wyszliśmy z sorga, wtedy zabiłam go klepieniem.

- Mam milion centówek - pochwalił się Dickens.

Szliśmy ramię w ramię po torach. Oglądałam się co chwila, sprawdzając, czy nie nadjeżdża pociąg.

- Pokażę ci.

Puścił moją rękę i zaczął iść szybciej, zostawiając mnie z tyłu. Japonki klapały o pięty, klap, klap, klap. Pośladki trzęsły się w kąpielówkach. To było śmieszne. Miał chude, owłosione nogi. Przypominał mi flaminga, białego flaminga.

- Jesteś ptakiem!

- Wcale nie - zaprotestował, pochylając się i wskazując na tory. - Ptak nie ma centówek, a ja mam mnóstwo.

Rzeczywiście miał mnóstwo. Leżały na szynach, zgniecione na płaskie krążki miedzi, całe setki; zachodząc

na siebie, ciągnęły się daleko.

- Jesteś bogaty.

- Będę. Kiedyś zlepią się razem i powstanie jeden wielki cent. Największy cent na świecie. Wiesz, ile będzie wart?

- Milion dolarów.

- Co najmniej. Kupię łódź. Albo prawdziwy okręt podwodny...

Prawdziwy okręt podwodny? Sięgnął po moją dłoń.

- ...znacznie lepszy od tego, który mam.

Ale nie pokazał mi żadnego okrętu podwodnego. To był wigwam zrobiony z gałęzi i chwastów, na nasypie przy torach. I wałało się w nim pełno różnego śmiecia: pokiereszowany rower, zgniecione puszki, trzy zdarte opony. Nie było miejsca, żeby usiąść lub się bawić. Brakowało nawet peryskopu.

- Nazywa się Lisa - powiedział, zsuwając okulary na oczy. - Okręty podwodne mają dziewczęce imiona. Te na powierzchni też. No, przynajmniej niektóre.

Spytałam o rower z wykreconą ramą i połamanymi szprychami.

- Atak rekina.

I opony, i puszki.

- Potworny rekin.

W końcu mi wyjaśnił.

Te śmieci stanowiły przynętę. Był wielkim łowcą rekinów, przemierzającym w łodzi podwodnej południowy Pacyfik. Zwykle używał centówek, ale

czasami zostawiał większą przynętę dla swoich ofiar. Potem ukrywał się w wigwamie i czekał. Po niedługim czasie rekin-potwór nadchodził, ślizgając się po szynach, klapiąc szczęką, miażdżąc wszystko na swojej drodze - rower, puszki po piwie, stare opony, bezbronne centówki. Nic przed nim nie uciekło.

- Jedyne sposoby, żeby zabić tego potwora, to wysadzić go w powietrze - oznajmił. - Kamienie i włócznie na nic się nie zdają, możesz mi wierzyć. Mam szczęście, że żyję.

Jego głos zniecierpliwienie zabrzmiał głęboko, nie jak u mięczaka. Uniósł brew. Pomyślałam, że wygląda na dzielnego i starszego... jak kapitan. A jednak kiedy w oddali rozległ się dźwięk krowiego dzwonka, znów stał się dawnym Dickensem.

- Aha, muszę wracać do domu - powiedział. - Ty też. Nie możesz tu zostać beze mnie. To moja łódź podwodna.

Chwycił mnie za rękę i razem wyszliśmy z wigwamu.

Dzwonek dźwięczał i dźwięczał.

Słysząc było wołanie Dell:

- Dickens! Do domu! Dickens! Do domu! Dickens...

- Możemy się pobawić jutro - zaproponował, puszcżając moją dłoń. - Nie wchodź do łodzi beze mnie!

I odszedł, stopa przed stopą, łokcie na boki, głowa prosto, klap, klap.

- Do widzenia, przyjacielu! - zawołałam za nim, machając. - Nie utop się!

Nie odwrócił się, żeby pomachać. Odszedł bez słowa.

- Odwiedź mnie jutro!

Wiedziałam, że Dell ma dla niego placek. I sok jabłkowy. Pewnie przyszykowała cały koszyk. Zaburczało mi w brzuchu.

Wróciłam do What Rocks, do śmierdząco-pierdzącego What Rocks, gdzie lunch ojca został skradziony, wyniesiony przez otwarte drzwi przez złodzieja. Podłoga salonu usiana była okruchami z krakersów - łakomymi kąskami dla mrówek. Wiewiórka rozrabiała na dachu, skrzecząc i hałasując. Byłam pewna, że zęby ma oblepione masłem orzechowym.

Rozdział 13

Dickens nie przyszedł po mnie następnego dnia.

Jadłam krakersy na ganku i czekałam, słuchając głośnego cykania świerszczy, z nadzieją, że nagły huk z kamieniołomu na chwilę je uciszy. Potem bawiłam się z Klasyczną w atak rekina. Była złotą rybką pływającą przede mną na moim palcu, podczas gdy ja kłapałam paszczą.

- Nie zjadaj mnie! Nie zjadaj mnie!

- Wrrrrrrrrr!...

Kiedy włożyłam ją do ust, miała smak gorszy niż syrop na kaszel. Kilka jej włosów weszło mi pod język i musiałam je wypluć. Plułam tak długo, aż w końcu pozbyłam się nieprzyjemnego smaku.

- Jesteś obrzydliwa - powiedziałam. - Brudna.

Ona na to:

- Kochasz Dickensa.

- Nieprawda! Skąd wiesz?

- Kochasz go, bo jest łowcą rekinów. Pragniesz pocałować bliznę na jego głowie i trzymać się z nim za rękę.

- Do tego ma łódź podwodną.

- Tyle że nieprawdziwą.

- Ale kiedyś będzie bogaty i kupi prawdziwą. Ma więcej centówek od ciebie. Nie pokażę ci tego, jeśli nie

przestaniesz gadać, że go Kocham, Klasyczna, bo go nie Kocham.

Dickens był flamingiem. Śmiesznie chodził. Ale polował na rekiny-potwory. I był moim przyjacielem.

- Jest mięczakiem.

- Czasami jest też kapitanem.

Przemierzał Lisą południowy Pacyfik. Może pokazywali go w telewizji - to tam zawsze widywałam statki, oceany, łodzie podwodne i rekiny. Mogłam oglądać, jak w specjalnym podwodnym pojeździe bada szczątki Titanica, i nawet nie wiedzieć, że to Dickens dzierży ster.

- Pływa pod powierzchnią mórz.

- Jakoś nie przychodzi.

- Może jeszcze przyjdzie.

- Może zapomniał, gdzie leży What Rocks...

- I szuka.

- Bo grozi nam niebezpieczeństwo.

What Rocks szybko szło na dno - właśnie zderzyło się z górą lodową. Zaraz miałam łykać słoną wodę. Klasyczna również. Musiałyśmy się utrzymać na powierzchni, dopóki Dickens nas nie uratuje. Był naszą jedyną nadzieją.

- Nie poddawaj się - mówiłam do Klasycznej. - Musimy dopłynąć do suchego lądu.

- Przecież ja nie umiem pływać.

- Płyn pieskiem! - poradziłam. - Wiosłuj jak pies!

Dryfowałyśmy od schodów; rozgarniając ręką fale,

dałam się nieść prądowi odpływu. Nagle znalazłyśmy się pod wodą, prześlizgując się między wodorostami sorga. Wstrzymywałam oddech tak długo, jak tylko zdołałam, ale sprawiało mi to trudność, więc zmieniałam się w ośmiornicę i machałam palcami niczym mackami. Klasyczna była konikiem morskim. Na pastwisku opłynęłyśmy wywróconego Titanica; małe rybki wskakiwały do środka i wyskakiwały na zewnątrz przez wybite okna.

- Utonął i leży na dnie morza - powiedziałam do Klasycznej, zaglądając do mrocznego wnętrza wraku.

- Nikt nie przeżył - odparła. - To straszne.

- Wynośmy się stąd.

Przepląnęłyśmy nad nasypem, żeby sprawdzić, czy Dell jest na swojej łące. Nie było jej. Odpląnęłyśmy więc, wynurzając się w końcu na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza przy torach, obok wigwamu Dickensa. Omal nie utonęłyśmy.

- Rekin-potwór może być wszędzie - powiedziałam do Klasycznej, schylając się. - Lepiej uważajmy.

Zgniecione centówki ciągnęły się na szynach jak zdeformowane krople wosku ze świecy. Próbowałam jedną zdrapać, nie chciała się jednak oderwać. Rekin porządnie ją zmiażdżył.

- Tu jest niebezpiecznie. Bezpieczniej będzie w łodzi podwodnej.

Wyobraziłam sobie, że rekin płynie za nami, ściga nas, kłapiąc szczęką.

- Atak rekina! - wrzasnęłam.

Przeskoczyliśmy z Klasyczną tory i wbiegaliśmy prosto do Lisy. Tymczasem Dickens nie czekał w środku. Nie było go przy sterze, w okularach pływackich, szukającego na oceanie What Rocks i mnie. A wigwam ani trochę bardziej niż poprzedniego dnia nie przypominał łodzi podwodnej.

- Atak rekina.

Lisa była w rozsypce i bardzo się nie podobała Klasycznej, która uważała, że wigwam śmierdzi gorzej od What Rocks. Pełen rupieci i brudu, stanowił ruinę nie lepszą od wraku autobusu; prowizoryczny dach zapadł się w nocy, kilka długich gałęzi opadło na pogięty rower, inne spoczywały na zużytych oponach, a reszta stała pionowo jednym końcem wbita w ziemię, drugim stercząc przez dziurę w górze. Zniszczenie dachu podzieliło wigwam na połowę, ograniczając już i tak skąpą przestrzeń w środku.

Pomyślałam, że Lisa zatoneła. Dickens nie umie pływać. Nie jest nawet ośmiornicą czy choćby konikiem morskim.

- To sprawka tej piratki - oświadczyła Klasyczna. - Wdarła się do łodzi i uwięziła go. Kapitan bez wątpienia wpadł do morza. Utopiła go, bo jest świnią. Zostawiła cię na polu. Sprawia kłopoty.

Wyobraziłam sobie Dell - z kawałkiem placka w ręce, ustami wilgotnymi od soku jabłkowego; ciemne szkło w okularach odbijało promienie popołudniowego słońca.

Była gdzieś w pobliżu, krzyczała, wywijając mieczem nad głową albo dźgając końcem ostrza Dickensa, który klapiąc japonkami, zmierzał ku krawędzi pokładu.

- Ratować go! Ratować kapitana...

- ...bo inaczej pożrą go rekiny!

Ostatecznie jednak nie musiałyśmy ratować Dickensa. Cały i zdrowy, mrużąc coś do siebie z uśmiechem, grabił podwórko przed domem, w którym mieszkał z Dell. Nie miał na sobie okularów pływackich ani japonek. Ubrany był w czerwoną czapkę bejsbolową, podkoszulek, dżinsy i kowbojskie buty. Wyglądał jak farmer.

- Nie jest kapitanem ani więźniem...

- ...ani niczym innym.

Ukrywałyśmy się z Klasyczną między drzewami, za krzakiem jałowca, obserwując, jak Dickens zatacza kręgi na podwórzu. Chodził w kółko, grabiąc ślady swoich butów, mrużąc i uśmiechając się na przemian. Nie mógł sobie poradzić. Gdy tylko zagrabił ścieżkę, odwracał się i wchodził na nią; wszędzie były jego ślady.

Dell też tam była, w kapturze i rękawiczkach, zbierała w ogrodzie pomidory i kabaczki, jedne wkładała do plastikowej torby, inne wyrzucała. Pracując, gwizdała coś pod nosem, od czasu do czasu przerywając, żeby się zwrócić do Dickensa:

- Nie, nie... przeoczyłeś jedno miejsce, oczywiście. Uważaj, co robisz. - Pokazywała palcem. - Nie tam, tylko tam.

Dickens rozglądał się, wypatrując opuszczonego

miejsca, i cofał się, robiąc nowe ślady.

- Właśnie tam. Tak, właśnie tam.

Zagrabiał nerwowo odciski butów przed sobą, mrużąc i uśmiechając się, mrużąc i uśmiechając się.

- Nie, nie, zobacz, jest ich coraz więcej. Wszystko psujesz, kiedy tak chodzisz. Uważaj, dobrze?

To mogło trwać godzinami - Dell wskazuje palcem, Dickens grabi i robi nowe ślady... ale pakowacz Patrick nadjechał swoim nissanem. Zatrąbił dwa razy, wjeżdżając pełnym gazem na wyboisty podjazd. Słońce zamigotało na przedniej szybie.

Dźwięki klaksonu przestraszyły Dickensa; upuścił grabie, zerknął na Dell i przygryzając dolną wargę, splótł ramiona na piersi.

- Uch... - stęknął.

Stając przed nim na żwirowej ścieżce, poleciała:

- Wejdz do środka. Zostań w swoim pokoju, dopóki cię nie zawołam.

- Dobrze, Dell, dobrze.

Pognał do domu jak wariat, cały czas się obejmując, zostawiając kolejne odciski butów na ziemi. Wskoczył na ganek i zniknął w środku, zatrzaskując za sobą drzwi.

- Będą się trzymać z daleka.

Dell narysowała krąg w powietrzu. Następnie klasnęła w dłonie, potem zdjęła kaptur i hełm, ułożyła je na ścieżce i splunęła na podwórze.

- Będą się dawać we znaki gdzie indziej.

Nissan podjechał tymczasem pod dom, drzwi od strony

kierowcy były szeroko otwarte. Patrick podnosił z siedzenia dwie ciężkie papierowe torby. Trzymając je przed sobą, podszedł do Dell, która wycierała rękawiczki o fartuch.

- Ł-ł-ładne popołudnie, p-p-pani Munro - zagadnął.

- Witaj, Patricku - odpowiedziała Dell. - Już po południu? Patrzenie, jak ten czas leci.

Uśmiechała się. Jej głos brzmiał przyjaźnie. Sprawiała wrażenie, jakby była inną osobą, kimś młodszym.

- T-t-tak, proszę pani, l-l-leci!

Dell wskazała palcem na ganek.

- Możesz tam położyć torby, przy drzwiach. Sama wniosę je do środka. Pamiętałeś o serze, słodkim, niesolonym, prawda? I o wołowych medalionach?

Przytaknął skinieniem. On też się uśmiechał.

- Oczywiście, że pamiętałeś, tak, tak.

Patrząc, jak Patrick stawia torby na ganku, Dell dotykała swoich włosów, żółtego koka.

- Doceniam to wszystko, co dla mnie robisz. Jesteś takim uprzejmym młodzieńcem.

Patrick podszedł do niej, uśmiechając się kącikiem ust. Dell chwyciła jego rękę i położyła sobie na piersi.

- J-j-ja... - wydukał Patrick.

- Wiem - weszła mu w słowo Dell - już zapłaciłeś za wszystko.

Pokiwał głową twierdząco.

- Tak, oczywiście. Dziękuję ci, dziękuję.

- Z-z-zechce pani?

- Tak, Patricku. Ale nie tutaj, nie na podwórku przy pomidorach.

Nie rozumiałam tego, co stało się później. Klasyczna też nie. To nie miało żadnego sensu.

Dell zaprowadziła Patricka za dom i kazała mu położyć się na ziemi. Następnie uklękła przy nim. Patrick dotknął jej koka, a ona rozpięła mu spodnie. Leżał z zamkniętymi oczami, z ustami lekko rozchylonymi. Wyciągnęła jego siusiaka - brzydkiego, spuchniętego i czerwonego - pocałowała, wzięła na chwilę do ust. Poruszał jej głową, tam i z powrotem, tam i z powrotem, trzymając za kok. Wyglądało to tak, jakby Dell jadła coś dużego, miała wypchane policzki. Była głodna.

Tam i z powrotem.

Patrick oddychał ciężko i trochę jęczał.

Pomyślałam, że Dell robi mu krzywdę. Wysysa jego krew.

Nagle przestała. Podniosła się i stanęła nad nim okrakiem, unosząc sukienkę, zbierając fałdy materiału rękawiczkami. Przykucnęła, udając, że jest jeźdźcem, a Patrick koniem. Zaczęła poruszać biodrami, nic przy tym nie mówiąc. Nie śmiała się ani nawet nie uśmiechała, tylko dosiadała go w milczeniu. Patrick drapał palcami ziemię, wykręcał stopy w tenisówkach, wargi mu drżały, jakby chciał krzyknąć, jakby nie mógł wydobyć z siebie słowa „R-r-ratunku!”. Ale nie krzyknął, tylko jęczał i trochę rzucał ciałem. W końcu czerwony na twarzy wystękał:

- O k-k-kurde!

I się skończyło. Dell miała dość zabawy. Podniosła się z niego, opuszczając sukienkę. Patrick został na ziemi, wyraźnie wyczerpany; siusiak wciąż wystawał mu ze spodni.

Ona jest wampirem, pomyślała Klasyczna. Ty będziesz następna.

Nie chciałam, żeby Dell mi to robiła, żeby wysysała moją krew, żeby mnie dotykała ustami między nogami albo mnie dosiadała.

- Obrzydlistwo - szepnęłam.

Zaczęłyśmy się wycofywać, wtem gałązka jałowca zaczepiła kolcami o moją sukienkę. Kiedy się szarpnęłam, krzew zaszeleścił. Puściłyśmy się biegiem. Bałam się, że Dell mnie słyszała i że ona lub Patrick mogą mnie gonić.

W końcu przystanąłam pod drzewem i obejrzałam się. Nikt mnie nie ścigał. Dom Dell został daleko w tyle. Usłyszałam, jak nissan Patricka trąbi dwa razy. Odjeżdżał. Domyśliłam się, że nie zauważyli, jak uciekam.

Odetchnęłam z ulgą.

Tu gdzieś jest królicza nora, myślała Klasyczna. Może byś mi ją pokazała. Chyba jesteś już bezpieczna.

Jeśli pokażę ci norę, będziesz musiała nasłuchiwać. Ona może nas złapać.

Nie złapie. Nie słyszała cię. Uciekłaś.

- No dobrze - zgodziłam się.

Weszłam na ścieżkę, co chwilę oglądając się w obawie przed Dell. Króliczą norę łatwo było znaleźć, pod

jadłoszynem był duży otwór. Pokazałam to miejsce Klasycznej, trzymając ją na wyciągniętej ręce tuż przy krawędzi. Nora ziała czernią i była znacznie większa, niż pamiętałam. Pewnie zdołałabym się w nią wcisnąć aż do ramion.

Bliżej, Jelizo-Rose. Pozwól mi zajrzeć środka.

Ale tam jest królik.

Bliżej, proszę.

- To nora Alicji - powiedziałam.

I w tym momencie Klasyczna ześliznęła mi się z palca. Wpadła do środka. Spadała, spadała, spadała w ciemność, poza zasięgiem mojej ręki. Przepadła. Przelatywała przez całą ziemię, żeby się znaleźć tam, gdzie ludzie chodzą głową w dół.

Mój żołądek zapadł się w głąb ciała, jak Lisa w morską otchłań.

- Klasyczna!

Miałam ochotę płakać. I pewnie bym się rozplakała, ale Klasyczna przesłała mi wiadomość:

- Wszystko w porządku, moja droga. Opadam bardzo powoli. Ściany nory zajmują szafy i półki na książki. Ciekawe, ile już mil spadłam od tego czasu?

Nie mogłam iść do domu. Nie tak od razu. Zostałam tam do zmroku, w złocistym świetle, zastanawiając się, jak ją ratować. Siedziałam po turecku pod drzewem. Wrzucałam kamyki do nory. Potem rozległ się gwizd pociągu. Wiedziałam, że wkrótce Człowiek z Bagien poruszy się w swoim grobie.

- Klasyczna, nie martw się - poprosiłam.

Ale nie było odpowiedzi.

Mówiłam sobie, że Klasyczna śpi. Śpi, spadając w dół, w dół, w dół, i śni o mnie, o What Rocks i o swoich bezcielesnych przyjaciółkach.

Tego wieczoru wracałam do domu zła na siebie - przede wszystkim o to, że w ogóle znalazłam króliczą norę. I na Klasyczną też byłam wściekła. Chciała, żebym ją przysunęła bliżej. Właściwie to ona ponosiła winę... a ja znowu byłam sama.

- Jesteś taka głupia - powiedziałam. - Czasami jesteś najgłupsza.

Rozdział 14

Klasyczna była pierwszą główką, którą odkryłam w pudle stojącym w sklepie z używanymi rzeczami. Trzymając ją na otwartej dłoni, pokazałam matce.

- Jest taka piękna - zachwyciłam się.

Matka wzruszyła ramionami. Nie patrzyła na mnie. Spoglądała na półkę z malowanymi chińskimi talerzami, ustawionymi w drucianych stojakach; każdy przedstawiał co innego: wodospad, Johna Wayne'a, kocięta, Jezusa na krzyżu, Beatlesów.

- Kupisz mi ją? Proszę.

Ku mojemu zaskoczeniu matka się zgodziła. Wyciągnęła z torebki dwa dolary.

- Jeśli kosztuje więcej - powiedziała - to ją odłóż.

Nie przeczytała kartonowej wywieszki nad pudłem: „Wszystkie części lalek. Wybierz i dopasuj. 5 sztuk za dolara”.

- Dziękuję, dziękuję - ucieszyłam się.

Trzymając ostrożnie Klasyczną, zaczęłam grzebać w pudle pełnym rąk, torsów, nóg i głów. Następna była Magiczne Loki. Potem Modne Dzinsy. Na końcu Krój i Szyk. Ale żadna z nich nie była w tak dobrym stanie i taka piękna jak Klasyczna. Ona była najlepsza. I wiedziała o tym.

- Moja droga, to ja cię wybrałam - powiedziała mi

później. - A ty wybrałaś pozostałe.

Gdyby jej głos miał smak, byłby to smak miodu, słodki i przymilny.

Jednakże po tym, jak wpadła do nory, trudniej mi było ją usłyszeć. Głos jej osłabł, a przekaz na odległość stał się prawie niemożliwy - czasami musiała krzyczeć.

SŁYSZYSZ MNIE TERAZ?! SŁYSZYSZ?!...

Ukazywała mi się, kiedy spałam na materacu ojca - powiewając rudymi włosami przepływała na tle szaf i półek z książkami, wąskie usta miała ni to wykrzywione, ni uśmiechnięte.

- Już po wszystkim, moja droga. Już po mnie. Porzuciłaś mnie.

- Nie, wszystko będzie dobrze. Jesteś mi potrzebna.

- Za późno. Za późno. Ale przynajmniej została ci reszta towarzystwa.

Kiedy się obudziłam następnego ranka, reszta leżała na podłodze; czekały niespokojnie niczym królowe piękności na werdykt. Trzy główki zastanawiały się, która z nich zastąpi Klasyczną i otrzyma koronę przyjaźni od Jelizy-Rose.

- Ona jeszcze nie umarła - powiedziałam im. - Jesteście jak rekiny! Cieszycie się, że przelatuje przez ziemię!

Zakazałam im się odzywać przez milion lat.

- Jesteście tylko głowami! Nie macie serc! Zdrajczynie! Zaatakowałam je na czworakach, pstryknięciami palców rozsyłałam zdrajczynie po całym pokoju.

- A masz!

Pstryk.

Magiczne Loki zawirowała na podłodze niczym bączek.

- Ty też!

Pstryk.

Modne Dżinsy wystrzeliła w powietrze.

- I ty także!

Nie mogłam pstryknąć Kroju i Szyku.

Mój palec zawahał się przed jej zniszczoną twarzą i zaczerwionymi oczami. Jeśli ktoś miał prawo nienawidzić Klasycznej, to właśnie Krój i Szyk, więc podniosłam ją delikatnie i szepnęłam do ucha:

- Jesteś lepsza niż obie pozostałe. Przykro mi, że Klasyczna była dla ciebie taka niemiła.

Zastanawiałam się, czy nie zabrać jej ze sobą do króliczej nory; mogłabym ją umieścić na końcu boa babki i wpuścić do środka. Ponieważ Krój i Szyk była ślepa, może potrafiłaby wyczuć Klasyczną w ciemności. Może mogłaby jakoś uwolnić Klasyczną i zostałyby najlepszymi przyjaciółkami na resztę życia.

Chcę ją uratować, myślała Krój i Szyk. Pozwól mi tam pójść.

- Nie, lepiej zostać - postanowiłam, choć niechętnie. - Mogłabyś wpaść i wtedy byłabym skazana na Modne Dżinsy i Magiczne Loki. Są równie okropne jak mrówki. Są gorsze od wiewiórek.

Byłam zadowolona, że Krój i Szyk jednak mi nie towarzyszy. Nie na wiele by się zdało. Boa też nie było przydatne - za lekkie i zbyt pierzaste jak na linę

ratunkową. Nie wiedziałam nawet, czy w ogóle dosięgło czegoś w tej norze.

- Głupie pióra!

Ostatecznie owinełam sobie boa wokół szyi i poszłam poszukać innego narzędzia, długiego i sztywnego. Klasyczna darła się z głębi nory:

SŁYSZYSZ MNIE?

Tak. Głośno i wyraźnie.

ZIMNO TU! SPADŁAM NA DNO, JESTEM PRAWIE PEWNA!
ALBO LEŻĘ NA JAKIEJS PÓLCE!

Nie martw się. Jestem tu. Szukam kija.

JEST BARDZO ZIMNO, A JA JESTEM TAKA ZMĘCZONA...

- Już idę - zapewniłam. - Nie zasypiaj. Trzymaj się.

Gałęzie jadłoszynów były wszędzie; na ziemi, koło ścieżki, wszystkie cienkie i łamliwe, do tego żadna wystarczająco długa. Musiałam odłamać suchy konar z drzewa - napierałam z całych sił, aż w końcu został mi w rękach. Zaciągnęłam go na ścieżkę.

Konar dłuższy niż moja noga Dłuższy niż paskudny siusiak P-P-Patricka.

Miałam ochotę gwizdać, kiedy gałąź drapała o ziemię. Ściągnęłam wargi i dmuchałam, ale z moich ust wydobywał się jedynie oddech i trochę śliny. Beznadziejna sprawa.

Ułożyłam więc zamiast tego wesołą piosenkę.

- Ciągnąc gałąź, ciągnąc gałąź, lepiej uważaj na pana Smoka Gałęzioka - zaśpiewałam. - Odgryzie ci głowę, odgryzie ci głowę, ciągnąc gałąź. Pan Smok Gałęziok,

ciągnąc gałąź...

Piosenka wydała mi się taka świetna, że nachyliłam się nad norą i uśmiechnięta zaczęłam śpiewać dla Klasycznej. Słowa odbijały się echem w ciemności. Udawałam, że wszystkie pobliskie drzewa to staruszkowie i staruszki tworzący publiczność. Bili brawo; ich chude, kościste ręce zdobiły ciężkie brylantowe pierścienie i złote bransolety.

- Dziękuję wam wszystkim, wszystkim wszędzie - zakończyłam i pogłaskałam boa, jakby to był kot siedzący mi na ramieniu.

Kiedy oklaski ostatecznie umilkły w moich uszach, zaczęłam nasłuchiwać wiadomości od Klasycznej. Powinna była powiedzieć; Fantastycznie! Jesteś cudowna! Pan Smok Gałęziok to najlepsza piosenka, jaka kiedykolwiek powstała!

Ale nic nie powiedziała.

- Klasyczna, jesteś tam jeszcze? - spytałam.

Żadnego odzewu.

Czekałam.

- Klasyczna?

Nic.

Wetknęłam gałąź do nory. W dół, w dół, w dół. Co najmniej trzy stopy. Moja dłoń i nadgarstek sięgnęły poza krawędź otworu. Nagle gałąź wbiła się w dno, zaskrzypiała w zetknięciu z ziemią, być może uderzyła w kamienie lub jakąś grudę... i się złamała. Wrażenie było takie, jakby ziemia ustąpiła, nora stała się głębsza.

- Aha - mruknęłam jak Dickens.

Nie mogłam już stukać w dno, trafiałam w próżnię, więc rozchyliłam palce, wpuszczając to, co zostało z gałęzi.

- Uwaga, nadchodzi! - ostrzegłam Klasyczną.

Pan Smok Gałęziok spadał na nią. Odgryzie jej głowę, odgryzie jej głowę.

Usiadłam po turecku i patrzyłam na norę. Klasyczna nie stoczyła się tak głęboko, jak sądziłam. Gdybym miała ręce dorosłej osoby, mogłabym sięgnąć i prawdopodobnie dotknąć jej koniuszkami palców. I nie bałabym się ciemności w środku, bo nora nie wydawałaby mi się taka olbrzymia.

- Aha - powtórzyłam.

Wyobraziłam sobie Dickensa obejmującego się tymi swoimi chudymi ramionami; dłonie niemal stykały mu się na plecach. Mógłby ją uratować w okamgnieniu. Miał ręce jak kije od szczotki. Nie potrzebował grabi, mógł wygrabić podwórko palcami. Nawet nie musiałby się specjalnie schylać.

- Klasyczna, zaraz wrócę. - Miałam pomysł. - Nigdzie nie odchodź.

Dickens nie potrzebował grabi. Ale ja tak. Grapie by się nie złamały; mogłam wetknąć je do nory - zgarniając Klasyczną, kawałki gałęzi, grudy ziemi i kamienie - i wyciągnąć z powrotem w całości.

Grapie Życia, nazwałam je w myślach, podążając ścieżką; czułam kamienie pod podeszwami tenisówek. Zmierzając na skraj podwórka Dell, rozglądałam się

uważnie. Dell mogła czaić się gdzieś w pobliżu, ukryta za siwym pniem drzewa. Mogła mi wyssać krew, gdybym nie była ostrożna.

- Będiesz się trzymać z daleka - powiedziałam. Odwróciłam się i splunęłam. - Będiesz się dawać we znaki gdzie indziej.

Przykucnięta za krzakiem jałowca, omiotłam wzrokiem podwórze, ścieżkę i ganek. Nad drzwiami domu paliło się żółte światło. Grabie Życia zniknęły. Wszędzie panowała cisza. Żadnego gwizdania, żadnego mrużenia. Dom wydawał się opuszczony, zasłony były zaciągnięte, jakby Dell z Dickensem spakowali walizki i wyjechali na wakacje. Albo ucinali sobie drzemkę. Albo przemierzali ocean na pokładzie Lisy.

Oderwawszy się od krzaka, przeszłam przez podwórze, zostawiając ślady na ziemi wygrabionej przez Dickensa. Na czworakach skradałam się wzdłuż domu, nasłuchując wszystkiego: szeptu, głosu, skrzypienia podłogi.

Podwórze na tyłach stanowiło inny świat, nie było tak zadbane jak to od frontu. Porastały je wysokie chwasty. Przy domu stał zaparkowany niebieski ford furgonetka z zygzakowatym pęknięciem w poprzek przedniej szyby. Dalej znajdowała się szopa bez okien, cała z pordzewiałej blachy, nawet drzwi, a obok niej dwie drewniane klatki obite siatką.

Ale gdzie się podziały Grabie Życia? Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Kiedy się zbliżałam do szopy, od strony jadłoszynów

dobiegł odgłos wystrzału. Choć daleki, gwałtownie przerwał ciszę i na moment mnie przestraszył. Drugi wystrzał. Trzeci. To nie był ten sam huk co z kamieniołomu. Brzmiał inaczej, mniej dudniąco. Te wystrzały nie wydawały się aż tak groźne.

Szłam wydeptaną ścieżką - chwasty bez wątpienia poległy pod butami Dell - popatrując na krzaki jeżyn, rozglądając się, wypatrując grabi. Chaszcze rosły jednak zbyt gęsto, nie widać było ziemi.

Gdzie cię schowali? Może tu, może...

Szarpnęłam kłódką na drzwiach, ale była zamknięta. Wokół szopy utrzymywał się mocny, wyraźny zapach ni to terpentyny, ni zmywacza do paznokci. Aż zapiekły mnie oczy. Nie byłam w stanie sprawdzić, czy grabie są w środku. Próbowałam zaglądać przez wąską szparę między drzwiami a framugą. Bez skutku. W szopie było równie ciemno jak w króliczej norze.

Poszukiwania zakończyły się zupełnym fiaskiem, więc rzuciłam ulubionym przekleństwem mojego ojca:

- Pieprzone gówno!

Kopnęłam w drzwi.

Wszystko gdzieś znikało, rzeczy i ludzie. Klasyczna. Dno nory. Dell i Dickens. Grabie. Nawet klatki były puste, nie licząc brudnych gazet, kepek białej sierści i bobków wielkości śrutu.

- Pieprzone gówno!

Nic nie mogłam na to poradzić, musiałam wrócić do nory z pustymi rękami. I tak też zrobiłam; krzywiąc się, z

opuszczonymi ramionami, kopiąc kamienie na ścieżce, przedstawiałam obraz klęski.

Co gorsza, nie mogłam sobie przypomnieć mojej piosenki. Usiadłam przed norą i próbowałam ją zaśpiewać.

- Smok Gałęziok nadchodzi... pan Smok Gałęziok... odgryzie jej głowę... - Ale słowa były inne, podobnie jak rytm. - ...Pan Smok Gałęziok nadchodzi... nadchodzi... nadchodzi...

Nie miało co sensu, więc dałam sobie spokój; zniechęcona klepnęłam się ręką w czoło. I właśnie wtedy usłyszałam chłopięcy głos:

- ...cholera, nie wiem, Luke. Ty tu byłeś pierwszy.

- Wiem, wiem - odpowiedział inny chłopięcy głos.

Zbliżali się, roześmiani, rozmawiając głośno. W końcu ich zobaczyłam. Przechodzili tuż obok mnie, jadłoszynów i króliczej nory, zmierzając wolno w stronę domu Dell. Nie zauważyli mnie, zbyt pochłonięci rozmową, zapatrzeni przed siebie. Jeden ubrany był w czarne dżinsy, drugi w niebieskie. Obaj nieśli strzelby. Wyglądali na dzikusów, bliźniaków lub braci: czapki bejsbolowe naciągnięte głęboko na oczy, opalone szyje, nogawki spodni upchnięte w ubłoconych butach; rozciągnięte przy szyi podkoszulki ukazywały bladą skórę poniżej karku.

Czarne Dżinsy niósł strzelbę opartą lufą na ramieniu. U pasa wisiały mu dwa nieżywe króliki, związane drutem za tylne nogi. Niebieskie Dżinsy coś żuł, może gumę albo tytoń, i trzymał strzelbę przy boku, skierowaną lufą ku

ziemi.

- Hej, jesteś pewien, żeśmy się nie zgubili, Luke? - spytał Niebieskie Dżinsy.

- Jasne. Dojdziemy tędy do drogi. Jestem pewien.

Weszłam na ścieżkę i patrzyłam, jak się oddalają. Na spodniach z tyłu mieli zielone plamy od trawy. Czarne Dżinsy podrapał się, jakby go swędziały pośladki, jakby mu się majtki wrzynały w tyłek. Śledziłam ich przez chwilę - byłam wspaniałym szpiegiem, z boa na szyi, trzymającym się w bezpiecznej odległości i raz po raz znikającym pośród drzew. Zbliżali się do domu Dell, cały czas gadali, hałasowali jak wiewiórki.

Lepiej bądźcie cicho, pomyślałam. Bo wam wysie krew.

Jak tylko przyszło mi to do głowy, ukazała się Dell.

- Wandale - wrzasnęła. - Tak, wy, stójcie!

Wyskoczyła z zarośli prosto na ścieżkę, w rozwianej podomce, kapturze i hełmie zsuniętym na bok. Obaj chłopcy osłupieli. Pewnie by się rzucili do ucieczki, gdyby nie to, że Dell trzymała dubeltówkę; długa lufa kołysała się, mierząc na przemian to w jednego, to w drugiego. Nie uciekali. Nawet nie drgnęli.

- Przestępcy i hołota! - wrzeszczała Dell. - Wiecie, gdzie się znajdujecie, intruzi?

- Nie, nie, szliśmy do drogi, do domu Keelera - zaczął pośpiesznie Czarne Dżinsy. - Chcieliśmy sobie skrócić trasę.

- Kłamca! - krzyknęła Dell. - A kimże jest dla was

Willy Keeler? Pewnie nikiem!

Machnęła bronią niczym widłami, dźgając powietrze.

- Jest moim wujkiem - włączył się Niebieskie Dżinsy. -
Przysięgam - dodał drżącym głosem.

- Moim też - zapewnił Czarne Dżinsy.

- Moim też, moim też! - zadrwiła Dell. - Przysięgam,
przysięgam!

- Idziemy go odwiedzić, naprawdę - próbował wyjaśnić
Niebieskie Dżinsy. - Nie wiedzieliśmy, że wchodzimy na
cudzy teren.

- Nie było żadnej tabliczki, płotu ani niczego takiego -
wsparł go Czarne Dżinsy.

Dell nie przestawała wymachiwać bronią.

- Jasne, a ten skrót należy do was? Idziecie po swoim?
Chyba nie. Jestem właścicielką tego terenu. Należy do
mnie. Cały. I one też są moje!

Wskazała lufą na króliki wiszące u pasa Czarnych
Dżinsów.

- Są moje! Zrozumiano? Należą do mnie!

Czarnym Dżinsom głos zaczął się łamać.

- Przykro nam - wydukał. - Nie wiedzieliśmy.

- Jasne - drwiła Dell. - Obydwu wam przykro.
Wszystko widziałam. Obserwowałam was, łobuzy.
Sikaliście na moją ziemię, smarkaliście w koszule. I
polowaliście tutaj!

Potem, kiedy było już po wszystkim, nachyliłam się
nad norą w nadziei, że Klasyczna mnie usłyszy, i
mówiłam, że ci chłopcy mieli szczęście, iż Dell ich nie

zamordowała.

- Jeszcze raz wejdziecie mi w drogę, a pożałujecie - ostrzegła. - Jestem gorsza od śmierci.

Tak właśnie powiedziałam Klasycznej:

- Mieli szczęście, bo Dell jest gorsza od śmierci.

Leżałam na brzuchu obok wylotu nory, z rękami splecionymi pod brodą, zaciskając dłonie na końcach boa, i opowiadałam o całym wydarzeniu. Wspomniałam o tym, że Dell kazała chłopcom rozładować strzelby oraz że zabrała im kule i upolowane króliki. Biedacy przez cały czas trzęśli się ze strachu. Ale Dell nie wysłała im krwi. Tylko im pogroziła tym swoim ropuszym głosem.

- Jeszcze raz wejdziecie mi w drogę...

Puściła ich. Pognali przez zarośla jak jelenie, słysząc było trzask gałęzi łamanych pod butami, aż w końcu zniknęli.

- Prawdopodobnie jestem niewidzialna - stwierdziłam. - Dell mnie nie zauważyła, bo jestem prawie duchem. Naprawdę tak sędzę, a ty?

Wpatrywałam się w otwór, czekając na odpowiedź, która jednak nie nadeszła.

Zamknęłam więc oczy i wysłałam pozazmysłową wiadomość: Jesteś tam? Słyszysz mnie? Głośno i wyraźnie?

Nic, poza szumem, jakby syczeniem w oddali.

Potrzebowałam radia. Mogłabym użyć pokrętła, żeby znaleźć Klasyczną, żeby się do niej dostroić. I może przypomniabym sobie swoją piosenkę. Spodobałoby jej

się: specjalny program tylko dla niej. Słuchanie pomogłoby jej zwalczyć senność. I nie czułaby się taka samotna, gdyż moja piosenka dodałaby jej otuchy.

Rozdział 15

Dickens przyszedł po mnie z kieszonią pełną kul. W pierwszej chwili myślałam, że to wiewiórka. Byłam na górze i usłyszałam, jak chodzi, a ponieważ tego popołudnia zostawiłam otwarte drzwi - wietrzyłam smrody ojca - byłam pewna, że to ten uprzykrzony zwierzak hałasuje w salonie, szukając krakersów i masła orzechowego.

Kiedy jednak zeszałam na dół, żeby to sprawdzić, znalazłam Dickensa - bez koszuli, w dżinsach i japonkach. Stał przed moim ojcem i przyglądał mu się przez swoje pływackie okulary.

- Cześć - odezwałam się, stając za oparciem skózanego fotela.

Dickens popatrzył na mnie i się wzdrygnął. Byłam przekonana, że zaraz się obejmie, lecz tego nie zrobił.

- Przepraszam - zaczął. - Lepiej już pójdę... Nie zapukałem, a to niegrzecznie... Poza tym robi się już późno, więc sobie pójdę, dobrze?

Zacisnął pięści. Przypominał wiewiórkę, kiedy tak się trząsł, gotowy czmychnąć do drzwi.

- Nie musisz iść - powiedziałam.

- A, to dobrze - odparł, kiwając głową - bo pomyślałem, że powinnaś się dziś ze mną pobawić.

- Dobrze - zgodziłam się.

Chciałam go spytać, czy uratuje Klasyczną. Już miałam powiedzieć, że swoimi chudymi rękami mógłby sięgnąć do każdej dziury na świecie, nim jednak zdążyłam się odezwać, rzekł:

- Twój tata dużo śpi. Moja mama też. Ostatnio tylko to robi.

Próbowałam sobie wyobrazić mamę Dickensa, ale przed oczami natychmiast stawała mi Dell - spała gdzieś w głębi mrocznego domu albo siedziała nieruchomo na krześle, z hełmem i kapturem na kolanach.

Gdzie była jego matka?

- Jest duchem?

Pokręcił głową.

- Już nie, właściwie nie... tylko śpi. Nie jest taka ładna jak twój tata. Nie ma takich ładnych włosów.

- Są sztuczne. Patrz...

Sięgając ponad oparciem fotela, chwyciłam czepek wraz z peruką i lekko uniosłam.

- Śmieszne - skostatował obojętnie. - Nabrałaś mnie, bo nie wiedziałem.

- Nie ma być śmieszne - odparłam, prostując perukę i wygładzając luźne kosmyki. - Zresztą to i tak był pomysł Klasycznej, nie mój. A teraz jest w norze i nie mogę jej stamtąd wydostać.

Dickens chwycił się za nos, machając drugą ręką.

- Jest zepsuty - powiedział zmienionym głosem. - Musiał zasnąć na wieki.

- On tylko tnie babeczki.

- Aha. Pewnie tak, pewnie tnie. Cokolwiek to znaczy...

Sięgnął do kieszeni i wyjął sześć kul. Podsunął mi je przed oczy na otwartej dłoni.

- Mogę tym nakarmić rekina - oznajmił. - Jeśli chcesz, możesz mi pomóc. Nie da się na to złapać rekina, ale możemy go zwabić.

Pozwolił mi wziąć jedną z kul do ręki: była złocista, zaokrąglona na czubku, dłuższa od moich palców. Pocierając spód łuski, przypomniałam sobie, jak Dell kazała chłopcom rozładować strzelby. Domyśliłam się, że dała kule Dickensowi... albo może je ukradł, kiedy nie patrzyła.

- Dobrze. Pomogę ci, ale potem ty będziesz musiał mi pomóc. Musisz uratować moją przyjaciółkę.

- No, nie wiem - zawahał się. - Prawdopodobnie nie będę umiał.

- To nie będzie trudne, obiecuję. Ma kłopoty. Będzie z nią źle, jeśli jej nie ocalisz.

- Może już jej się coś stało.

- Albo umiera. Chyba jest już dalej niż ocean.

- Aha - mruknął. - To dalej niż na Księżyc.

- A ty jesteś lepszy od patyka i grabi... Jesteś kapitanem.

- No, jestem. Mam własną łódź podwodną.

- Wiem.

- Nazywa się Lisa.

- Wiem. Pomożesz mi?

- Możemy nakarmić rekina? Chciałbym to zrobić.

Chciałabym też się z tobą pobawić.

- A potem uratujesz moją przyjaciółkę.

Dickens wzruszył ramionami.

- Jeśli mi pokażesz, co trzeba zrobić... - zastrzegł. -
Gdybym wszystkiego nie zrozumiał.

- Tak.

Strzelił kostkami palców, posłał wargę, przechylił głowę i westchnął.

- Zgoda - powiedział w końcu, podchodząc do mnie. -
Zgoda. - Wziął mnie za rękę.

Wyruszyliśmy przez drzwi frontowe i ganek, uciekając od zatrutego powietrza What Rocks. Przez podwórze. W wysokie trawy. Szeleszcząc łodygami. Wspinając się na tory. Wstępując w fale przyływu, schodząc pod wodę. Dickens nie mógł tego wiedzieć - ja byłam ośmiornicą, a on pływał jak delfin. Gdybym mu powiedziała, mógłby wpaść w panikę. A wtedy na pewno by utonął i Klasyczna nie zostałaby uratowana. Dlatego nie powiedziałam mu, że jesteśmy na dnie morza i że wysoko nad nami ludzie łowią ryby.

- Weź trzy - powiedział Dickens.

Trzy kule dźwięczały mi w dłoni.

Przykucnęliśmy na torach, po nawietrznej od Lisy i rozplaszczonych centówek.

- Ułóż je tu...

Ostrożnie kładł każdą z kul na szynie, w poprzek, zachowując między nimi odległość mniej więcej stopy. Potem patrzył, jak robię to samo na drugiej szynie.

- Co się stanie? - zapytałam.

Dickens nadał policzki, po czym wypuścił gwałtownie powietrze, jednocześnie klaszcząc w dłonie.

- Koniec świata - powiedział.

- Rekin-potwór zginie?

- Nie. Rekin nigdy nie ginie. Zajada kule jak cukierki.

Wyobraziłam sobie kule eksplodujące w paszczy rekina.

- Gdybyśmy mieli strzelbę, to moglibyśmy go zabić - powiedziałam.

- Nie ma mowy. Nie mogę używać broni. Nie mogę, bo bym dostał.

Dostał?

- Co to znaczy?

- To...

Dickens wymierzył sobie policzek, potem drugi, tak mocny, że omal nie stracił równowagi. Skóra mu się zaczerwieniła, widać było ślady palców. Skrzywił się, rozcierając podbródek.

- Dostałam mnóstwo razy - wyznałam mu. - Przynajmniej tysiąc.

- Ja też. Moja siostra mówi, że to poważna sprawa. Bije mnie tak tylko wtedy, kiedy zrobię coś złego... to znaczy często.

Dell biła Dickensa. Była oprawcą, jak moja matka.

Słyszałam, jak mówi do niego: - Ty nędzna kreaturo. Jaki z ciebie pożytek? No, powiedz. Nigdy cię nie lubiłam, nigdy, wiesz? A Dickens obejmował się

ramionami, skulony w kącie ich domu i odpowiadał przestraszonym głosem: - Przepraszam, przepraszam, nie...

Wziął mnie za rękę.

- Lepiej chodźmy. Rekin-potwór złapie nas tu i będzie po nas. Lepiej się schowajmy.

I znów wyruszyliśmy; Dickens prowadził, a ja się zastanawiałam, czy wieczorami masuje Dell nogi. Byłam w stanie myśleć jedynie o ugniataniu ciała... i o uniesionej ręce, gotowej wymierzyć cios za najłżejsze przewinienie.

- Paskuda!

Matka często tak mówiła, tak mnie nazywała; czasami żartem, ale zazwyczaj poważnie.

- Paskuda! Paskuda!

Za co? Za to, że masowałam ją za mocno? Masowałam za słabo? Masowałam za długo jedno miejsce?

Rozwalona na łóżku wysuwała tłuste nogi w moją stronę. Wiedziałam, kiedy zacznie kopać, bo zawsze przy tym parskaała ze złością. Bez trudu uchylałam się przed jej stopami. Byłam szybka. Jej nogi poruszały się w zwolnionym tempie. Ale z rękami było inaczej.

- Jesteś paskudą - zwróciłam się do Dickensa, który właśnie wrócił z toalety w sorgu. - Obsikałeś ryby i wodorosty.

- Nie - zaprotestował, kręcąc głową. - To ty jesteś paskudą.

Siedzieliśmy w środku Lisy.

A raczej Lisy II, bo tak Dickens mówił o naprawionym

wigwamie; załatał dziurawy dach, wyrzucił opony i rower. Razem płynęliśmy w dziewiczy rejs Lisy II, badając dno oceanu, z nadzieją na spotkanie z rekinem. Przed wieczorem poczuliśmy się zmęczeni wyprawą i wypłynęliśmy na powierzchnię.

- W co możemy się bawić?

- Niech pomyślę.

Późnopołudniowe słońce wpadało przez szczeliny w łodzi podwodnej, oświetlało rzadkie włosy na piersi Dickensa. Poklepał się po wątej klatce piersiowej, jego skóra, gładka i blada, wydawała się niemal przezroczysta.

- Chodźmy do autobusu - zaproponowałam. - To najlepsze miejsce do obserwowania robaczków świętojańskich. Odwiedzają mnie tam.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Możemy się pobawić.

- Nie mogę tam iść.

Dickens na chwilę umilkł, zapatrzony w swój pepek.

- Bierzesz autobus na przynętę dla rekina, wjeżdżasz na tory, autobus się przewraca i płonie... i potem masz kłopoty. Potem nie wolno ci już nigdy tam chodzić.

Posłał mi ponure spojrzenie. Ruszał palcami nóg w japonkach.

- I nie wolno mi już prowadzić. I kraść autobusów ani niczego innego. Od tego mam te wszystkie kłopoty... nawet jeśli to było milion lat temu. Mam szczęście, że nie wysłali mnie gdzieś na zawsze, wiesz? I że się nie spaliłem i nie umarłem. Szeryf Waller powiedział, że

trzeba mieć prawo jazdy, ale nawet wtedy nie wolno brać autobusu, gdyż to nie to samo co traktor taty. Nie można jechać autobusem po torach, bo się przewróci i spłonie, powinieneś o tym wiedzieć. Za takie coś wysyłają do więzienia, Dickens... Więc nie mogę tam z tobą pójść.

- Aha - bąknęłam skołowana.

Kapitanie, zachowujesz się głupio, pomyślałam. Jesteś szalony.

- Czasami człowiek za bardzo się tym przejmuje - wymamrotał. - Udawaj, że to się nigdy nie wydarzyło, dobrze?

- Dobrze - powiedziałam, choć nie byłam pewna, czy mówi do mnie, czy do siebie.

Wstał.

- Lepiej pójdę już do domu i coś zjem. Dziś już nie powinniśmy się więcej bawić.

Było mi wszystko jedno, znudziła mnie zabawa. Mój żołądek dopominał się o krakersy i chleb.

- Ale musisz uratować moją przyjaciółkę, obiecałeś, że to zrobisz.

- Nie wiem jak - odpowiedział zakłopotany. - Jak próbuję coś zrobić, to robię źle.

- Pokażę ci - uspokołam go. - Obiecałeś.

Tym razem to ja wzięłam Dickensa za rękę; nie zamierzałam go puścić, dopóki nie pochylił się nad norą i nie użyje swoich długich rąk do uratowania Klasycznej.

- Ale...

- Nie, musisz - przerwałam, szarpiąc go za ramię.

Szłam nasypem, wlokąc za sobą Dickensa. W głowie mi się kręciło, w brzuchu burczało, trochę z podniecenia, trochę z głodu. Minęliśmy łąkę Dell pełną łubinów i kamieni. Potem przeszliśmy przez ściernisko, chrzęszcząc słomianą szczecina, która w wieczornym świetle zrobiła się złota, by w końcu trafić na zacienioną ścieżkę pod koronami jadłoszynów. Japonki Dickensa klapały jednostajnie za moimi plecami.

Kiedy dotarliśmy do nory, puściłam go i wyjaśniłam, że Klasyczna spadła mi z palca.

- Jest całkiem niedaleko, ale nie mam takich długich rąk jak ty i nie mogę jej dosięgnąć. Ty możesz. Jest naprawdę niedaleko. Tylko się wydaje, że nora jest głęboka.

Dickens uklęknął i spojrzał w ziejący mrokiem otwór.

- Kim jest twoja przyjaciółka? - spytał.

- Główką. Główką Barbie.

- Gryzie?

- Nie. Ma takie usta... - Zacisnęłam wargi. - Nie ma zębów.

- Dobrze. - Pokiwał głową.

Powoli wsunął rękę do nory, aż po pachę. Wyciągnął obie części złamanej gałęzi, odrzucił, sięgnął ponownie. Znow wyjął rękę.

Garść ziemi i kamyków.

Jeszcze raz.

Krzywiąc się z wysiłku, obmacywał wewnątrz nory. Zaczęłam się denerwować.

- Nie mogę nic znaleźć - oznajmił.

Uklękłam obok niego i patrzyłam.

- Zaczekaj. Mam ją. To musi być ona. Musi...

Wyjął.

Na dłoni Dickensa leżał owalny kamień, większy od Klasycznej.

- Dziwna - powiedział. - Wcale nie jest główką, nie wygląda tak, jak mówiłaś.

Nagle poczułam się zmęczona. Wzięłam od niego kamień i upuściłam na ziemię.

- Nie. Nie, nie...

- Tylko to tam było - rzekł. - Nic więcej. Sama ziemia.

- Ona nie żyje - jęknęłam.

W oddali rozległ się gwizd pociągu. Dickens spojrział w kierunku torów.

- Aha, nadchodzi rekin-potwór.

Wypuścił głośno powietrze, naśladowując odgłos wybuchu.

Kręciło mi się w głowie, więc zamknęłam oczy. Ciało zaczęło mi ciążyć. Poleciałam głową w dół. Niewiele pamiętam z tego, co było potem... poza samym upadkiem. Wpadałam do nory i leciałam prosto w ciemność, znikając. Ziemia zamknęła się nade mną.

Rozdział 16

What Rocks zatonęło.

Obudziłam się na łóżku ojca, w odwróconej pozycji, z głową w nogach materaca, zdezorientowana, oszołomiona, z zaschniętym gardłem. Wszystko wokół mnie było zabarwione na niebiesko, rozmyte. Sufit. Lampka paląca się na środku nocnego stolika. Moja sukienka, nogi, tenisówki. Plecak i sterta brudnych ubrań, butelka po brzoskwiniowym sznapsie, wszystko to kłębiło się przy moich stopach. Niebieskie i niewyraźne.

Przyszło mi do głowy, że jestem na dnie morza.

Dotknęłam twarzy koniuszkami palców, szukając wilgoci. Otworzyłam usta, spodziewając się zachłyśnięcia wodą, ale tylko połknęłam powietrze. Dopiero wtedy sobie uświadomiłam, że mam na oczach pływackie okulary; zetlały gumowy pasek uwierał mnie w uszy.

- I wtedy lecisz - powiedział Dickens.

Odwróciłam głowę na bok i go zobaczyłam. Siedział na dywaniku, bawiąc się z Magicznymi Lokami, Modnymi Dżinsami, Krojem i Szykiem. Główki kołysały się na jego dłoni, latający dywan pływał tam i z powrotem nad jego kolanami. Był pod wodą, a oddychał bez wysiłku, jak złota rybka.

- Utonęliśmy - wychrypiałam.

Dickens popatrzył na mnie, jego ręka znieruchomiła w

powietrzu.

- Nie - rzekł spokojnie. - Dell powiedziała, żebyś spała, dopóki z nim nie skończy. Albo żebyś tu została i coś zjadła, jak się obudzisz. Masz szczęście, że ona jest silna i cię utrzymała... masz szczęście, że cię uratowała, bo ja też bym zemdlał.

Dell mnie uratowała.

- Wyssała mi krew?

- Ona tego nie robi. To złe.

- Aha.

Zaburzało mi w brzuchu.

- Jestem głodna.

- Tak powiedziała - mruknął, powracając do zabawy z główkami. - Już to mówiła.

Dłoń wylądowała; podniósł główki, każdą z osobna, i poukładał na dywaniku.

- Bezpieczna wyprawa do krateru. Wszyscy byli na bezpiecznej wycieczce na Księżycu.

Wstał i podszedł do nocnego stolika. Uniosłam się na łokciach i zsunęłam okulary na czoło, żeby widzieć, co Dickens robi.

- Chce mi się pić.

Zmrużyłam oczy; bez okularów trudno mi było patrzeć - pokój wydawał się nieznośnie jasny.

- Medaliony wołowe - mówił Dickens. - Pycha. Czasem też je dostaję... Kiedy jestem mądry i nie robię głupot.

- Dickens, głęboko spadłam?

- Tylko na ziemię. Bęc.

- Aha, więc nie wpadłam do nory.

- Nie, chyba nie. Chyba to bym pamiętał.

Podszedł do mnie z kartonowym talerzem i jednorazowym kubkiem.

- Później dostaniesz więcej - powiedział, wręczając mi kubek i stawiając talerz na materacu.

- Dziękuję. - Podniosłam kubek do ust. - Dziękuję...

Ciepły sok jabłkowy, spływający po języku, rozchodzący się słodyczą po gardle... Wypiłam wszystko dwoma łykami. I medaliony, cztery okrągłe kawałki wołowiny, twarde jak paznokcie u nóg. Szarpnęłam zębami suche mięso i zaczęłam żuć, mocno zaciskając szczęki.

- Nie jedz tak szybko, bo się udławisz. - Wydał z siebie chatkot, który miał udawać duszenie. - To się czasem zdarza i nie można wtedy oddychać.

Stał blisko i przyglądał się, jak jem, śledząc wzrokiem każdy kęs wędrujący z talerza do moich ust.

- Założę się, że dobre - powiedział. - Ładnie pachnie.

Poczęstowałabym go, ale jedzenia nie było dużo, a ja umierałam z głodu, mój żołądek przypominał balon, z którego uszło powietrze.

- To z krów - mówił Dickens. - Zabijają je i robią takie krążki, które można trzymać w kieszeni...

- Dickens!

Dell darła się z parteru.

- Dickens!

Jej głos przypominał baryton mojego ojca; zamarłam z

otwartymi ustami. Gapiłam się na Dickensa, który usłyszawszy wołanie, wpatrywał się w podłogę, jakby była ze szkła.

- Ona mnie potrzebuje.

Popatrzył na mnie z miną podobną do mojej.

- Chcę dostać z powrotem swoje okulary... zamieniałem się tylko na czas zabawy twoimi zabawkami. Ale już się nie bawię, więc się nie liczy.

- Wszystko mi jedno - burknęłam z pełnymi ustami.

Zdjęłam okulary i wyciągnęłam w jego stronę, zaczepte elastycznym paskiem na palcu.

- Zostań tu, dobrze? - poprosił, biorąc je ode mnie. - Ona mówi, że powinnaś tu zostać. Chyba jest zła.

Wzruszyłam ramionami.

- Dickens! Dickens!

- Aha.

Zerwał się i odszedł, klapiąc japonkami. Słuchałam, jak hałasuje, zbiegając ze schodów.

- Przepraszam - mamrotał. - Przepraszam...

Potem zapadła cisza, niczego więcej nie słyszałam.

Nagle What Rocks znalazło się na Księżycu, ukryte w kraterze, zagubione. Ciemność za oknem potęgowała to wrażenie. Skończyłam jeść i zastanawiałam się nad losem farmy-statku kosmicznego. Dell z Dickensem i moim ojcem byli w salonie, planowali, co zrobić, żebyśmy przetrwali. A ja miałam szczęście, że żyłam, że Dell mogła mi pomóc, i byłam wdzięczna za medaliony i sok jabłkowy.

Klasyczna natomiast...

- Biedna Klasyczna.

Może spadła tak daleko i tak szybko, że jej głowa zarzyła się jak meteor. Nadrabiając miną, opowiedziałam o jej smutnym losie pozostałym główkom. Tylko Krój i Szyk się zmartwiła, wylała galony łez, aż utworzyła się pod nią kałuża, która wsiąkła w dywanik i zmoczyła brzeg mojej sukienki.

- Po prostu zniknęła - powiedziałam do Kroju i Szyku - więc nie ma co płakać. Jestem pewna, że w ogóle nie czuła bólu.

Jednak moje zapewnienia nie pomagały; Krój i Szyk była niepocieszona. Przytuliłam ją do policzka, całą drżącą, podczas gdy Magiczne Loki i Modne Dżinsy triumfowały.

- Bo dostaniecie - ostrzegłam je. - Gdyby Klasyczna tu była, zniszczyłaby was obie.

Żałowałam, że Klasycznej nie było ze mną tamtego wieczoru, kiedy na palcach wyszłam z sypialni. Żałowałam, że nie zbiegła na parter, gdzie smród mojego ojca mieszał się z ostrą wonią środków do dezynfekcji. Może by zrozumiała to, co ujrzałam, zaglądając ukradkiem do salonu: wszystkie meble zostały zsunięte pod ściany, całą podłogę zakrywała pomarańczowa folia, na której leżał wyciągnięty na plecach mój ojciec, nagi, z czarnymi i czerwonymi plamami na całym ciele, na brzuchu, na piersiach, na udach. Na nogach i stopach miał pęcherze, a na wzdętym brzuchu pręgę tworzącą spiralny

wzór. Jego džinsy, buty, bokserki, skarpetki i koszula oraz okulary przeciwsłoneczne, peruka i czepek leżały na skórzanym fotelu. Kucyk miał rozpuszczony, grzywa włosów spływała na folię, jakby przed chwilą rozwiał ją wiatr. Nie było śladu po szmince i różu; policzki miał wytarte do czysta, zupełnie białe. Właściwie poza pęcherzami i plamami cały był blady i jakby zaszuszone. Pod brodą, w poprzek szyi biegło cięcie - świeża rana, cienka, różowa; kiedy spał, wyglądała jak rysunek - symbol uśmiechu. Rysy miał pogodne, oczy zamknięte.

Ale co się znajdowało w wiadrach?

Osiem wielkich kubłów rozstawionych wokół ciała. Ten najbliżej głowy pełny mętnej cieczy; zepsuta krew mojego ojca, gęsta jak melasa, niemal sięgała brzegu, trochę wylało się na folię.

Po co zwój drutu? Pineski? Szczotki? Piła i młotek? Nożyczki? Skalpel? Cążki? I mnóstwo waty? I komplet igieł? Zwój sznurka? Pudełko boraksu, papierowe ręczniki i puszki lizolu, i gumowe rękawice... a do tego z tuzin butelek i pojemników o dziwnych kształtach?

Czy o czymś zapomniałam?

- Niedobrze, dziecko, kto ci pozwolił tu zejść?

- Nie ja, Dell, ja nie...

Salon nie był salonem, stał się salą operacyjną. A Dell była chirurgiem. Dickens zaś pielęgniarką.

A mój ojciec...

- Doszło już do dużych zniszczeń. Ale uratuję, co się da. Nigdy nie będzie taki jak kiedyś, biedak.

Stałam przy piecu, ogłupiała, jak szmaciana lalka nieumiejąca mówić.

- Tak, Rose, peruka i puder tego nie zmieniają, dziecko. Jesteś jeszcze dzieckiem, tak, tak. Trudno ci zrozumieć to, co robię, oczywiście. Zostań i patrz, skoro musisz, ale bądź cicho. Tylko tyle mogę zrobić, rozumiesz? Widzowie i podglądacze mnie denerwują. To nie zabawa. Smutny człowiek, bardzo smutny.

Jej zajęcie wymagało gumowych rękawic i skalpela, natomiast kaptur i hełm były zbędne. Zebrała włosy w kok i włożyła wysokie wędkarskie kalosze, których górna część ginęła gdzieś pod podomką. Z jaką poufałością odnosiła się do mojego ojca - stojąc nad nim okrakiem, kiwała głową i mówiła:

- Spotkać się ponownie... w takich okolicznościach... jaka szkoda. Tym razem nie pozwolę ci odejść, nie pozwolę.

Znała go. Znała jego imię.

- Smutny Noah... znowu w moich ramionach. Ta mała Rose chyba jest twoja. Nie mówiłeś mi... - Zajmując się nim, cały czas do niego przemawiała. - Nigdy nie było innego, Noah. Nie, nie, żadnego innego, wiedziałeś o tym. Czekałam na ciebie przez te wszystkie lata, a teraz się nie ruszasz. Trzymam cię... już mnie nie opuścisz. Będę cię chronić, rozumiesz? I małą Rose też, bo teraz należy do rodziny. Nic jej nie będzie, kochanie. Zostanie tu z tobą, bo tu jest twoje miejsce. A ja jestem blisko. Tuż za torami. W tym stanie nigdzie nie pójdziesz, ma się rozumieć.

Nigdzie indziej, ani do ziemi. Obcy cię nie zabiorą. Zostaniesz nieruchomy na długo. Żadnego więcej uciekania. - Pocałowała go w usta. Pocałowała mojego ojca, mówiąc: - Tak bardzo cię kocham, mój miły... tak bardzo...

Z jaką pewnością siebie wykonywała nacięcie od środka jego brzucha aż do mostka. Jak wprawnie posługiwała się skalpelem, ostrym jak brzytwa, rozcinając obie jego dłonie i zewnętrzną stronę nadgarstków, a potem przekłuwając podeszwy stóp, przeciągając ostrzem wokół kostek.

- Zatrute jabłka - powiedziała, skończywszy cięcie. - Zatrute, zatrute jabłka.

To nie te jednak słowa powtarzał Dickens, wychodząc na zewnątrz z wiadrami pełnymi krwi mojego ojca.

- Jestem zmęczony, zmęczony, zmęczony...

Ja też musiałam być zmęczona. A może to nie senność, lecz szok owładnął mną tamtej długiej nocy, kazał pochylić głowę, opaść na podłogę i podciągnąć kolana pod brodę. Gdyby Klasyczna tam była, mogłaby mi powiedzieć, co się wydarzyło, kiedy leżałam nieprzytomna.

A może nie spałam i patrzyłam na to wszystko, na to, jak użyto narzędzi, jak skóra została ściągnięta, co zrobiono z jelitami. Jak usunięto tkankę chrzęstną z nosa, mózg wydrążono po nadłuczeniu czaszki młotkiem i zastąpiono odpowiednio uformowanym drutem. Gałki oczne wyłupiono z oczodołów. Usunięto ścięgna. Mięso

wycięto i wyrzucono do wiader. Wycięto też tłuszcz spod skóry. Kości posypano sproszkowanym boraksem. W miejsce mięśni włożono kawałki drutu zwinięte w wiązki. Napelniane wiadra szybko wynoszono na zewnątrz. Dickens na podwórzu, otoczony wiadrami, kopiący ziemię szpadlem, w promieniach słońca przedzierających się przez wysokie trawy.

Wyobraźnia czy pamięć?

- Zatrute jabłka.

Dell rzeźniczka, przetaczająca mojego ojca to w jedną, to w drugą stronę po folii, zszywająca jego pocięte ciało. Zapach werniksu, przypominający zapach lakieru do paznokci, tłumiący smród wydzielany przez ojca.

Czyżbym śniła? Czy to tajemniczy pociąg nadjeżdżał o świcie, wstrząsając mną we śnie?

- Wstawaj, Rose...

Dell trącała mnie gumiakiem.

- Wstań i popatrz na Noaha.

Wstań i popatrz na ojca. Ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, nogi wyprostowane, lśniący, pokryty werniksem, naprawiony i pozszywany... poza króliczą norą w miejscu, gdzie kiedyś miał pepek. Dziura była większa od mojej pięści, zapadnięta, wystawały z niej kawałki drutu.

- Lepiej się czuje? - spytałam.

- Oczywiście - zapewniła mnie Dell. - Oczywiście.

Wcale nie przypominał mojego ojca. Ostrzygła go, obcinając włosy tuż przy czaszce. Powieki miał zszyte; sznurkowy ścieg wyglądał jak przerośnięte rzęsy. Skóra

była miejscami wybrzuszona, zdeformowana. Mimo to nie wyglądał na nieszczęśliwego. Werniks nadał mu życie. Błyszcział.

- Podarujesz mu prezent?

Dell wskazała na dziurę w brzuchu.

- Coś, co jest ci drogie, Rose. Coś, co mógłby trzymać przy sercu.

- To znaczy co?

- Nie, nie, ty zdecyduj. Sama wybierz skarb do ukrycia.

Co mogłam mu dać?

- Zaczekaj, już wiem.

Dwie główki, zdrajczynie - Magiczne Loki i Modne Dżinsy; obie wrzeszczały i płakały, kiedy wkładałam je do dziury.

- Nie mnie! Nie mnie!

- Proszę, proszę, proszę...

- Żegnajcie. - Wpuściłam je do środka. - Bezpiecznej podróży.

Nie przestawały szlochać, nawet po tym, jak Dell zaszyła otwór i nałożyła ostateczną warstwę werniksu. Słyszałam je niczym echo z wnętrza mojego ojca.

- Pomóż nam! Pomóż nam!

- Tu nie ma światła i nie możemy oddychać!

I wtedy nastąpiło coś dziwnego, zaczęłam płakać. Łzy wzbierały pod powiekami, kapały spod rzęs, spływały po policzkach. Szloch dusił mnie w gardle.

- To przez te opary - powiedziała Dell.

Wyciągnęła rękę i położyła mi na ramieniu dłoń

obciągniętą rękawicą. Ale kiedy wykonałam ruch, żeby się do niej przytulić, odsunęła się, cofając rękę.

- Te opary są niezdrowe dla twoich płuc. Wyjdź na ganek i oddychaj głęboko. Powiedziałam, idź i oddychaj.

Wyszłam więc na zewnątrz, ocierając łzy, tłumiąc szloch, i oddychałam na ganku. Czuć tam było jedynie nieznacznym odór lizolu i werniksu, wydostający się przez otwarte drzwi i okna. Poza tym powietrze pachniało świeżością i chłodem, jak wiosenna woda. I słońce wreszcie kładło kres ciemności; czerwony świt rozpałał się nad łanem sorga, krwawiąc pod gwiaździstym niebem.

Na podwórku Dickens nabierał ziemię na szpadel, z wysiłkiem zasypując wykopany przez siebie dół. Wiadra wały się pośród chwastów, puste, przewracane do góry dnem. W nocy służył Dell za pomocnika, podając narzędzia, o które prosiła, odbierając te, których już użyła lub nie potrzebowała, i odkładając do jednego z czterech płóciennych worków leżących na ganku. Teraz był wyczerpany, robił przerwy w machaniu szpadlem, ciągle poprawiał okulary i ocierał brwi.

- Jak skończy, to będziemy się zbierać.

Dell przyniosła mi medaliony, trzy sztuki.

- Wrócę wieczorem - zapowiedziała. - Ale na razie skończyłam i jestem potwornie zmęczona.

Zaczęłam łapczywie jeść, podczas gdy ona ściągała rękawice; szarpałam mięso zębami i mlaskałam, kiedy wrzucała rękawice na wierzch do worka. Uniosła okulary i potarła grzbiet nosa. Udało mi się zobaczyć jej pirackie

oko; miało mlecznobiałą tęczówkę i źrenicę. Martwy podglądacz, tak mój ojciec nazywał oko pieczonego pstrąga. Dlatego nigdy nie jadłam jego pstrągów. Nienawidziłam tych oczu.

Dell opuściła okulary i spojrzała na mnie zdrowym okiem. Wskazała kciukiem na worki.

- Na razie tu zostaną. Proszę cię, żebyś nie grzebała w środku.

Pokiwałam głową, nie przerywając jedzenia.

- Wieczorem posprzątam twój dom. Nieporządnym dom oznacza nieporządną osobę. Tu jest twoje miejsce. Odpocznij. Zostaw Noaha w spokoju, musi wyschnąć, rozumiesz?

Wyobraziłam sobie, że ojciec zasycha jak kawałek wołowiny, skóra mu się ściąga i brązowieje.

- Jest Człowiekiem z Bagien - powiedziałam.

- Bzdura, głupie gadanie - warknęła Dell. W środku aż się gotowała ze złości, zgromiła mnie zdrowym okiem, zacisnęła usta - Rose, ten człowiek nie jest żadnym upiorem! Jak można mówić takie okropne rzeczy!

Odwróciła się, szeleszcząc podomką, i odeszła; zasłoniła twarz, chroniąc się przed atakiem pszczoł. Patrzyłam, jak ciężko stąpa w gumiakach po schodach ganku. I wtedy usłyszałam nad głową wiewiórkę hartującą po blaszanym okapie. Dell też ją usłyszała. Odwróciła się i patrząc przez palce, obserwowała dach. Na moment rozłożyła ręce i splunęła.

- Wstrętna! - rzuciła pod adresem wiewiórki.

Wiewiórka skrzeczała i biegała. Pognała przez okap, zapewne kierując się do swojej dziupli.

Dell powoli zbliżyła się do Dickensa, który skończył zasypywanie dołu i udeptywał ziemię japonkami. Staralam się nie myśleć o tym, co wypłynęło z wiader i zostało zakopane na podwórku. Chciałam jeść, nie myśląc o niczym.

Ale mój mózg nie przestawał pracować.

Myślałam o tym, że świat jest pełen dołów. Wszędzie doły pełne ludzi i rzeczy, Wiewiórek, głów lalek i ludzi z bagien. Rzeczy wpadają do dziur i czasami już nigdy się z nich nie wydostają, przez tysiące lat. Niektóre domy też są jak dziury, jak groby.

Wgryzałam się w mięso, myśląc o mumii, którą widziałam kiedyś w telewizji. To było w Egipcie. A mumia była królem. Kilku z ludzi, którzy ją odkryli, umarło w tajemniczych okolicznościach. Jeden udławił się własnymi wymiocinami, innego zmiażdżyła marmurowa płyta. Głos w telewizji mówił, że mumie mają dziwną moc.

Dell i Dickens odeszli w stronę krowiego traktu, znikając w wysokich trawach. A ja, przetykając mięso, zastanawiałam się, czy mój ojciec ma jakąś moc i czy wyschnięcie zajmie mu cały dzień.

Rozdział 17

Niczym schodzący na ziemię statek powietrzny, piknikowy koszyk z brzękiem sztucców wylądował obok pieca. Dell zdjęła pokrywkę i uniosła wyjęty ze środka talerz owinięty folią, jakby prezentowała ładunek rzadkich klejnotów.

- Dla małej Rose, dziecka drogiego Noaha... - powiedziała.

Królik duszony w piwie, wyjaśniła, z marchewką, cebulą i ziemniakami. Termos soku jabłkowego. I ciasto na deser, jeden kawałek.

- Specjalny poczęstunek.

Wróciła po zmroku, bez kaptura i bez Dickensa, w niezwykłym u niej dobrym nastroju. Przyniosła koszyk i kołdrę.

- Mamy przed sobą dużo pracy - oznajmiła - więc jedz. Napchaj się.

To był domowy piknik, a ja byłam gościem honorowym; piłam prosto z termosu i przegryzałam królika ciastem, patrząc, jak Dell zawija mojego ojca w folię, robi z niego coś w rodzaju mumii. Następnie owinęła go kołdrą tak, że wystawała tylko głowa, i poupiowała odstające brzegi agrafkami.

- Wygląda jak naleśnik - zauważyłam.

- Bzdura. Nie mów z pełnymi ustami, bo się udławisz.

Kiedy skończyłam jeść, poprzesuwałyśmy meble w salonie i pozbierałyśmy ubrania ojca, układając je schludnie na skórzanym fotelu. Dell spytała o mapę zwisającą krzywo ze ściany.

- To Jutlandia - wyjaśniłam - ...albo Dania. Nie jestem pewna.

- Dlaczego tu wisi?

Wzruszyłam ramionami.

- Mieliśmy być w Jutlandii zamiast w Teksasie. To jego ulubione miejsce, chciał tam zamieszkać. Ale chyba się zgubiliśmy albo coś. Tak mi się zdaje.

- Rose, nie rozumiem, o czym ty mówisz.

Zerwała mapę ze ściany i mrużąc zdrowe oko, uważnie oglądała Danię.

- Co za dziwna tajemnica - odezwała się w końcu, spoglądając na ojca, zwracając się do niego. - Znałam cię tak dobrze, a nigdy mi nie powiedziałeś. To nie w porządku.

Marszcząc czoło, złożyła mapę w kostkę i wygładziła na brzegach. Dania zniknęła w kieszeni jej podomki. Poklepała się po kieszeni, patrząc przy tym na mnie.

- Dostyc tych bzdur - powiedziała. - Trzeba uporządkować twój dom. Za dużo tu brudu. Musimy sprzątać, sprzątać, sprzątać.

No i sprzątałyśmy.

W jednym z płóciennych worków na ganku znajdowała się miotelka z piór do odkurzania, bezwoskowy spray czyszczący, plastikowe worki na śmieci i gąbka. Babka

miała w kuchni miotłę i szufelkę do śmieci. Moim zadaniem było zamiatanie podłogi. Dell odkurzała. Zaczęłyśmy od salonu na parterze i posuwałyśmy się w górę, zmiatając i odkurzając, zbierając brudy, wznosząc po drodze kłęby szarego pyłu. Dell gwizdała swoją śliczną melodię, machając do rytmu miotełką po parapetach, po stole w jadalni, po dębowym kredensie. Słuchałam jej piosenki i nuciłam pod nosem, zbierając zdechłe chrabąszcze i kłęby kurzu, zmiatając okruchy krakersów i ciała martwych mrówek. Po chwili powietrze zrobiło się tak gęste, że zaczęło mnie kręcić w nosie i obie z Dell kichałyśmy raz po raz.

- Pleśń dostaje się do głowy i człowiek choruje.

Byłyśmy w kuchni. Dell wrzuciła resztki chleba do worka na śmieci.

- Krakersy są stęchłe, nie nadają się do spożycia, prawdopodobnie naruszone przez myszy.

Do worka.

- Nie zabraknie ci jedzenia - uspokoiła mnie. - Dickens przyniesie ci kolację.

Potem umyłyśmy blaty i zlew. Dell wytarła masło orzechowe ze słoika, wylała wodę z galonowych butli.

- Zepsuta woda jest trująca.

- To co będę pila?

Ustawiła butle na podłodze.

- Napełnię je w domu i każę Dickensowi, żeby ci je jutro przyniósł. Zaopiekujemy się tobą, Rose, rozumiesz? Noah należy teraz do nas wszystkich. Jest nasz i twój.

Zwróciłaś mi go. Rozumiesz, prawda? Jesteś teraz częścią rodziny i tu jest twoje miejsce. Nie wpuścimy żadnych obcych. Gdyby przyszli, zabraliby nam twojego ojca. To bardzo proste - obcy zawsze się wtrącają, a wtrącanie się oznacza kłopoty. Ale ja się wszystkim zajmę, dziecko. Zatrzymam postęp śmierci i nie dopuszczę tu obcych. To moje powołanie. Jak mam ci to wyjaśnić, żebyś wszystko zrozumiała? Jeśli chodzi o rzeczy, które są dla nas skarbem, dziecko, nic nie musi umrzeć ani iść do ziemi. Kiedy coś kochasz, wszystko może pozostać prawie takie samo, wiesz? Nie muszę być sama, ty też nie. Rozumiesz, o co mi chodzi? To właśnie robię, nie dopuszczam obcych i śmierci, żeby nic się nie zmieniało, ani mama, ani drogi Noah, ani ten dom, ani mój dom, ani nawet ty i ja, i Dickens. Rozwiązuję problemy, powstrzymując śmierć, odganiając ją niczym muchę. To właśnie robi opiekunka ucichłych dusz. Wyrażam się jasno?

- Chyba tak - odpowiedziałam. - Nie chcesz, żeby był w Danii.

- Bzdura. Nie wiem, o czym mówisz. Co Dania ma tu do rzeczy? Nie bądź niemądra, niemądre dziecko. Nie słuchałaś ani słowa z tego, co mówiłam. Następnym razem słuchaj uważnie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc tylko stałam, ściskając kij od szczotki, i patrzyłam na czarne szkiełko w okularach Dell.

- Nie gap się - skarciła mnie. - Czas ucieka. Mamy mnóstwo do zrobienia, zawsze jest mnóstwo do zrobienia.

Na piętrze - zmiatanie i odkurzanie, mycie toalety i wanny, zdejmowanie pajęczyn z sufitu. W sypialni ojca składanie jego brudnych ubrań i upychanie ich w plecaku, wyrzucenie do śmieci butelki po brzoskwiniowym sznapsie i plastikowej torby.

- Co się dzieje? - spytała Krój i Szyk, kiedy podniosłam ją z dywanika i umieściłam na nocnym stoliku.

- Sprzątamy, sprzątamy, sprzątamy - poinformowałam ją.

W mojej sypialni, nucąc piosenkę Dell - zbieranie z materaca rąk, nóg i torsów lalek i włożenie ich do walizeczki.

I satynowej koszuli nocnej mojej matki...

- Wielki Boże, dziecko, a to co?

Dell uniosła koszulę, trzymając za rękawy.

- Moja piżama - odpowiedziałam.

- Nie, nie, jest na ciebie za wielka. Tak mi się zdaje. Chyba będziesz musiała poczekać, aż staniesz się kobietą... i to dużą.

Uśmiechając się, jakby znalazła coś cennego, Dell zabrała koszulę na dół, gdzie znalazłam ją później w piknikowym koszyku, zapakowaną obok termosu, sztucców, zgniecionej folii i tłustych talerzy.

- Ciężko pracujące osoby zasługują na prezenty - oświadczyła Dell.

Dlatego zabrała koszulę, ja dostałam jeszcze jeden kawałek ciasta, a o świcie, kiedy praca była skończona, kiedy wszystkie śmieci i środki czyszczące zostały

upchnięte w płóciennych workach, przeniosłyśmy ojca na górę. A raczej Dell to zrobiła. Wlokła go po podłodze, wciągnęła po schodach i zaniósła do mojej sypialni, nie jego, i ułożyła na moim materacu.

- Sen sprawiedliwego - powiedziała. I pocałowała go w zawerniksowane czoło. Ja zrobiłam to samo.

Przysiadłyśmy na skraju łóżka, Dell przy głowie ojca, ja przy jego owiniętych nogach; jakiś czas milczałyśmy. Dell westchnęła głęboko, potem przez chwilę gwizdała, a na koniec spytała, czy znałam swoją babkę.

- Nie. Umarła, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie.

- Rozumiem. Cóż, nie dane ci było poznać świętej. Leczyła moje biedne ciało po tym, jak pszczoła omal mnie nie zabiła. Zawdzięczam jej życie.

- Aha.

To dlatego boisz się pszczoł, pomyślałam. Dlatego nosisz kaptur.

- Dlaczego nie masz już na sobie kaptura?

Wyjaśniła mi, że pszczoły latają w dzień, a w nocy śpią.

- Pracowite istoty - dodała, naśladując bzyczenie owada.

Zdjęła okulary i pokazała mi swoje oko pirata. Nachyliłam się, oglądając swoje odbicie w mleczej źrenicy.

- Uządziła mnie w moim własnym ogrodzie - powiedziała. - Zostałam oślepią przez wstrętą pszczołę. To była zemsta za zniszczenie uli ojca. Polałam je wszystkie benzyną i podpaliłam o północy.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Cóż, ojciec kochał swoje pszczoły. I jestem pewna, że one też go kochały. Zazdrosne istoty. Nienawidziły matki. Zaatakowały ją w kuchni. Wleciały przez okno. Zrobiły z niej poduszkę do igieł. Biedaczka. Obsiadły jej głowę. Wiesz, że jedna próbowała jej wpełznąć do nosa? Zło w czystej postaci. Serce matki przestało bić, nie dokończyła zmywania naczyń. Znalazłam ją tam w kuchni. Zająłm się nią, przywróciłam do życia. Ale już nie była taka jak dawniej, nie, nie. Nie mogła wstać z łóżka. A ojciec odszedł, sądzę, że z powodu poczucia winy i żalu, porzucił na zawsze mnie, Dickensa, matkę... i swoje pszczoły. Więc je podpaliłam, Rose, w środku nocy. A teraz nie ma na świecie pszczoły, która nie chciałaby mnie zabić. A to... - zamknęła zdrowe oko, zostawiając otwarte to ślepe - ...to jest zemsta.

- Martwy podglądacz - powiedziałam.

Pokiwała głową.

- Straszne, prawda? Ale widzę więcej niż większość ludzi, nawet z zamkniętymi oczami. Wiesz? Ptaki i króliki są w moich snach, dzieci kryjące się za krzakami, wszystko, co tylko możesz sobie wyobrazić. Oczywiście, dzieci za krzakami czasami widzą więcej, niż powinny. Najlepiej pilnować własnego nosa, nie uważasz? Inaczej, Rose, mogą się człowiekowi przytrafić bardzo, bardzo złe rzeczy.

Widziała mnie i Klasyczną. Wiedziała, że byłyśmy świadkami, jak wysysała Patrickowi krew. Oblałam się

rumieńcem. Spuściłam głowę. Przez moment zastanawiałam się, czy nie uciekać, ale nie miałam dokąd.

- Straszne - mówiła Dell, pociągając nosem. - Okropne. Śmierdzisz diabłem, Rose. Chodź ze mną.

Wyszłam za nią na ganek, gdzie wyjęła z torby pojemnik z lizolem i kazała mi stanąć na schodach.

- Zamknij usta i oczy - nakazała. - Rozłóż ręce i wstrzymaj oddech.

Opryskała mi sukienkę i nogi, ramiona i włosy, tenisówki i plecy. Skóra zrobiła mi się lepka od lizolu. Kiedy otworzyłam usta i wciągnęłam powietrze, poczułam dławienie w gardle i zaczęłam kaszleć.

- Popryskaj sobie bieliznę - poleciła, wręczając mi pojemnik.

Uniosłam sukienkę jedną ręką, drugą rozpyliłam lizol na majtki. Dell podeszła do worków i owinęła sobie sznurki wokół palców, biorąc dwa worki do prawej ręki i dwa do lewej. Potem przykucnęła, szykując się do podniesienia ciężaru... lecz jej uwagę przyciągnęła wiewiórka. Hałasowała, biegając po dachu.

- Potwór! - krzyknęła Dell. - Paskudztwo!

Podniosła się, unosząc worki. Zbliżyła się do mnie; żyły na szyi nabrzmiały jej z wysiłku.

- Idę do domu - powiedziała - póki pszczoły jeszcze śpią. Dickens wieczorem zabierze koszyk. Przyniesie ci wodę i jedzenie. Jutro przyjdę po to paskudne zwierzę, tę roznoszącą choroby zakałą.

Minęła mnie i posapując, ruszyła przez podwórko.

- Do widzenia - powiedziałam, machając pojemnikiem z lizolem. - Będę pilnować twojego sprayu. I naprawdę smakowało mi ciasto.

Następnego dnia przyglądałam się z okna na górze, jak Dell zakłada potrzask. To było jak scena z jakiejś kreskówki - sznurek przywiązany do palika na podwórku, palik ustawiony pionowo, wetknięty między ziemię a odwróconą skrzynkę, sznurek rozciągnięty aż do zarośli, gdzie Dell czekała, żeby zatrzasać pułapkę. A w środku pułapki, pod na wpół opuszczoną skrzynką, talerz z marchewką lub cebulą, lub kawałkiem drewna. Nie byłam w stanie rozpoznać. Potem tupot na dachu, wzdłuż okapu, w dół na podwórko... Ile to trwało? Dłużej niż w kreskówce, krócej niż w zwykłym programie dla dzieci. Wiewiórka była ostrożna, nie śpieszyła się, zbliżała się do skrzynki w podskokach, co chwilę raptownie przystając, wreszcie, węsząc, podeszła do talerza.

- Uważaj - powiedziałam.

Sznurek się napreżył. Palik się przewrócił. Niczym rekin połykający małą rybkę, skrzynka połknęła wiewiórkę jednym kłapnięciem. Ale wiewiórka walczyła, miotała się, omal nie przewracając skrzynki, stawiając opór tak gwałtowny, że Dell musiała przybiec i usiąść na pułapce. Trzymała w ręku płócienny worek, który w końcu udało jej się wepchnąć pod skrzynkę i do którego zagarnęła pułapkę, wiewiórkę i talerz. Zaciągnęła sznurki, podniosła worek - z wiewiórką szalejącą w środku - i oddaliła się ścieżką, pogwizdując.

Wiewiórka duszona w piwie, pomyślałam, oto co mi ugotuje. Oto co dostanę.

- Biedna wiewiórka - powiedziałam do ojca. - Już po niej. Nie miała żadnych szans.

Rozdział 18

Szpital znajdował się w brzuchu mojego ojca, ciemne, ponure miejsce, przesycone zapachem werniksu.

- Można się spodziewać pełnego wyzdrowienia - powiedział ktoś.

Moja matka i Klasyczna, obie ubrane w zielone szpitalne wdzianka, leżały obok siebie na noszach. Trzy Barbie-chirurdzy, oddychając ciężko przez białe maski, pochylały się nad nimi ze skalpelami.

- Fantastycznie - powiedziała Klasyczna... Tyle że właściwie wcale nie była Klasyczną. Miała ludzkie ciało, długie nogi i natapirowany blond kok. - Fantastycznie, kochanie, cudownie!

- Owszem, skarbie - podchwyciła matka - cudownie!

Matka wyglądała jak Dell. Miała na głowie kowbojski kapelusz i paliła cygaro.

Ja też tam byłam, gdzieś z boku.

Pojawiła się Barbie-pielegniarka. Magiczne Loki? Czy Modne Dzinsy? Nie potrafię powiedzieć na pewno. Niosła przerośnięty mózg, wielkości indyka, na srebrnym półmisku.

- Podano obiad - obwieściła. - Nakryjcie stół.

Zrozumiałam, że tak naprawdę miała na myśli: „Mózg jest gotowy. Sprowadźcie pacjenta”.

Klasyczna nagle została zabrana; odeszła, rozsyłając

całusy i zwracając się do mnie albo do mojej matki:

- A nie mówiłam? Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa! Żyję!

- Tak - odpowiedziała matka, podnosząc się do pozycji siedzącej i wypuszczając dym - tak, tak! - Jej szpitalne wdzianko stanęło w płomieniach.

Obudziłam się złana potem. Było popołudnie, słońce wślizgiwało się przez okno sypialni i rozlewało blaskiem na materacu, ogrzewając mnie i ojca. Werniks lśnił mu na czole niczym kropelki potu. Leżałam obok przytulona do kołdry i ziewałam.

- Pobudka - odezwała się Krój i Szyk.

Zasnąłam, trzymając ją na palcu. Teraz kiwała mi się przed nosem.

- Klasyczna żyje - powiedziałam jej. - Ma się dobrze i jest szczęśliwa.

- To tylko sen - odparła. - Zaufaj mi, ja to wiem. Byłam tam, moja droga.

Krój i Szyk miała inny niż zwykle głos, bardziej podobny do głosu Klasycznej.

- Wiem wszystko - rzekła.

- Przestań - skarciłam ją. - Nie udawaj, że tam byłaś.

- To głupie. Nie mam pojęcia, o czym mówisz...

Zrzuciłam ją z palca z rozmachem. Poleciała na podłogę, odbiła się i potoczyła, w końcu wylądowała na skraju schodów. Straciła przytomność, zanim zdążyła się rozplakać.

- To nie sen - powiedziałam. - Jesteś głupia, skoro tego

nie rozumiesz... nawet jeśli jesteś ślepa!

Przyłożyłam ucho do kołdry, nasłuchując przy klatce piersiowej ojca, w nadziei, że operacja trwa i zdołam uchwycić głosy chirurgów. Ale nic nie usłyszałam.

- Magiczne Loki - szepnęłam cicho - Modne Dżinsy... to ja, Jeliza-Rose. Co tam się dzieje? Powieście mi, prawda?

Nasłuchiwałam jeszcze przez chwilę, ale słyszałam jedynie ciszę.

Pomyślałam, że wszyscy śpią. Nadal są we śnie.

Sama też próbowałam ponownie zasnąć. Oparłam głowę na kołdrze, zamknęłam oczy i zaczęłam chrapać. Nie pomagało. Byłam całkiem rozbudzona.

- To nie w porządku!

Rozczarowana, zsunęłam się z materaca i poszłam za Krojem i Szykiem. Była nieprzytomna, prawdopodobnie przebywała w szpitalu z Klasyczną i moją matką. Kopnięciem zrzuciłam ją ze schodów, mówiąc:

- Masz, co ci się należy, ty paskudo!

Później, kiedy Dickens przyniósł jedzenie, powiedziałam mu:

- Krój i Szyk zniszczyła mój wspaniały sen. Obudziła mnie i teraz już nic nie wiem.

Siedziałam przy stole w jadalni, a Dickens wyciągał posiłek z papierowej torby, starannie układając przede mną każdą rzecz po kolei: termos, owinięty folią talerz, kawałek ciasta w śniadaniowej torebce, nóż i widelec.

- Jest twoją przyjaciółką? - spytał. - Wpadła do nory i

przepadła na zawsze, a ja nie mogłem jej znaleźć.

- To Klasyczna - sprostowałam - nie Krój i Szyk. Krój i Szyk leży tam na podłodze, a Klasyczna jest w szpitalu, śniła mi się. Widziałam ją i mamę, mama się paliła.

Dickens zmarszczył czoło i wzruszył ramionami. Nie rozumiał, wyjaśniłam mu zatem, że Klasyczna nie jest już główką. Ma ciało kobiety, i dostaje prawdziwy mózg.

- Założę się, że kosztuje z milion dolarów - westchnął. - Czasami chciałbym mieć nowy mózg... myślę, że taki nowy jest błyszczący.

- No i duży. Bardzo się cieszyła i chyba nie była już lalką.

Dickens ściągnął folię z talerza.

- Musi być ładna. - Zdjął nakrętkę z termosu.

- Mhm. Jest piękna.

Przesunął talerz w moją stronę - tłuste mięso, dwie nóżki, udko albo pierś.

- Dell mówi, żebyś zjadła, ile możesz, a resztki schowała do tego.

Podał mi folię, którą wygładziłam na kolanach, jakby to była serwetka. Powąchałam mięso.

- To wiewiórka?

- Nie. - Pokręcił przecząco głową. - Nie wiewiórka. Dell ich nienawidzi. Nie ugotowałyby wiewiórki, po prostu nie i już.

- Aha. - Sięgnęłam po widelec. - To dobrze. Ja chyba też nie lubię wiewiórek.

Jedząc, myślałam o operacji Klasycznej. W jaki sposób

wsadzono mózg do głowy? Czy ją bolało? Czy krwawiła?
Czy teraz jest inna?

I właściwie po co jej mózg?

Ponieważ to wspaniałe, moja droga. To fantastyczne,
kochanie.

- Fantastyczne - powiedziałam, skubiąc mięso. -
Cudowne.

Dickens spojrział na mnie. Był w salonie, trzymał w
rękach perukę ojca i palcami przeczesywał włosy.
Patrzyłam, jak wkłada perukę na swoją łysą głowę;
kosmyki opadały mu za uszami i na czoło, sięgały aż do
ramion. W pływackich okularach, kąpielówkach,
japonkach i przekrzywionej peruce wyglądał jak szalona
kobieta, na wpół goła i odrażająca.

- Jestem całkiem ładny - powiedział.

- Jesteś śmieszny. Dziwny.

- Nie, nie - jęknął - ja nie chcę być dziwny. Chciałbym
mieć czerwone usta, wtedy byłbym piękny.

Potrzebował czegoś więcej niż czerwonych ust.
Potrzebował rózu i może tuszu do rzęs.

- No dobrze - powiedziałam. - Zrobię ci twarz.

Klasnął w dłonie.

- Tak, będę szczęśliwy, jak zrobisz mi twarz.

- Zrobię - obiecałam. - Tylko najpierw zjem ciasto Dell
i wypiję cały sok jabłkowy.

- I schowaj resztki.

- Już to wiem.

Ale nie zostały żadne resztki. Zjadłam wszystkie

kawałki mięsa, wypiałam sok, pochłonełam ciasto trzema kęsami. Potem przyniosłam kosmetyczkę babki; czułam, że mój brzuch jest wypełniony i wzdęty, a posiłek układa się w żołądku. Pędem wbiegłam na schody i z powrotem.

- Siedź spokojnie, bo nie wyjdzie tak, jak trzeba - pouczyłam Dickensa, który wiercił się z podniecenia, kiedy otwierałam kosmetyczkę. Siedział po turecku na podłodze salonu, z wyprostowanymi plecami, rękami zaciśniętymi na kolanach.

- Nawet nie ruszę muskułem - zapewnił. - Zresztą nie mam mięśni, więc nimi nie ruszę.

Uciszyłam go i wysypałam zawartość kosmetyczki pomiędzy nas, wytrząsając ze środka szminki, tusz do rzęs, puderniczkę, pincetę i waciki. Ułożyłam sześć szminek w rzędzie.

- Którą wybierasz?

Szkarłatna Uległość, Różowe Tango, Hiacynt, Słodki Cynober, Chińska Czerwień, Różany Pąs.

- Tę. - Wskazał na Różowe Tango.

- Ta jest najlepsza - zdecydowałam, sięgając po Szkarłatną Uległość. - Nadmij wargi.

Zrobił, co mu kazałam.

- Przygotuj się...

Trudno było równomiernie nanieść kolor. Trzymaj się konturów, mówiłam sobie, lecz przy malowaniu dolnej wargi zbyt szybko poruszałam ręką i wysmarowałam Dickensowi szminką podbródek. Górna warga poszła lepiej; miałam tylko jedno potknięcie - ubrudziłam mu

koniec nosa. Ale to była jego wina. Pociągnął nosem i ręka mi zadrżała.

- Jesteś Rudolfem - powiedziałam.

- To ty jesteś Rudolfem - odparł.

Potem użyłam różu, ożywiłam mu policzki, robiąc na nich różowe kółka.

- Prawie skończone - oznajmiłam, zatrzasnąjąc puderniczkę.

Patrzył na mnie oczyma powiększonymi przez szkła okularów.

Przyszło mi do głowy, że ma oczy jak owad. Niesamowity owad.

- Uważam, że jesteś miła - oświadczył.

Kiedy się pochyliłam, żeby poprawić mu na głowie perukę, pocałował mnie w usta. To było jak nerwowe dziobnięcie, załaskotało i przyprawiło mnie o chichot.

- To głupie - powiedziałam, ocierając usta. - Wysmarowałeś mnie na czerwono, głupi całowniku.

Spojrzał na swoje kąpielówki i zakłopotany zakrył dłońmi krocze.

- Starsza pani też była głupią całowniczką - powiedział.

- Całowała mnie, ale byłem wtedy mały, a ona stara. Czasami robiła tak w moich ustach... - Wystawił język i nim zatrzepotał. - ...I to było zabawne. Jak wąż albo tańcząca rybka. Była bardzo miła. Czasami spędzałem tu całe dni, całując się z nią. Miła kobieta, tylko że nie żyje.

Byłam zachwycona i jednocześnie zaciekawiona, kiedy mówił o babce.

- Jest mamą mojego taty - wyjaśniłam. - Mnie nigdy nie całowała, bo jeszcze się nie urodziłam.

- Chyba o tym wiedziałem. Chyba ktoś mi o tym powiedział.

- Dickens, ona była twoją dziewczyną... a ty byłeś jej chłopakiem.

Zdjął rękę z krocza, jego twarz wyrażała żal.

- Nie, byłem jej słodyczą. Jej małą słodyczą. Nigdy nie byłem jej chłopakiem. Nie wiem, na czym to polega, ale gdybym był starszy, pewnie bym został jej chłopakiem. To znaczy, gdyby nie umarła. Gdyby nie spadła ze schodów. Chyba szła, żeby mnie pocałować, kiedy spadła, bo byłem wtedy na podwórku, wrywałem chwasty. Uciekłem, kiedy to się stało. Nie wiedziałem, co robić. Wiesz, byłem jeszcze mały. Pewnie się przestraszyłem. Ona była miła.

- Była stara - orzekłam, myśląc o skrzyni na strychu, o bezużytecznych śmieciach zgromadzonych w środku. - Ile masz lat?

Dickens się zmartwił, wyraz jego twarzy zdradzał zakłopotanie.

- Nie wiem. Nie jestem staruszką. Dell mówi, że jestem chłopcem. Mówi, że jestem jeszcze dzieckiem. Mówi, że zawsze będę dzieckiem, bo mój mózg źle się zwinął.

Kupisz sobie nowy mózg, pomyślałam. Kiedy będziesz już miał największą centówkę na świecie, poddasz się operacji.

- Jesteś małą słodyczą - powiedziałam.

Uśmiechnął się.

- Ty też jesteś małą słodyczą.

Pocałowałam go.

On też mnie pocałował.

Śmialiśmy się; oboje mieliśmy usta i zęby czerwone od szminki.

- Głupi całownicy.

Już miałam go znowu pocałować, kiedy wybuch z kamieniołomu zatrzęsł szybami w oknach.

- Oho.

Dickens ściągnął brwi. Przez chwilę wpatrywał się w sufit; blond kosmyki zsuwały mu się z ramion.

- Wysadzają ziemię - powiedział. - Wszędzie dają dynamit, żeby nic nie zostało. Widziałem, jak to robią. Chodzę tam i patrzę. Jest mocniejszy niż fajerwerki i kule.

- Lubię fajerwerki.

- Ja też. Bardzo lubię. Jeśli chcesz zobaczyć dziurę po wybuchu, możesz też zobaczyć ocean, jeśli chcesz.

Pokiwałam głową.

- Pokażę ci.

Wziął mnie za rękę.

- Dobrze - powiedziałam.

Potem się pocałowaliśmy.

Rozdział 19

Kapitan był moim chłopakiem, moją słodyczą. A ja byłam jego panią Kapitanową, jego wybranką. Kiedy mnie całował, coś mnie ścisnęło w żołądku. A kiedy ja go całowałam, miałam ochotę stanąć na głowie i śpiewać. Miałam ochotę kręcić piruety. Nawet kiedy zbieraliśmy załogę na naszą wyprawę - rękę Barbie jako pierwszego oficera, Krój i Szyk jako drugą panią Kapitanową - nie mogłam przestać myśleć o tych szkarłatnych ustach, dziwnych i podniecających, powodujących mrowienie w moim brzuchu. Czy on czuł to samo? Czy moje usta też wzbudzały w nim mrowienie?

- Naprzód - rzucił, przybierając ton dzielnego kapitana.
- Oceaniczna dziura po wybuchu jest co najmniej czterysta mil stąd.

Czterysta mil w mniej niż godzinę. Raczej dwie mile, jeśli już. Jakże odległe wydawało się to miejsce, jak nieprzyjazne. Pustynia ze śladami buldożerów i kredowym osadem. Żadnych zarośli. Żadnej trawy ani łubinów. Tylko kurz i piasek.

Wkrótce moja sukienka pokryła się kurzem. Czułam piasek w ustach. Peruka Dickensa zrobiła się biała. Kamienny pył zasypał czerwien na jego ustach i róż na policzkach. Musiał ciągle przecierać okulary.

- Jeśli wiatr będzie wiał z niewłaściwego kierunku i nie

będziemy się trzymać za ręce - powiedział - zgubimy się i oślepiemy, a w końcu wpadniemy do dziury albo jeszcze gorzej. Więc uważaj na wiatr, dobrze? Czasami to prawdziwe tornado albo piaskowy diabeł. Lepiej miejmy się na baczności. Człowiek wpadnie do takiej dziury i już po nim. Nie sądzę, żebyś umiała latać. Ja nie umiem. Próbowałem, ale nie umiem. I pływać też nie umiem.

Podróżowaliśmy na koniec świata - przez łąn sorga, wysokie chwasty, gruntowe drogi, pod drutem kolczastym, ignorując znaki NIEBEZPIECZEŃSTWO i PRZEJŚCIA NIE MA - zmierzając tam, gdzie kremowa ziemia opadała nierównymi uskokami; skalne półki były tak wielkie, że mógłby się po nich wspinać jakiś olbrzym.

Leżeliśmy na brzegu wysokiego urwiska, spoglądając ponad krawędzią w głąb kamieniołomu - czyli do dziury po wybuchu, jak nazywał ją Dickens - przyglądając się mrocznej wodzie w dole pod nami.

- Człowiek by leciał przez sto lat, zanimby wpadł do oceanu.

- Jak to daleko?

- Chyba z tysiąc mil.

Stuletni Ocean znajdował się na samym dnie wciętego w klif wąwozu, niezmacony i mroczny pod powierzchnią.

- Ale to jest jezioro - powiedziałam. - Ocean ciągnie się bez końca.

- Nie - zaprotestował Dickens - nie, nie. Jest głębsze niż wszystkie inne jeziora, więc nie udawaj, że wiesz, dobrze?

Potem dodał, że pod wodą czają się stare auta, stare

ciężarówki i wszelkiego rodzaju złom. I słodkowodne meduzy, przezroczyste, wielkości mniej więcej jednocentówki. Powiedział też, że przed laty trzej nurkowie utonęli, gdyż nie zdołali odnaleźć drogi na powierzchnię.

- Bo ono nie ma dna - poinformował. - Nigdy nie miało. Ludzie czasami wchodzą i nie mogą wyjść. Dlatego sprawiłem sobie łódź podwodną. Dzięki niej nie utonę.

Jak często przemierzał bezdenny ocean w Lisie? Może z milion razy. Co znalazł? Zdezelowany rower, kilka opon, puszki po piwie.. Centówki? Ukryty skarb?

- Po prostu przestrzeń kosmiczną, a także niebieskie i czerwone gwiazdy. Ale w przestrzeni nie można oddychać, a Lisa jest tylko łodzią podwodną. Nie może być jednocześnie rakieta i łodzią podwodną. Jeśli zanurzysz się głęboko, głęboko, głęboko, dotrzesz do Księżyca, a jeszcze głębiej jest Mars, a jeszcze głębiej jest chyba Bóg i Dzieciątko Jezus.

- A wybuchy? Masz szczęście, że Lisa nie została wysadzona w powietrze!

- Tu już nie wysadzają - wyjaśnił.

Używając ręki Barbie jako wskazówki, Dickens skierował mój wzrok na urwisko po drugiej stronie kamieniołomu, gdzie tuż nad krawędzią rosła samotna kępa jadłoszynów.

- Za tymi drzewami... teraz tam to robią. Wysadzają dynamitem nową dziurę, ale nie ma w niej nawet oceanu ani meduz.

Gdy tylko skończył mówić, rozległ się wybuch; przetoczył się jak grzmot, wstrząsnął naszym stanowiskiem, poruszył mi wnętrze. Dickens ukrył twarz w zgięciu ramienia, a ja, zatkawszy sobie uszy, patrzyłam na odległą kępę drzew, oczekując ognia i dymu oraz wylatujących w powietrze kawałków skał. Zamiast tego - jakby drzewa nagle się rozstały - zobaczyłam stada czarnych ptaków podrywających się w niebo z głośnym krzykiem; latały dokoła niczym jakaś gniewna chmura, krążyły zwartą grupą to w tę stronę, to w tamtą, by w końcu powrócić w to samo miejsce, kiedy hałas ucichł.

Oderwałam dłonie od uszu, powoli, wsłuchując się w ptasi jazgot.

- Są wściekłe - powiedziałam do Dickensa, który ostrożnie unosił głowę. - Pewnie spały. Te wybuchy je wykończą, jeśli szybko się stąd nie zabiorą.

Przypomniałam sobie opowieść ojca o tym, jak w młodości mordował szpaki. Jego kuzyni też to robili. I babka. Wszyscy w ich mieście mordowali szpaki.

- Bo wszystko obsrywają - mówił ojciec - i robią straszny hałas. Poza tym to było zabawne. Dostawaliśmy dziesięć centów za każdego złapanego i zabitego ptaka. Kiedyś zarobiłem prawie pięć dolarów, a w tamtych czasach można było za to kupić mnóstwo gumy i sucharów.

Nazywało się to Doroczna Obława z Nagonką.

Mężczyźni, kobiety i dzieci szli tyralierą od jednego

końca miasta do drugiego, waląc łyżkami w patelnie, garnki i pokrywy od kubłów na śmieci, płosząc w ten sposób szpaki. Hałas podrywał ptaki do lotu; miały się dziko nad głowami polujących, szukając spokojnego miejsca do wylądowania, latały dopóty, dopóki mogły latać, a potem wyczerpane zaczynały spadać. Pikowały w ziemię, rozbijając się na ulicach i chodnikach, na podwórkach i dachach. Mój ojciec i jego kuzyni, a także babka i cała reszta używali łyżek zamiast młotków.

- Tym, które oddychały i próbowały znowu lecieć - opowiadał ojciec - rozbijaliśmy głowy. Czasami zdeptaliśmy je i niekiedy skrzydła trzepotały jeszcze długo po rozwaleniu czaszki.

Matka nienawidziła tej opowieści. Ja też.

- Dickens, mój tata mordował ptaki. To podłe tak robić.

Ale on nie zwracał na mnie uwagi.

- Niewiele brakowało - westchnął.

Przez chwilę oglądał rękę Barbie, wciskając kciuk w plastikowe ciało.

- Mam sekret - wyznał w końcu.

- Jaki?

- Jak ci powiem, to nie wygadasz, dobrze? Gdyby Dell się dowiedziała, zbiłaby mnie i już zawsze miałbym kłopoty.

- Ja też mam sekret.

Popatrzył na mnie.

- Zdradź mi swój sekret, to ja ci zdradzę mój, dobrze?

- Dobrze.

Usiedliśmy na brzegu, krzyżując nogi jak indiańscy wodzowie. Zamknęłam Krój i Szyk w zaciśniętej dłoni, żeby nie mogła usłyszeć. I szeptem wyznałam mu mój sekret, mówiąc, że jest moim chłopakiem, że jestem panią Kapitanową... i że lubię go całować w usta.

- Aha. Mój jest inny. Mój jest taki, że mam u siebie w pokoju dynamit, i to dla mnie niedobrze.

Dynamit. Dwie laski. Powiedział, że znalazł je w tej nowej dziurze po wybuchu.

- O wszystkim zapominam - mówił - a kradzież oznacza dla mnie kłopoty. Tak już jest, dlatego to tajemnica.

- Chciałabym zobaczyć - powiedziałam.

Westchnął, ściągając usta.

- No nie wiem, może jutro, jak Dell pojedzie do miasta. Nie wiem. Kiedy jedzie do miasta, to ja rządę, więc mogę robić, co chcę.

- Jak mi pokażesz, to ci uwierzę. Jeśli mi pokażesz, dostaniesz rękę Barbie jako prezent urodzinowy ode mnie.

Powinien się uśmiechnąć, ale jego mina nie wyrażała niczego. Popatrzył na plastikową rękę.

- Jak się nazywa?

- Ramię-Armie - odpowiedziałam.

- To chłopiec czy dziewczynka? Byłoby miło, gdyby to była dziewczynka.

- Chłopiec.

- Skąd wiesz?

Wzięłam rękę i umieściłam ją sobie między nogami, jakby to był siusiak.

- To wcale nie znaczy, że to chłopiec.
- Właśnie, że znaczy. To siusiak. Wiem, że go masz.
- Nie.
- Widzę go, kiedy się całujemy. Robi się większy.
- Wcale nie widzisz. Tak nie wolno. Nie mam niczego takiego.

Pochylił się, zasłaniając kąpielówki. Powiał lekki wiatr, unosząc kurz z peruki, obsypując nas kamienną mączką.

Położyłam rękę Barbie na jego lewym kolanie.

- Dickens, chciałabym zobaczyć twój dynamit.
- Może jutro, jak Dell pojedzie do miasta. Nie wiem.
- Przecież jesteś moim chłopakiem - naciskałam.
- Nie rozumiem tego - powiedział, zdejmując perukę i rzucając mi ją na kolana. - Chyba lepiej będzie, jak pójde już do domu.

Kocham cię, pomyślałam. Jesteś moim drogim, słodkim kapitanem.

Przez chwilę całowaliśmy się na urwisku wysoko nad Stuletnim Oceanem, późnym popołudniem, a potem odeszliśmy stamtąd, milcząc, nasłuchując z nadzieją kolejnego wybuchu, który jednak nie nastąpił.

Rozdział 20

Krój i Szyk nie chciała się zamknąć.

- Dickens ma dziewczynę - drażniła się ze mną. - Jest twoim chłopakiem.

- Moim mężem - oznajmiłam. - Jestem jego żoną.

- Jest bajecznym chłopakiem. Jest słoneczną chmurą.

Był ranek, do południa brakowało kilku godzin. Mimo iż Dickens zawsze przynosił mi posiłek po porze lunchu, czekałam na stopniach ganku na jego przybycie.

- Pocałuj mnie - poprosiła Krój i Szyk.

- To ohydne. Jesteś dziewczyną.

- Proszę. Pocałuj mnie, to będę chłopcem.

- Dziewczyny nie całują dziewczyn w taki sposób.

- Proszę...

Pocałowałam ją, ale to nie było to samo co całowanie Dickensa: nie poczułam żadnego mrowienia w brzuchu. Objęłam ją ustami, ściągając z palca; udawałam, że jest pstrągiem, a ja wielorybem. Jej skóra miała smak mydła, a włosy - lukrecji. Zaczęłam się dławić i wyplułam ją na otwartą dłoń.

- Jesteś obrzydliwa - oznajmiłam.

Powinna płakać albo narzekać. Zamiast tego wybuchnęła śmiechem.

- To było zabawne - rzekła. - Było super.

Jesteś stuknięta, pomyślałam. Bardziej szalona od

wiatru.

Obie się śmiałyśmy.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką - powiedziałam jej.
- Ty moją też.
- I kocham Dickensa.
- On jest słodkim księciem. Jest wielkim królem.
- Sokiem jabłkowym i wołowymi medalionami.
- Jesteśmy szczęśliwą rodziną.
- Właśnie.

Dell zaopiekuje się nami wszystkimi. Wkrótce będzie pilnować naszych dzieci, kiedy my wypłyniemy na Stuletni Ocean. Wyjdzie za mojego ojca i zostanie moją matką. Potem ona, Dickens, Krój i Szyk i ja zbudujemy zamek z gałęzi jadłoszynów i sprasowanych jednocentówek. Będziemy jeść mięso i ciasto na każdy posiłek. I będziemy pić sok z połączonych jednorazowych kubków.

- To spełnienie marzeń - powiedziałam.
- To Gwiazdka - dodała Krój i Szyk.

Załaskotało mnie w brzuchu. Nacisnęłam palcem okolice żołądka, wyobrażając sobie, że tam w środku porusza się dziecko, dziecko Barbie z prawdziwymi rzesami, w niebieskich okularach pływackich, z prawdziwym mózgiem. Widziałam w telewizji - kiedy chłopak całował dziewczynę wystarczającą ilość razy, coś musiało się stać.

- Powiedz to Dickensowi - mówiła Krój i Szyk. - Powiedz mu o zamku i o dzieciach. Wtedy pokaże ci

dynamit. Może Dell już jedzie do miasta, a on jest tam sam i myśli o tym, że chciałby, żebyś go odwiedziła i obejrzała jego dynamit.

- Ale może ona wciąż tam jest...

Zaproś nas na herbatę albo na piknik, bo kocha tatę i jest też naszą przyjaciółką. Dlatego nie wyssie nam krwi. Zresztą i tak już tego nie robi, tak mówił Dickens.

Zaburzało mi w brzuchu; dziecko kopało jak najęte. To dlatego zawsze mrowiło mnie w środku, kiedy się całowaliśmy z Dickensem - od każdego zetknięcia naszych ust dziecko trochę rosło. Powinnam była wiedzieć.

- Lepiej powiedzieć Dickensowi - uznałam. - Myślę, że mam w sobie dziecko od całowania. Myślę, że to Klasyczna. Wraca.

- Powiedzmy mu - podchwyciła Krój i Szyk. - I dotknijmy dynamitu.

Kiedy oddalałyśmy się od schodów, przebiegł mnie dreszcz; zaczął się u nasady szyi i przeleciał w dół po kręgosłupie. Wyobraziłam sobie ciemny dom Dell i Dickensa, z zamkniętymi oknami, zasłonami nieprzepuszczającymi światła, i ich pogryzioną przez pszczoły matkę drzemiącą gdzieś w środku.

Zamek jest bezpieczniejszy niż dom czy farma, pomyślałam. Zamek nie pozwala pszczołom i mrówkom atakować wszystkich.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, dom wydawał się równie tajemniczy i opuszczony jak zwykle. Grządki po obu

stronach zwirowej ścieżki, wcześniej pełne pomidorów i kabaczków, teraz świeciły pustką; ze świeżo skopanej ziemi wystawały jedynie zwiędłe badyły. Na podwórku widać było ślady butów i rozrzucone gałązki. Wchodząc na ganek, zauważyłam, że żółte światło nad drzwiami już się nie pali - wymyślona przeze mnie królowa wszystkich świetlików umarła.

Zapukałam, z początku cicho; trzy lekkie uderzenia kostkami palców.

- Halo - powiedziałam, zwracając się do drzwi. - To ja.

Czekałam, spodziewając się, że otworzy Dell albo Dickens. Ale żadne z nich się nie pojawiło.

- Tu Jeliza-Rose.

Zapukałam mocniej - puk, puk, puk - i znowu czekałam.

- Jest naprawdę ładny dzień na proszoną herbatkę, więc przyszliśmy z Krojem i Szykiem, na wypadek gdybyście nie byli specjalnie zajęci.

Przyłożyłam ucho do drzwi, wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam. Nic, żadnego skrzypnięcia, stuknięcia ani kłapania japonki.

- Może śpią - powiedziałam do Kroju i Szyku. - Może są w mieście.

Może się ukrywają, pomyślała Krój i Szyk. Może szukają nas w What Rocks.

- Może.

Zeszliśmy z ganku i okrążyliśmy dom. Starając się nie zwracać uwagi na nagły skurcz żołądka, zajrzałam tam,

gdzie rosły bujne chwasty i gdzie parkowała furgonetka forda z pękniętą przednią szybą. Ale forda nie było.

Zatrzymałam się przy domu, stając pomiędzy krętymi koleinami pozostawionymi przez furgonetkę, i dostrzegłam Dickensa; bez swojego kapitańskiego stroju, ubrany jak farmer, otwierał kłódkę na drzwiach szopy.

Powiedz mu, zachęcała mnie w myślach Krój i Szyk. Powiedz mu, że spodziewasz się dziecka, to ci pokaże swój sekret. Obiecał, że pokaże.

Dickens otworzył drzwi i wszedł do szopy, więc ostrożnie ruszyłam na przełaj przez podwórko, przecinając utwardzoną ścieżkę, w nadziei, że go zaskoczę. Chciałam mu powiedzieć, że bardzo go kocham i że Klasyczna wraca jako moje dziecko Barbie. Zamierzałam zrobić mu niespodziankę, mówiąc: „Słodki książę, Klasyczna jest w drodze”, i pewnie te słowa popłynęłyby przez otwarte drzwi szopy, gdybym nagle nie zauważyła wiewiórki, gdybym się nie zawahała przez przekroczeniem ciemnego progu, gdybym nie spojrzała w prawo, na drewnianą klatkę, gdyby mnie nie zaciekawiały kępki szarego futra wystające przez siatkę i zawinięty puszysty ogon.

Była martwa? Nie. Spała? Nie. Leżała nieruchomo z łapkami na pyszczku, oddychała głęboko i obserwowała mnie czarnymi ślepkami. Patrz, co mi zrobiła, Jelizo-Rose. Patrz, co się dzieje, jeśli jesteś mała i bez przerwy głodna. Zostajesz złapana w pułapkę i osadzona w klatce. Jestem więźniem. Już po mnie.

Zrobiło mi się jej żal. Nie była potworem ani paskudą, tylko wiewiórką, i teraz wcale nie wydawała się złośliwa. Nie odważyłam się jednak wsadzić palców do klatki, żeby ją pogłaskać; gdybym to zrobiła, mogłaby mnie ugryźć. Mogłaby mnie pomylić z Dell i odgryźć mi palce.

Wiesz, co ona ze mną robi? Wejdz do szopy, to zrozumiesz. Uważaj na siebie. Tak, idź...

Co znalazłam, przekroczywszy próg szopy?

Długi rozkładany stół i szerokie półki, wszystkie wypełnione rękodziełem Dell; niektóre z tych rzeczy były skończone, inne w trakcie produkcji. Na stole i dokoła stołu - lampy na podstawkach z jelenich rogów, zrobiony z rogów wieszak na kapelusze, podnóżki (dwie pary rogów służyły za nogi), lampy z jelenich racic i z tuzin termometrów z jelenich nóg. Ale to zawartość półek przykuła moją uwagę: groźnie wyglądający pręgowany kot gotowy zaatakować zwiniętego grzechotnika, wiewiórki trzymające w łapkach żołędzie, trzy króliki skulone razem, tchórz z pstrągiem w pazurach, jeszcze jeden pręgowany kot wgryzający się w głowę nietoperza, odwrócony do góry nogami pancernik, szakal siedzący na tylnych nogach; wszystkie te szklanookie istoty, znieruchomiałe w różnych pozach, wypełniały werniksowane drewniane półki niczym trofea. To tu Dell trzymała śmierć na dystans, tu ratowała ucichłe dusze przed pójściem do ziemi. Ale ja nie chciałam skończyć tak jak te stworzenia zastygłe na półce, nie chciałam trwać w takim stanie na wieki. Równie dobrze mogłam pójść do

ziemi. Jeśli nie można biegać, krzyczeć i ciąć babeczek, równie dobrze można być martwym.

Dickens stał w kącie, odwrócony do mnie plecami; wypakowywał płócienny worek, wyjmował z niego papierowe ręczniki i gumowe rękawice.

- To jakaś menażeria - powiedziałam.

Usłyszawszy mój głos, wzdrygnął się i krzyknął, upuszczając ręczniki i rękawice, odwrócił się gwałtownie z dłonią przy ustach, krzyk nadal przeciekał mu przez palce, wypełniając szopę. Piskliwy ton jego głosu był tak przerażający, że ja także zaczęłam krzyczeć. Staliśmy naprzeciw siebie, drąc się wniebogłosy, jakby nas mordowano, dopóki nam obojgu nie zabrakło tchu.

Potem Dickens opadł na worek zupełnie wyczerpany, obejmując się ramionami. Drżały mi ręce. Krój i Szyk trzęsła się na moim palcu. Na zewnątrz wiewiórka skrzeczała w klatce, niewątpliwie pobudzona naszym wrzaskiem.

- To nie fair - powiedział Dickens - nie fair.

- Nieżle mnie przestraszyłeś - odpowiedziałam.

- Nie, to ty mnie przestraszyłaś. To nie fair.

Kołysał się jednostajnie, zapatrzony we własne buty, mamrocząc coś pod nosem.

- To był przypadek - próbowałam się tłumaczyć. - Zobaczyłam tę menażerię... Przyszłam ci coś powiedzieć, ale na widok tego zoo o wszystkim zapomniałam, zastanawiałam się, czy one są martwe, są takie nieruchome, jakby uśpione. Chyba dlatego tak się

przestraszyliśmy, bo one wyglądają dość strasznie.

Dickens uniósł głowę i przeszywając mnie pałającym wzrokiem, wykrzyknął:

- Nieprawda, Dell ożywia je na nowo. Właśnie tak. I ludzie są szczęśliwi, bo przynoszą stare zdechłe psy i stare zdechłe koty, a ona jak Jezus na nowo je ożywia. I robi jeszcze to... - Wyciągnął rękę, wskazując na lampy oraz podnóżki i termometry na stole. - Sprzedaje to w mieście, kiedy tam jedzie. Jest artystką, tak mówi... I uzdrawiaczką. - Ruchem głowy wskazał na zwierzęta ustawione na półkach. - Wcale nie są straszne, są przyjaciółmi... a ty mnie przestraszyłaś, i to jest nie fair. Chyba zemdlałem.

- Jest mi przykro. Przepraszam - powiedziałam, zbliżając się do miejsca, gdzie stał.

- Nie rób tego więcej, bo umrę, dobrze?

- Dobrze.

Przytuliłam go, obejmując za ramiona, poklepując go główką Kroju i Szyku po szyi.

- Mnie chyba też jest przykro - odparł. - Tak mi się zdaje.

Powiedz mu, ponagliła Krój i Szyk. Powiedz mu.

Z ustami tuż przy jego uchu powiedziałam o dziecku. Powiedziałam, że jest teraz moim mężem i że wkrótce pojawi się Klasyczna, będzie naszym dzieckiem Barbie.

- Możemy zbudować zamek, a Dell może wyjść za mojego tatę. Ale najpierw musisz mi pokazać swój dynamit.

Zesztywniał.

- No nie wiem. To o dziecku brzmi dziwnie... i nie mogę zbudować zamku. Nie wiem jak, nie wiem.

Szepnęłam:

- Jeśli pokażesz mi swój sekret, już zawsze będę cię kochać.

Pochylił głowę, nasze policzki się zetknęły.

- Pokażę ci - obiecał. - Tylko raz. Ale jeszcze nie teraz, bo muszę rozpakować ten worek, zanim Dell wróci. Potem pokażę ci mój pokój w domu mamy, dobrze? Jeśli nie rozpakuję worka, to dziś wieczorem nie dostanę jeść. Więc poczekaj, dobrze? Niczego nie dotykaj. Nie powinnaś tu być. To miejsce należy do Dell.

- W porządku. - Cofnęłam się. - Zaczekam na mojego ukochanego. Jesteś moim całownikiem.

Patrzyłam, jak podnosi się wolno, odwraca i pochyla nad workiem. Poruszał się ociężale, z niezdarnością wskazującą na problemy z koordynacją ruchów; stał z piętami rozsunietymi na zewnątrz. Po chwili znudziło mi się patrzeć, więc wyszłam z szopy, skradając się pod półką z wytworami Dell, pamiętając o grzechotniku gotowym zaatakować.

W progu oślepiło mnie słońce; zmrużyłam oczy, dodatkowo osłaniając je dłonią.

Jestem więźniem.

Wiewiórka skrzeczała. Nerwowo krążyła po klatce, popatrując na mnie ukradkiem.

- Dell zamrozi cię żywcem - powiedziałam. - Może

będziesz jeść nietoperza albo rybę.

Najpierw będzie musiała mnie zabić, a dopiero potem mnie zamrozi. Nie jestem starym zdechłym psem ani starym zdechłym kotem. Jestem głodną wiewiórką.

- Pomożemy ci - odezwała się Krój i Szyk.

Klatka miała niewielkie drzwiczki zamknięte na haczyk.

- Ty to zrób - powiedziałam - ja nie chcę wpakować się w kłopoty.

Krój i Szyk w ogóle się nie przejmowała. Bez zastanowienia uniosła haczyk.

- Jesteś wolna.

Mogłam otworzyć drzwiczki i wskazać nad chwastami w stronę jadłoszynów. Mogła tam uciec, między drzewa. Chciałam jej bardziej pomóc, ale tego nie zrobiłam. Wystarczyło unieść haczyk.

Zajrzałam do szopy, żeby się upewnić, czy Dickens nie widział, co zrobiłyśmy. Z siedzeniem wypiętym w stronę drzwi grzebał w płóciennym worku - wiedziałam, że o niczym nie ma pojęcia. Spojrzawszy znowu na klatkę, zobaczyłam, że drzwiczki są otwarte; więzień już się wymknął. Była szybka. Wiedziała, co robić, dokąd pójść, jak się schować. Nie pozwoli się znowu nabrać, zwabić w pułapkę. Stojąc w promieniach słońca grzejących mi kark, byłam zadowolona.

Rozdział 21

Tamtego dnia Dickens i ja staliśmy się duchami.

Skradając się na palcach po schodach prowadzących na tyły domu, powiedział:

- Nie możemy obudzić mamy... nie możemy rozmawiać, chyba że w moim pokoju. - Ściszył głos do szeptu. - Wcześniej będziemy tak rozmawiać.

- Jesteśmy cichymi duchami - podchwyciłam. - Twój dom jest jaskinią czarownicy, a my znikamy i nie damy się złapać.

Uśmiechnął się szeroko.

- Tak, chyba tak. To chyba dobry pomysł. Bo Dell by mnie zbiła za to, że mam towarzystwo.

Weszliśmy do domu-jaskini, do kuchni, bez słowa, trzymając się za ręce. Słoneczne światło znikło, zostało za zamkniętymi drzwiami. Czułam się prawie tak samo ślepa, jak Krój i Szyk, ale Dickens prowadził, ciągnąc mnie za sobą. Płynęliśmy przez ciemność, dwa duchy, wdychając znajomą mieszaninę werniksu i lizolu, suwając stopami po śliskiej posadzce, przemierzając korytarz, oświetlony jedynie nocną lampką w kształcie kota.

Jak tu jest, zastanawiała się Krój i Szyk.

Halloween, pomyślałam. Wystarczająco ciemno dla Człowieka z Bagien, wystarczająco ciemno, by oszukać pszczoły, że czas spać. Wszystkie drzwi, które mijaliśmy,

były zamknięte... poza jednymi, za którymi dostrzegłam niewyraźny zarys zwierzęcej głowy, chyba łosia, zawieszanej nad sofą; masywne rogi niczym konary wznosiły się do góry, niemal dotykając sufitu.

Dickens pociągnął mnie dalej, za zakręt korytarza, poza zasięg nocnej lampki. Jeszcze jeden korytarz? Drzwi?

Jak tu jest?

Nie wiem. Nie potrafię powiedzieć.

Puścił moją rękę. Nagle usłyszałam pstryknięcie i nad moją głową niespodziewanie zapaliła się żarówka tak jasna, że na moment mnie oślepiła.

- Mój pokój - oznajmił Dickens, zamykając drzwi.

Jego pokój - zagracony, niechlujny, podobny do szczurzej nory. Pod ścianami leżały egzemplarze „National Geographic”, całe setki, w pięciu lub sześciu chwiejnych stosach. Podłogę zaścielało kłębowisko podkoszulków, skarpetek, bielizny i dżinsów, japonki i kąpielówki, puszki po coca-coli i talerze z zaschniętym jedzeniem, łyżki i widelce; kolejne numery „National Geographic” otwarte na różnych stronach tworzyły przypadkowy kolaż pustyni, rozgwieźdzonego nieba, gwiazdozbiorów, waleni, zachodów słońca nad oceanem, szkunerów i raf koralowych.

- Czasami panuje tu bałagan - poinformował. - Czasami różne rzeczy przyklejają się do stóp, więc lepiej wejdź na moje łóżko, żebyś nie rozdeptała czegoś ważnego, dobrze?

- Dobrze.

Nad łóżkiem przypięta była mapa, nie Danii, jakiegoś innego miejsca, z szerokimi łańcuchami górskimi i długimi dolinami, niewyraźna, bardzo niebieska i dziwna. A łóżko, na którym kazał mi usiąść, było koślawą pryczą z zielonym śpiworem zamiast pościeli i poduszką ze zwiniętej kurtki.

- Mam skarb - powiedział Dickens, klękając i sięgając pod pryczę. - Czasami jestem bogaty. Odkrywam fortuny.

Wyciągnął metalowe pudełko i położył mi je na kolanach. Patrzyłam, jak klęka pomiędzy moimi nogami, odmyka zamki, unosi przykrywkę i odsłania swój cenny łup, na który składały się różne drobiazgi: złota spinka do mankietów, niebieskie okulary pływackie, ręka Ramię-Armie, wypchana skarpetka mikołajowa.

I jednocentówki, może tysiąc, a może milion?

- Pięćdziesiąt cztery. To prawie setka. Popatrz na to, gdzieś je znalazłem.

Komplet sztucznych zębów; wzięłam je do ręki, udając, że gryzą Krój i Szyk w głowę.

- Chrup, chrup. Chrup, chrup, chrup.

Dickens się zasepił.

- Nie rób tak - skarcił mnie. - Tak nie wolno.

Zabrał szczękę i podał mi skarpetę na gwiazdkowe prezenty.

Zaburczało mi w brzuchu.

- Są w środku jakieś słodczyce?

- Nie, mój sekret. - Potrząsnął skarpetą; zawartość wypadła na łóżko.

- Dynamit - szepnęłam.

Wyjaśnił, że to dynamit z zapalnikiem czasowym i detonatorem; laski tak naprawdę wcale nie były laskami - nawet nie były czerwone jak na kreskówkach - tylko beżowymi walcami zrobionymi z masy drzewnej lub tektury. Kiedy je trzymałam w dłoni, wydawały się lżejsze niż kamienie.

- Jak oni je odpalają?

- Chyba tak jak fajerwerki. - Głos zrobił mu się piskliwy z podniecenia. - Jak bombę na wojnie! - Nadał policzki i wypuścił powietrze, naśladując odgłos wybuchu.

- Bum! - Uderzyłam w tuleję policzkiem Kroju i Szyku.

Przesunął dłońmi po moich nogach, pod sukienkę, zatrzymując się na udach.

- Jak koniec świata. Jeśli ich użyjesz, to potem nie możesz użyć drugi raz. Potem są już bezwartościowym śmieciem, rozerwanym na kawałki. Dlatego będę je trzymał, dopóki nie stanę się dorosłym mężczyzną, a wtedy razem z Lisą zabiję tego rekina i zostanę bohaterem. Jestem tego pewien.

- Pomogę ci. Dzięki temu możemy być w telewizji.

- Dlatego, że mnie kochasz.

- Zawsze będę twoją żoną.

Położył mnie na łóżku - wciąż trzymałam dynamit, po jednej tulei w każdej ręce - i popatrzył na dziwną mapę. Przytknął ucho do mojego brzucha, palcami dotknął majtek.

- Dziecko śpi - powiedział. - Chrapie.
- Rośnie. Urodzi się dzisiaj albo jutro.
- Założę się, że jest śliczna. Założę się, że jest taka śliczna jak ty.

Był teraz nade mną, patrzył mi w twarz. Jednak ja skupiłam uwagę na mapie, na jej niebieskich szczegółach, na ostrych krawędziach i szerokich nieckach.

- Co to jest? - spytałam.
- Całe dno morza - odparł.

Całe dno? Nie mogłam tego pojąć.

Wyjaśnił mi, że najgłębsza część oceanu opada pod powierzchnię dalej, niż sięga w górę najwyższy szczyt na lądzie. A w głębinach istnieją nieodkryte krainy, całe miasta z ludźmi i psami. Pod powierzchnią morza są zamki i farmy. Są mężowie i żony, i dzieci, i duchy.

- I całownicy też. Całownicy, którzy robią tak...

Wysunął język i zatrzepotał nim.

- Fúj.

Zrobiłam to samo, co on. Wcześniej nie całowaliśmy się w taki sposób i na samą myśl poczułam łaskotanie w brzuchu. Usta Dickensa były tuż przy moich. Uniosłam głowę, zamykając oczy, zapominając o mapie i o dynamicie trzymanym w obu rękach.

Fúj, pomyślała Krój i Szyk. Fúj.

Naparł na mnie, chwytając mnie za nadgarstki. Bum, bum, bum, łóżko załomotało o ścianę. W momencie gdy nasze języki się zetknęły, po drugiej stronie ściany coś jakby się przewróciło, zapewne poruszone rytmicznymi

uderzeniami łóżka. Słyszałam, jak to coś spada i odbija się od podłogi.

Otworzyłam oczy. Dickens poderwał głowę.

- Aha - mruknął, tężejąc. - To chyba mama.

Zsunął się z pryczy i podszedł do drzwi, nasłuchując jakichś dźwięków z korytarza.

- Obudziła się? - zapytałam.

Odwrócił się do mnie twarzą; jego naznaczona szramą czaszka odbijała się w żarówce. Uniósł ręce, żeby się objąć, ale zrezygnował w pół ruchu.

- Nie wiem - odparł. - Nigdy się nie budzi, ale może teraz się obudziła. Zostań tu, dobrze? Jeśli mama już nie śpi, sprawdzę, czy nie trzeba jej dać zupy.

Nie ruszył się jednak z miejsca, został przy drzwiach, na przemian wkładając ręce do kieszeni i wyjmując.

Nagle serce zaczęło mi bić szybciej.

- Boję się - wyznałam.

- Ja też.

Wyobraziłam sobie, że wychodzi i już nie wraca, zostawiając mnie samą w jaskini czarownicy.

- Jeśli pójdziemy razem, będziemy bezpieczni.

Pokiwał głową.

- Dobrze, ale nie mów Dell, że widziałas mamę. Jak obiecasz, to możesz iść.

- Obiecuję.

Zanim wymknęliśmy się na korytarz niczym bezszelestne duchy, pomogłam Dickensowi schować skarb. Upchnęliśmy dynamit w skarpecie, skarpetę

umieściliśmy w metalowym pudełku na sztucznych zębach, po czym Dickens wsunął pudełko pod pryczę i dodatkowo zakrył je ubraniami.

- To nasz skarb - oświadczyłam.

- To zła wiadomość - powiedział Dickens, biorąc mnie za rękę.

Przeszliśmy korytarzem do sąsiedniej sypialni, gdzie na komodzie paliły się migotliwie świece; czerwony, biały i fioletowy wosk skapywał na emaliowany talerz. W pokoju panował półmrok. Dickens już nie trzymał mnie za rękę. Zostawił mnie przy stole, zrobił krok naprzód i zniknął mi z oczu. Rozbłysła lampa i znów go zobaczyłam - stał przy łóżku z kolumnami i patrzył na śpiącą postać wyciągniętą na pościeli.

Mama.

- Dell mówi, że mama kiedyś się obudzi - wyszeptał. - Mówi, że kiedyś będzie istnieć pigułka albo coś takiego, wystarczy ją podać i znów otworzy oczy. Tylko że to długo potrwa, więc do tego czasu mama zostanie taka, jak jest. Tak jest lepiej. Bo gdyby ją pochować, to już by było po niej na dobre. Dlatego mam nadzieję, że szybko wynajdą tę pigułkę czy coś.

Poza tym że była mniejsza, wyglądała tak samo jak mój ojciec, owinięta w wełniany koc niczym mumia, cuchnąca werniksem, z krótko obciętymi siwymi włosami. Nie widziałam wyraźnie jej twarzy - z miejsca, gdzie stałam, było to niemożliwe - i wcale mi to nie przeszkadzało. Pszczoły zrobiły z niej poduszkę do igieł, powbijały jej

żądła w policzki, nos i powieki. Ale teraz spała. Nie obudziła się, nie słyszała łoskotu ani nie była jego sprawcą.

Dickens spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

Co spadło? Co odbiło się od podłogi, powstrzymując język mojego męża przed zagoszczeniem w moich ustach? Co zalśniło, kiedy przeszukiwałam czarną jak smoła podłogę? Piłka bejsbolowa. Sięgając po nią, zauważyłam posłanie wzdłuż łóżka, zrobione z kołder... i koszulę nocną mojej matki, złożoną w kostkę na poduszce.

Przyszło mi do głowy, że to posłanie Dell. Pilnuje mamy przed pszczołami.

- To nie twoja zabawka - szepnął Dickens, zabierając mi z ręki piłkę. - Nie możesz nią grać.

Odwrócił się i podszedł do komody. Podreptałam za nim i patrzyłam, jak ostrożnie umieszcza piłkę za talerzem. To, co świece pozostawiały ukryte w mroku, oświetliła, choć słabo, lampa zapalona przy łóżku mamy - komoda była świątynią, ołtarzem z fotografii i pamiątek. Między świecami leżały naszyjniki, wrzoścowa fajka, szklane kulki do gry, kryształowa ryba, mapa Danii należąca do mojego ojca, tabakierka księcia Alberta, srebrna tacka ze szminkami, pudrami i pędzelkami.

A dalej, pod lustrem, zepsute radio.

- To prezent ode mnie.

- Nie, to należy do Dell - zaprotestował Dickens. - To jej.

Byłam zbyt zajęta oglądaniem świątyni, żeby się z nim spierać.

Wokół lustra wisiały czarno-białe zdjęcia, rodzinne portrety, zamysłone twarze z przeszłości - mężczyzna i kobieta na werandowej huśtawce, z dziećmi na kolanach, chłopiec puszczający latawca, dziewczynka z obręczą do hula-hoop; te wizerunki sąsiadowały ze zdjęciami Johna F. Kennedy'ego, Chekova ze „Star Trek”, Davy'ego Jonesa z The Monkees, Jezusa, jak żywego, niosącego krzyż... i mojego ojca za młodu, z gitarą przewieszoną przez ramię, wskazującego palcem w stronę aparatu.

W istocie mój ojciec był wszędzie. Prowadzący kabriolet. Jedzący hot doga. Rozdający autografy. W białym podkoszulku pijący piwo. Grający w bilard. I kto z nim był? Kim była dziewczyna obejmująca go przez skórzaną kurtkę, całująca w policzek, mierzwiąca mu włosy? Dziewczyna obecna na każdym zdjęciu, blondynka o pełnych ustach. Jej usta przy jego ustach, jej palce na jego kurtce albo pod podkoszulkiem.

Krój i Szyk wiedziała, nawet nie patrząc.

Pomyślała, że to Dell. Kiedyś była piękna, nie była gruba i nie wyglądała jak pirat. Kochała twojego tatę. Miała dwoje zdrowych oczu.

Zaczęliśmy z Dickensem rozmawiać szeptem.

- Oni się całowali - powiedziałam.

- Chyba tak - odparł. - To pewnie było bardzo dawno temu. Ale Dell jest ładna. To był jej chłopak, jej bliski przyjaciel. Długo się nią opiekował.

- To mój tata.

- Nie, nie sędzę. Nie. Twój tata nie wygląda jak ten chłopak. Chybabym pamiętał.

- Ale to on, a to Dell... i się całują. Tak samo jak my.

Zapraǳnęłam być całowana. Chciałam poczuć w sobie jego trzepoczący język. Powiedziałam mu o tym.

- Ja też - przyznał.

Poczułam mrowienie w brzuchu.

Wziął szminkę ze srebrnej tacki i poprowadził mnie na posłanie przy łóżku, gdzie usiedliśmy twarzami do siebie, ze schyłonymi głowami, żeby nie widzieć mamy i żeby ona nas nie widziała, gdyby jakimś cudem się obudziła. Malowaliśmy się nawzajem, aż nasze usta zrobiły się czerwone i lepkie od szminki. A potem się całowaliśmy, z zamkniętymi oczami, dotykając się językami. Wsunął mi palce do majtek i łaskotał mnie tam. Nie przeszkadzało mi to, bo byłam Dell, a on był moim ojcem, byliśmy małżeństwem i spodziewaliśmy się dziecka. Kiedy się całowaliśmy, czułam się ciepło i bezpiecznie, wszystko we mnie musowało jak bąbelki w lemoniadzie i byłam pewna, że odtąd już zawsze będę się tak czuła. Że to się nigdy nie skończy.

Ale się skończyło, i to bardzo gwałtownie.

- Brudne plugastwo! Zło!

Dell patrzyła na nas z odrazą, ściągając z głowy kaptur z hełmem. Nim którekolwiek z nas zdołało się odezwać, szturchnęła Dickensa butem, odpychając go ode mnie. To, co nastąpiło później, zaparło mi dech w piersi; pięścią

osłoniętą hełmem palnęła Dickensa tak mocno, aż poleciał na ścianę.

- Nie, Dell, nie, nie...

- Zgnilizna! Zgnilizna!

Cisnęła hełmem, który oderwał się od kaptura, potoczył po podłodze jak opona, walnął w ścianę koło prawego kolana Dickensa, po czym jak jo-jo poturlał się z powrotem, minął buty Dell, by w końcu zatrzymać się na nodze od stołu. Równie dobrze Dickens mógł oberwać; leżał na boku, osłaniając twarz, zwinięty w kłębek. Piers mu falowała, a z gardła wydobywał się żalosny jęk przerywany łkaniem.

- Zgnilizna!

Zatkałam sobie uszy, wbijając wzrok w kaptur z woalką, który spadł przede mną i wylądował obok posłania, ale wciąż wszystko słyszałam.

- Robić to tutaj! - krzyczała na Dickensa. - Wnosić najpodlejszą podłość do naszego domu! - Odwróciła się, jej sukienka z szelestem otarła się o buty, i kucnęła przede mną; - To mój dom! Mój dom, ty mała zdrajczynie! Jaki ojciec, taka córka. Oczywiście!

Dodała jeszcze, że jestem szpiegiem. Zawsze chodzę tam, gdzie mnie nie proszą, i sprowadzam ze sobą swoich małych przyjaciół. Swoich małych szpiegów.

- Podglądasz zza krzaków, ty wstrętne, podłe dziecko! Umrzesz z głodu, rozumiesz? Żadnego jedzenia więcej, ani okruszka, nic!

- Ja nic nie zrobiłam! - Rozplakałam się. - Nic nie

zrobiłam!

- Kłamczucha!

- Ja nic...

Chwyciła mnie za przegub i patrząc na Krój i Szyk, zaczęła mnie przedrzeźniać:

- Nic nie zrobiłam! Nic nie zrobiłam!

- Ja nic...

Wtykałam nos tam, gdzie nie trzeba. Ja i moje przyjaciółki.

- Widziałam, jak szpiegowałaś!

Na jej ziemi, w jej domu - i robiłam plugawe rzeczy z Dickensem w pokoju mamy.

- Nie chcę cię tu widzieć, niegodziwa dziewczyno!

Teraz umrę z głodu. Osłabnę, a potem umrę. Już mnie nie będzie. Tak powiedziała.

- Dość tego... - Szarpnęła moją ręką, strząsając z niej Krój i Szyk. - Dostyc szpiegów...

Wyprostowała się i podeszła do komody, otworzyła szufladę i czegoś w niej szukała.

- Dziecko, nie tylko ty się czaisz...

Wróciła do mnie z czymś nadzianym na palec obciągnięty rękawiczką, z czymś, co miało szczecinę rudych włosów. Z przerażeniem odkryłam, że to Klasyczna.

- To pewna uprzykrzona istota - mówiła Dell, majtając mi przed nosem Klasyczną. - To ty!

- To moje - chlipnęłam.

- Nie - zaprzeczyła Dell. - Nie sędzę.

Skrecało mnie w środku, ból rozrywał żołądek, jakby siłą wyrwano mi Klasyczną.

- Ona jest moja, nienawidzę cię! - krzyczałam. - Nienawidzę cię, nienawidzę cię!...

Nienawidzę cię!

Na dźwięk moich słów wściekłość Dell opadła, ustępując miejsca milczącej zadumie; zbита z tropu, zaciskając Klasyczną w dłoni, opuściła rękę.

- Jak można mówić takie okropne rzeczy - odezwała się z nieudawanym żalem. - To okropne, powiedziec komuś coś tak straszego.

Zapłakana, ze smarkami wiszącymi u nosa, patrzyłam na jej stropioną, ogłupiałą minę. W tym momencie pięty Dickensa załomotały o podłogę, ręce zamachały w powietrzu. Już nie jęczał, leżał na plecach wstrząsany gwałtownymi drgawkami, spomiędzy zaciśniętych szczęk płynęła mu spieniona ślina, charczał, jakby się dusił.

- Zobacz, co zrobiłaś - powiedziała Dell, podbiegając do niego. - Zobacz, co zrobiłaś!

Rozwarła mu usta i wsunęła do gardła dwa palce - na jednym z nich była Klasyczna; znów zniknęła mi z oczu, przepadła w kolejnej dziurze. Nie rozumiałam, dlaczego Dell to robi, dlaczego mnie obwinia i dusi Dickensa moją lalką. Wiedziałam tylko tyle, że muszę uciec, bo ja będę następna, wepchnie mi do ust te swoje palce. Dlatego rzuciłam się do ucieczki, porywając jej kaptur.

Bez tego umrzesz, pomyślałam. Bez tego pszczoły cię zabiją.

- Zło! Zło!

Byłam szybka, znacznie szybsza od Dell. Byłam duchem śmigającym w powietrzu, unikającym jej wyciągniętych ramion, szponiastych rękawiczek.

- Dziecko-potwór!

Nie pamiętam, jak wybiegłam z jaskini czarownicy ani jak gnałam ścieżką, mijając norę, do której wpadła Klasyczna. Nie przypominam sobie, kiedy kaptur wysliznął mi się z ręki i spadł na ziemię. Ani tego, jak wspinałam się na nasyp i przechodziłam przez tory. Ani zamykania na klucz drzwi w What Rocks. Nie pamiętam też, jak płacząc, opowiadałam ojcu o tym, co się stało.

Ale płakałam, chlipałam godzinami, mocząc łzami kołdrę ojca. Wreszcie, drżąc z wyczerpania, z podbródkiem umazanym szminką, bolącym żołądkiem, nogami obolałymi po biegu, przytuliłam się do jego sztywnego ciała w nadziei, że uchroni mnie przed Dell.

- Nic nie zrobiłam - powtarzałam w kółko. - Nic. Tylko pocałowałam Dickensa. Nic nie zrobiłam.

Mój biedny mąż, myślałam. Biedna Klasyczna, biedna ślepa Krój i Szyk. Ma was wszystkich. Ja będę następna. Ona mnie nienawidzi. Jak się dowie, że wiewiórka uciekła, z pewnością mnie zniszczy. Prawdopodobnie zawiesi moją głowę w swoim salonie albo umieści mnie na półce w szopie.

Nie miałam dokąd pójść. Nocą Człowiek z Bagien chodził po strychu i wśród łąnów sorga z królową Gunhildą. Wiedziałam, że Dell wyjdzie z domu nocą. Ile

czasu mi zostało? Ile czasu, zanim zapadnie noc i pszczoły pójdą spać? Wtedy Dell przyjdzie po mnie. Teraz była w swojej jaskini, pewnie wypychała Dickensa drutem i czekała na zapadnięcie zmroku. Wtedy się zjawi ze swoimi narzędziami i wiadrami. Wyważy drzwi, krzycząc: „Plugastwo, plugastwo!”.

Leżąc obok ojca, modliłam się o coś do jedzenia i jakieś bezpieczne miejsce, gdzie mogłabym się schronić. Wyobrażałam sobie te miasta na dnie oceanu, te zamki i rodziny... Tam było moje miejsce. Zapewne spotkałabym tam Klasyczną, Dickensa oraz Krój i Szyk. Byłam pewna, że mój ojciec już się tam przeniósł we śnie. Gdybym tak i ja mogła się tam przenieść we śnie... Gdybym tak zamknęła oczy i bardzo się postarała, mogłabym się obudzić po tamtej stronie snu.

Gdybym się wystarczająco mocno postarała, zamknęła oczy i wstrzymała oddech... Gdybym się mocno postarała...

Nie słyszałam swojego oddechu. Ostatnim dźwiękiem, jaki wypełniał mi uszy przed zaśnięciem, było bicie mojego serca. Wiedziałam, że przechodzę przez krainę traw należącą ni to do lądu, ni do morza, raz po raz zagarnianą falami przyływu, zagłębiam się w ocean, coraz dalej od What Rocks. Popołudniowe światło w górze stawało się coraz słabsze, może spiętrzone fale odcinały słońce. W tej dalekiej krainie mojej wyobraźni próbowałam zrozumieć to, co przywiodło mnie do Teksasu zamiast do Danii, ale nie znajdowałam żadnych

wyjaśnień. Wiedziałam tylko tyle, że jestem sama od tamtej pierwszej nocy na farmie i że uciekłam z Los Angeles po tym, jak moja matka zsiniała. Zobaczyłam siebie płynącą przez niezmiernie podwodne przestrzenie, coraz głębiej i głębiej, jak pieniążek wrzucony do Stuletniego Oceanu... albo jak Alicja spadająca powoli do króliczej nory, rozglądająca się i myśląca o tym, co ją może za chwilę spotkać.

Rozdział 22

Koniec świata był purpurowy. Pojawił się w moim śnie pod postacią irysa albo róży, która rozkwitła z ogłuszającym hukiem; płatki nagle wystrzeliły z pąka niczym fajerwerki. A może byłam już na wpół rozbudzona - ocknęłam się na łóżku obok ojca - kiedy eksplozja wstrząsnęła What Rocks tak gwałtownie, z taką siłą, że lampka z nocnego stolika spadła na podłogę, okno przy schodach rozleciało się na kawałki, podobnie jak wszystkie szyby na dole, co wkrótce odkryłam, a szkło wepchnięte podmuchem do środka zasypało posadzkę.

Zaraz potem do farmy dotarły odgłosy katastrofy spowodowanej wybuchem, kakofonia przeraźliwych dźwięków - pisk stalowych kół trących o szyny, łoskot wywracających się wagonów, metal uderzający o metal, do tego wstrząsy ziemi... a potem wszystko ucichło, spowite brązowo-białym pyłem, który wznosił się ku niebu jak dym.

Nie, to nie jest koniec świata, pomyślałam, tylko koniec rekina-potwora. Nie byłam jednak tego pewna tam, w mojej sypialni, ani na parterze, ani nawet na ganku. Nie byłam pewna, dopóki nie dotarłam na pastwisko, gdzie wykolejenie pociągu stało się oczywiste - szkolny autobus został zgnieciony przez wywrócony wagon pasażerski, inny wagon leżał na łące Dell. Zachodzące słońce

przedzierało się przez chmurę dymu, odbijało w srebrzystym rumowisku; wyglądało na to, że cały pociąg odwrócił się bokiem na szynach, część wagonów pospadała z nasypu, reszta piętrzyła się w poprzek na torach. Pobojewisko ciągnęło się w obie strony jak okiem sięgnąć.

Wtedy, w ciszy, jaka zapadła po katastrofie, zrozumiałam, że Dickens zabił rekina, że jakimś cudem uciekł przed Dell i jej palcami. Teraz nurkował w Lisie, gdybym więc usiadła i poczekała, toby mnie odnalazł. Wyłoniłby się z kurzu w swoich pływackich okularach i japonkach, z wydętymi wargami, gotowymi do pocałunku. Kiedy w ciszę wdarły się przerażone głosy nawołujące z wagonów, kiedy oszołomieni mężczyźni, kobiety i dzieci zaczęli wychodzić z wraków, szukałam go, rozglądając się po twarzach ludzi, którzy zbliżali się w moją stronę.

Najpierw przyszło tylko kilku, usiedli na pastwisku, milczący i na pierwszy rzut oka bez obrażeń; siedzieli sztywno wyprostowani, a ich miny świadczyły, że nie do końca zdają sobie sprawę z tego, co się stało. Potem zaczęło ich przybywać, jedni byli ranni, inni pod wpływem szoku. Młoda kobieta z zakrwawioną chusteczką przyciśniętą do ust trzymała przy piersi niemowlę. Stojący przed nią starszy mężczyzna patrzył na spłaszczony autobus i potrząsał głową; lewa ręka zwisała mu z barku bezwładnie. Niektórzy błagali o wodę lub o pomoc, niektórzy narzekali na kurz. Co chwilę słyszałam

czyjś płacz, czasami krzyki. Na torach i wokół nich panował niekończący się chaos; ludzie biegali wzdłuż nasypu, wzniecali wrzawę, kręcąc się pośród wysokich traw.

- Dziewczynko, jesteś ranna? - zapytała jakaś kobieta. Siedziała niedaleko, przyciskając jedną ręką torebkę. - Nic ci nie jest?

Poza zadrapaniem na policzku i zmierzwionymi włosami sprawiała wrażenie, że nie doznała szwanku. Jednak oczy miała wilgotne, a głos jej drżał, kiedy mówiła, zauważyłam też, że bezwiednie zrywa łąbiny, jeden po drugim, zgniata kwiaty i je wyrzuca.

- Jestem tylko głodna - odpowiedziałam. - Spałam.

Wzdrygnęła się, jakby moje słowa ją pobudziły.

- Czekał, mam tu coś. - Otworzyła torebkę i wyjęła pomarańczę. - Jechałaś sama czy z kimś? - spytała.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem. - W brzuchu mi burczało, kiedy obierała owoc ze skóry. - Chyba Dickens po mnie przyjdzie, jestem pewna, że przyjdzie.

Patrzyłam, jak obraca pomarańczę w palcach, odrywając skórę paznokciami. Podała mi owoc drżącą ręką, a ja zaczęłam łapczywie jeść.

- Twoich rodziców nie było w pociągu?

Pokręciłam głową z pełnymi ustami.

Kobieta skrzywiła się. Nie potrafiłam rozpoznać, czy to był uśmiech, czy wyraz niezadowolenia. Przysunęła się bliżej, objęła mnie za ramiona i przyciągnęła do siebie.

- To się stało tak nagle. - Wskazała ruchem głowy wykolejone wagony. - My dwie miałyśmy szczęście, dzięki Bogu. Dużo, dużo szczęścia.

Nie czułam się szczęśliwa, byłam głodna. Jedząc pomarańczę, nie przestawałam się rozglądać za Dickensem w tłumie wciąż gęstniejącym na pastwisku. Wyobrażałam sobie, jak by to było znowu go zobaczyć, przekonać się, że nic mu się nie stało.

Cześć, Kapitanie. Zabiłeś rekina. Kocham cię.

Od razu wypatrzyłam kobietę, która podobnie jak tamten starszy człowiek, wyglądała na osłupiałą. Miała na sobie niebieski szlafrok i włosy zakryte przezroczystym ceratowym czepkiem pod prysznic. Kiedy się odwróciła - tocząc wokół przerażonym wzrokiem - ujrzałam jej twarz w niewyraźnym wieczornym świetle i ogarnął mnie strach.

- Dell - wymamrotałam, bezmyślnie wgrzyzając się w pomarańczę.

Nawoływała Dickensa, przeszukiwała tłum. Widziałam, że się boi. Zaciskała w palcach połę szlafroka, rozczłapanymi pantoflami deptała łubiny. Była tak blisko, że gdybym się rzuciła do ucieczki, z pewnością by mnie zauważyła.

Trzymaj się z daleka, pomyślałam. Dawaj się we znaki gdzie indziej.

Gdyby nie pełne usta, odwróciłabym się i splunęła.

W tej krótkiej chwili, gdy rozważałam ucieczkę, Dell szybko się oddaliła, poszła w stronę torów, przepychając

się przez tłum. A potem zniknęła gdzieś pomiędzy wrakami wagonów.

- Już dobrze - mówiła kobieta. - Jesteśmy bezpieczne. Zaopiekujemy się sobą nawzajem, co ty na to? Dopilnuję, żebyś dotarła tam, dokąd zmierzasz.

Chciałam powiedzieć, że nie mam dokąd pójść. I powiedziałabym jej to, ale przyleciały świetliki. Dziesiątki małych światełek pojawiły się nagle nad naszymi głowami - świeciły i gasły na przemian, raz tu, raz tam, rozbłyskiwały w gęstym kurzu, mig, mig, migotały na pastwisku.

- Są takie piękne - powiedziałam. - Są moimi przyjaciółmi. Mają imiona.

Na moment zapomniałam, co mnie sprowadziło na pastwisko. Zapomniałam prawie o wszystkim. Położyłam głowę na piersi kobiety, wtuliłam się w nią i dokończyłam jeść pomarańczę, oblizując wargi po ostatnim kęsie; czułam resztki słodczy na języku, lepkość na brodzie i byłam zadowolona, bo świetliki przywitały nadchodzącą noc.

Po śmierci matki jedenastoletnia Jeliza-Rose opuszcza Los Angeles i wraz z ojcem wyrusza do Teksasu. Ucieczka od trudnego dzieciństwa prowadzi ją w świat fantazji: rozmawia z główkami swych ułomnych lalek Barbie, widzi budzącego się o zmierzchu człowieka z bagien, przerażają ją czyhające w trawie potwory. Jej jedynym przyjacielem jest upośledzony umysłowo Dickens.

Powieść jest gotycką wersją „Alicji w Krainie Czarów”, ma niepowtarzalną, mroczną aurę narkotycznych wizji. Jest przejmującym zapisem stanu psychicznego samotnego dziecka, odkrywającego magię i siłę fantazji, nieświadomego niebezpieczeństwa kryjącego się w pozornie zwykłych wydarzeniach.

Terry Gilliam, członek grupy Monty Python (i reżyser filmowych hitów „Fisher King”, „Brazil”, „Dwanaście małp”), zrealizował na podstawie „Krainy traw” film, uhonorowany nagrodą FIPRESCI na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w San Sebastian w 2005 roku. W roli ojca dziewczynki wystąpił Jeff Bridges.

Zabójcze połączenie „Alicji w Krainie Czarów” z „Chłopakiem rzeźnika”. Wypatrosza mózg lepiej niż najsilniejszy kwas.

Robert Ziębiński, Newsweek